

BIBLIOTEKA OO. FRANCISZKANÓW (BERNARDYNÓW)

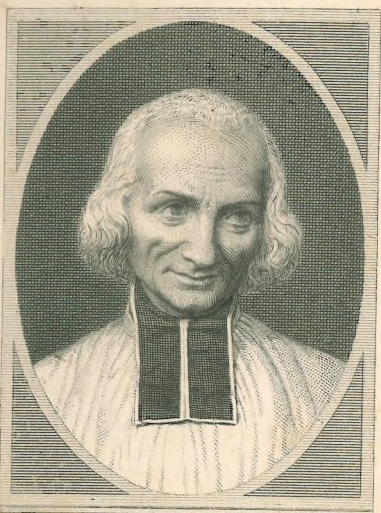
~~Poznań, ul. Garbary 22~~

~~1946 II~~

Sygn. \_\_\_\_\_







**J. B. M. VIANNEY,**  
CURE D'ARS.  
Déclaré Vénéralé le 3 Octobre 1872

*Après l'Original en vie*

*Gravé par DEVAUX d'après E. CABUCHET*

PORTRAIT AUTHENTIQUE.

Paris. Publié par A. W. SCHULGEN, Editeur 25 rue S<sup>t</sup> Solvège

*Propriété des Missionnaires d'Ars*

# ŻYWOT

KS. JANA MARYI VIANNEY

PROBOSZCZA Z ARS

PRZEZ

KS. ALFREDA MONNIN

MISYONARZA.

Za pozwoleniem autora na język polski przetłóżony.

*Kochanemu przyjacielowi w Barcelonie, w ot-  
tę pamiątkę składa w dowód przyjaźni. Jego  
ja...*

→ CZĘŚĆ I • OZDOBIONA PORTRETEM. ←



W POZNANIU

NAKŁADEM TŁOMACZA. DRUKIEM J. LEITGEBRA.

1883.

IMPRIMATUR.

Polplini, die XIma m. Junii a. 1883.

*Episcopus Culmensis.*

G. V. 2421.

† JOANNES.



143879

W. Czarnowski,  
Dir. Canc. et Secr. Epplis.



1946

# SPIS RZECZY.



Strona

Wstęp . . . . .	1
-----------------	---

## Księga pierwsza.

Domowe życie Jana Maryi Vianney od jego urodzenia  
aż do chwili otrzymania probostwa w Ars.

(1786—1818).

Rozdział I. Narodzenie się Jana Maryi Vianney. — Dziecięce jego lata . . . . .	5
Rozdział II. Jan pastuszkciem. -- Miłuje Boga i ubogich . . . . .	1
Rozdział III. Pierwsza Komunia Jana. — Jego zajęcia w polu — Jego dążenie do cnoty. . . . .	1
Rozdział IV. Jan Vianney zaczyna się uczyć u proboszcza w Ecully . . . . .	24
Rozdział V. Jan ściągnięty do wojska, ukrywa się w górach . . . . .	32
Rozdział VI. Powrót Jana M. Vianney. — Dalsza jego nauka u proboszcza w Ecully. . . . .	39
Rozdział VII. Jan Vianney w seminarjum w Verrieres . . . . .	42
Rozdział VIII. Jan Vianney słucha teologii. — Nowe doświadczenia. — Przechodzi do w seminarjum. — Odbiera święcenia kapłańskie. . . . .	48
Rozdział IX. Ksiądz Vianney zostaje wikaryuszem w Ecully. — Jego miłosierdzie i umartwienie. -- Śmierć księdza Balley. . . . .	53

## Księga druga.

Życie księdza Vianney na parafii.

(1818—1828).

Rozdział I. Przybycie ks. Vianney do Ars. — Nieustanna jego modlitwa . . . . .	59
Rozdział II. Stosunek ks. Vianney do parafian. — Panna d'Ars . . . . .	64



	Strona
Rozdział III. Poprawa w parafii. — Ksiądz Vianney zaprowa- dza nieustającą Adoracją, praktykę częstych Komunii ś., wspólne modlitwy wieczorne, bractwa	70
Rozdział IV. Ks. Vianney reformuje parafią. — Kasuje tańce w karczmie. — Uczy święcić niedziele	80
Rozdział V. Ks. Vianney stara się o ozdobę świątyni	92
Rozdział VI. Ksiądz Vianney buduje kaplice	96
Rozdział VII. Jak Proboszcz z Ars kochał dusze. — Jego praca w parafii i po za parafią	102
Rozdział VIII. O skromnych początkach Ochronki w Ars i o cu- downej pomocy, jaką Bóg zsyłał na jej utrzy- manie	115
Rozdział IX. Jakie cnoty praktykowano w „Opatrzności“ Ar- sańskiéj	123
Rozdział X. Katechizacye Proboszcza z Ars	128

### Księga trzecia.

#### Heroiczne życie ks. Vianney od założenia przytułku w Ars aż do jego zniesienia.

(1825—1847).

Rozdział I. Ks. Vianney staje się świętym przez pokutę i za- parcie się	139
Rozdział II. Ks. Vianney trapiiony przez szatanów	150
Rozdział III. Ks. Vianney prześladowany od ludzi	171
Rozdział IV. Choroba ks. Vianney i jego cudowne uzdrowienie	187
Rozdział V. Pierwsza ucieczka ks. Vianney	198
Rozdział VI. Wśród jakich okoliczności przytułek „Opatrzno- ści“ ks. Vianney upadł	211



## WSTĘP.

„Pańskie jest wybawienie: a nad ludem  
twoim błogosławieństwo twoje.

(Ps. III, 9).

„A kto przyjmuje sprawiedliwego w imię  
sprawiedliwego, zapłatę sprawiedliwego  
weźmie.“

(Mat. X, 41).

Niedaleko od Lugdunu na drodze ku Paryżowi rozłożyła się wdzięcznie na dwóch naprzeciwległych pagórkach uroczą wioska Dardilly, licząca z górą tysiąc trzysta mieszkańców. Otacza ją najprzyjemniejszy krajobraz gajów, dolin zielonych poprzeryzanych srebrzystymi strumykami, winnic i sadów, z pośród których białe wychylają się zagrody. W domku otoczonym płotem, prawie na samym wstępie do wioski, żyła pod koniec zeszłego stulecia jedna z tych zacnych rodzin wieśniaczych, pośród których przechowuje się święcie tradycya modlitwy i pracy: pokolenie silne a zdrowe, które od lat kilkudziesięciu dostarcza Francji dzielnych kapłanów i żołnierzy, jako i wiernych Oblubienic Chrystusowych.

Od niepamiętnych czasów znany był dom Vianney'ów jako dom ubogich, jako pewny przytułek dla wszystkich potrzebujących odpoczynku i schronienia.

Pośród nieszczęśliwych, którzy pewnego wieczora zapukali do gościnnej zagrody, znalazł się żebrak niezwykły, choć na zewnątrz nic go nie wyróżniało od tłumu nędzarzy, jacy codziennie tam się zgłaszali. Nogi jego były na pół obnażone, gruby powróż przepasywał jego biodra, włosy

miał w nieładzie, stary płaszcz dziurawy okrywał mu ramiona.

Nieznajomy ten mógł mieć wówczas (w lipcu r. 1770) lat dwadzieścia, odbywał zaś właśnie pielgrzymkę do Włoch. W trzynaste lat później, w jednej z najuboższych części Rzymu, pomiędzy wzgórzami Kapitolińskim, Wiminalskim a Eskwilińskim, w równej odległości od Kolosseum i od dawnego Forum Trajana, stało się coś tak dziwnego, że żywo przejmowało wszystkich mieszkańców tego miasta, nawykłych nie dziwić się już niczemu: na tyle napatrzyli się dziwów i wspaniałości.

W r. 1783, w W. środę, ubogi jakiś po długich bardzo modłach przed Matką Boską dei Monti, do której lud rzymski wielkie ma nabożeństwo, upadł bez sił na wschodach kościoła. Gdy go umierającego podjęto i złożono na łóżku, poprosił o trochę wody, którą ofiarował nasamprzód Panu Bogu, a wypiwszy ją, wzniósł oczy z taką wdzięcznością ku niebu, że obecni od łez wtrzymać się nie mogli. W kilka godzin potem skonał, a dzieci z sąsiedztwa rozbiegły się po ulicach wołając: E morto il Santo, Umarł Święty! Nazajutrz wiadomość ta była na ustach wszystkich: tłumy ludu zalegały dom, w którym Święty skonał; aż straży było potrzeba dla utrzymania w porządku pospólstwa.

Dzielnica miasta zwana dei Monti upominała się o pochowanie zwłok żebraka w swoim kościółku, w którym on codziennie od rana aż do południowej doby spędzał wszystek czas na modlitwie. Ciało jego poniesiono tryumfalnie pomiędzy dwoma szpalerami wojska, a wszystkie stany, książęta pospołu z mieszczanami i ludem wiejskim oddawały mu ostatnią posługę ze łąką w oku.... Nie jeden król nie miał tak wspaniałego pogrzebu.

Taka to chwała przyjaciół Bożych! Wszystkie ziemskie wielkości nikną wobec ich wielkości, a choć maluczkimi są w świecie, gdy ich Bóg wybierze, mocen ich wynieść po nad wszystkie potęgi tego świata, którym oni dla Niego wzgardzili.

Zaledwo złożono świątobliwego żebraka do grobu, a już rozeszła się wieść o licznych cudach pojawiających się

w kościele Najświętszej Panny dei Monti: niewidomi odzyskiwali wzrok, głusi słuch, niemowom rozwiązywały się języki, a chorzy, odstąpieni od wszystkich, nagle przychodzili do zdrowia. Siła relikwii złożonych pod onym kamiennym płytą, na którym wryto imię żebraka, okazała się tak niepojętą, że zdawać się mogło, iż się wróciły czasy Chrystusa Pana. Musiano zamykać kościół przed tłumami pielgrzymów; a przez kilka dni całe zastępy modlącego się ludu zalegały ulice i plac przyległy, ze łzami radości i wdzięczności całując mury, w których zamknięte były zwłoki Chrystusowego żebraka.

Tak żebrak ten, z grobu swego poruszył odwieczne miasto i świat cały, w przeddzień tej strasznej rewolucyi, niweczącej wszystko, co wielkie i święte: nazajutrz po tryumfie Woltera,<sup>1)</sup> swymi cudami tak uderzającemi, że ich zaprzeczać nie śmiano, pomścił znieważoną i sponiewieraną wiarę świętą we Francyi. Żebrakiem nie był nikt inny, jak ów pielgrzym, którego przed kilkunastu laty przyjął wraz z innymi pod strzechę gościnną Piotr Vanney; żebrakiem tym był Benedykt Józef Labre, którego już papież Pius IX na ołtarze wyniósł, a Leon XIII za dni naszych do grona Świętych uroczyście zaliczył. Na jego grobie uklękliśmy przed rozpoczęciem niniejszej pracy, prosząc, aby za jałmużnę, którą był odebrał przed dziewięćdziesięciu laty, odwdzieczył się teraz uproszeniem nam pomocy do napisania tego żywota. Żywot ten może jego być dziełem, — owocem modlitwy i błogosławieństwa wdzięcznego jego serca. Albowiem wierzymy to, co powiedział nasz proboszcz z Ars: „Gdzie święci przechodzą, tam przechodzi Bóg z nimi.“

Zatem i my śmiemy przypuszczać, że urodzenie jako i świętość Jana Maryi Vianney były owocem tego przejścia Bożego przez gościnny próg jego ojców.

---

<sup>1)</sup> Wolter, filozof francuzki, bezbożnymi naukami przygotował przewrót w społeczeństwie, najprzód Francyi, potem całej Europy: przez rewolucyą francuzką zatryumfowała na czas niejaki bezbożna jego nauka.

W sprawach duszy i zbawienia tajemnicze bywają związki, które żywa wiara lubi zgłębiać i odgadywać. Często drobnostka staje się zapowiednią wielkich rzeczy: pyszny i ograniczony rozum ludzki nie uznaje tego; lecz duszy chrześcijańskiej słodko rozpatrywać się w kierunku nie znaczących na oko wypadków, które służą do wielkich zamiarów Bożych.

Co pewna, to że błogosławione dziecię, które miało tak wiele dusz pozyskać Bogu, przyszło na świat w tym właśnie roku, kiedy najświetniejszy blask chwały opromienił grób Benedykta Józefa Labre.

---

# KSIEGA PIERWSZA.

## Domowe życie Jana Maryi Vianney

od jego narodzenia aż do chwili otrzymania probostwa  
w Ars.

(1786—1818).

---

### ROZDZIAŁ I.

Narodzenie się Jana M. Vianney. — Dziecięce jego lata.

„Cóż wždy to za dzieciątko będzie? Albowiem była z nim ręka Pańska.

(*Euk. I, 66*).

„Z pobożnych narodzony rodziców i uprzędzony miłością Bożą, spędził dziecięce i młodzieńcze lata w największej prostocie i niewinności obyczajów. (*Brew. rzymski, legenda o ś. Józefie z Kupertynu*).

Choć niewinność nie bywa już nam dawana wraz z życiem, wszelako Zbawiciel świata, który na to przyszedł, aby nas podnieść z upadku, wybiera sobie rodziny, w których szczególną Jego łaską cnota staje się niejako dziedziczną, — wybiera sobie rodziny, których ojcowie i matki tak czyste i chrześcijańskie prowadzą życie, że dzieciom swym nie mogąc przekazać przywilejów świętości przez zrodzenie, przekazują go przez swój przykład, aż im się stanie drugą niejako naturą. Jak w jednych widać dziedziczne grzechy przechodzące z ojca na syna, tak u drugich podziwiać można dziedzictwo cnót rodowych.

Te tradycyjne cnoty chrześcijańskie wydatniały w domowym życiu Macieja i Maryi z domu Beluse Vianney'ów, rodziców późniejszego Proboszcza z Ars. Była to para sprawiedliwych przed Panem, którzy jako Zacharyasz i Elżbieta wiernie chwalili przykazania Jego. To też Pan im

błogosławił, i w ciągu dziesięciu lat sześciorgiem obdarzył ich dziećmi.<sup>1)</sup>

Pobożna matka poświęcała Bogu dziecię oczekiwane już w swém łonie, prosząc często za przyczyną Przczystej Paniénki, aby Pan ziscił pragnienie jej serca i poświęcił je na służbę ołtarza.

Skutkiem tego macierzyńskiego przeczucia, na Chrzcie ś., który się odbył w sam dzień jego narodzenia, nadano mu imiona Jana Chrzciciela i Maryi.

Poganie przesądne przywiązywali znaczenie do imion: były one wedle tego przesądu szczęsne lub nieszczęsne. Chrześcianie prawdziwi, dalecy od przesądów, upatrywali szczęśliwy związek między imionami Świętych a ich cnotami. Święty Melitus, powiada św. Grzegorz Nazyanzeński, nosił imię od miodu,<sup>2)</sup> które oznaczało wielką słodycz jego charakteru. O św. Agnieszce wspomina ś. Ambroży, że nie miała ludzkiego imienia, lecz imię ofiary, bo Baranka bez zmayı.<sup>3)</sup> Żadne też imię nie było właściwsze dla Proboszcza z Ars, jak imię poprzednika Chrystusowego: bo i on miał nawoływać ludzi do pokuty — bo i o nim powiedzieć można, że był Głosem wołającym na puszczy.

Marya Vianney miała sobie za obowiązek sama karmić dzieci swoje, aby inna krew, jak jej własna, nie płynęła w ich żyłach. Karmiąc zaś ich ciało mlekiem piersi swoich, dusze ich karmiła słodyczą i siłą serca swego.

---

<sup>1)</sup> Najstarszą córką Vianney'ów była Katarzyna urodzona roku 1780. wydana za Melin'a, a która umarła młodo i bezpotomnie. Za przykładem matki odmawiała ona „Zdrowaś Marya“ za każdym uderzeniem godziny. Powiadają, że przy śmierci widziała anioła przy swoim bracie Janie Maryi, który ją przysposabiał do dobrej śmierci, nie będąc jeszcze kapłanem. Joanna Marya urodzona 1782 r. umarła dzieckiem. Franciszek urodzony 1784 stał się niejako głową rodziny i spadkobiercą domu rodzicielskiego; żył jako prawdziwy chrześcianin, budował mianowicie doskonałym zdaniem się na wolę Bożą. Jan Chrzciciel Marya, późniejszy nasz Proboszcz urodzony 8 maja 1786. Małgorzata urodzona r. 1787. Franciszek, nazwany młodszym, dla odróżnienia go od starszego, urodzony 1790, zginął w roku 1813, wstąpiwszy do wojska w zastępstwie Jana Maryi.

<sup>2)</sup> Mel zwany miod.

<sup>3)</sup> Agnes (Agnus) znaczy baranek.

Inaczéj niż te matki, dla których dzieci wtedy, kiedy zaczną głużyć, stają się już to bawidełkiem, już to uprzykrzonym ciężarem, — ona chciwie śledziła każdy objaw budzącej się myśli, na to jedynie, aby ją zwracać ku Bogu. Starala się ta matka iście chrześcijańska, aby pierwsze uderzenie serduszka i pierwsze słowo jéj dziecięcia Jego chwałę głosily.

Gdy mały Janek miał półtora roku, już rączęta składał pobożnie, szczebiocąc dziecięcą swą mową: Jezus! Marya!

Rzecz jasna, że każda matka w ten sposób czuwać nad dziecięciem powinna, skoro człowiek stworzony jest na to, aby Boga znał, kochał i Jemu służył: i od kolebki do tego celu winien zdążać. Matek obowiązkiem jest, starać się, aby dziecko z tym celem się nie rozminęło.

Ks. Vianney często wspominał, jak matka co rano budziła dzieci swoje, aby dopilnować tego, iżby wszystkie pierwszą myśl swoją i pierwsze sprawy Bogu poświęcały.

Razu jednego gdy sędziwy Proboszcz z rozrzewnieniem wspominał dziecięce swe lata,... „Szczęśliwy jesteś, — mówiliśmy mu, — że tak wczesnie zasmakowałeś w modlitwie. — Po Bogu zawdzięczam to matce, odpowiedział. Ona była tak bardzo pobożna..., często mi mawiała: „Mój Janku, gdybym widziała, że ty Boga obrażasz, bolałoby mnie to więcej, niż gdyby które inne z dzieci moich to uczyniło. — Cnota, dodał, z serca matki przechodzi w swe dzieci, które lubią naśladować to, co widzą.“

Inną razą powiedział, że dziecko powinno by nie inaczej, jak ze łzami wdzięczności, spoglądać na swą matkę!

Często w dziecięciu ochrzczone nadzwyczajne działanie łaski uprzedza zwykłą zdolność natury pod względem pojęć o Bogu i o czei Jemu należnej. Na kolanach matki dziecię formuje się duchowo niekiedy już w pięciu latach. Sw. Róża z Limy w piątym roku ślubowała dziewictwo. Sw. Franciszek Salezy miał pięć lat, gdy odpowiedziami z katechizmu dowodził kalwinom ich błędów. Toż samo św. Franciszka z Chantal. W równym wieku Magdalena de Paxis nauczała swych rówieśników, a w dniach kiedy matka jéj przyjmowała Komunią św., ona cisnęła



się do jej łona, aby być bliżej Jezusa, którego w milczeniu wielbiła w świątyni macierzyńskiego serca.

Mały nasz Janek już w trzecim roku szukał samotności, aby się modlić: Duch święty mieszkał już w dziecięcym jego serduszku. Zaledwo mówić umiał, a już się łączył z drugimi w wszystkich ćwiczeniach pobożnych; pierwszy padał na kolana, gdy słyszał dzwonek na „Anioł Pański“ i nabożnie go odmawiał.

Często znikał gdzieś w zakątkach domu, gdzie go zawsze zdybywano odmawiającego wszystkie modlitwy, jakie tylko umiał.

Za pierwszy podarek od matki dostał figurkę Matki Bożkiej. Była ona dla niego mniej zabawką, raczej przedmiotem czci pobożnej, a widok jej tak mu był miły, że choć czasem najbardziej się rozpląkał, pokazanie mu figurki lzy jego osuszało. „Ach! jakże ta figurka była mi droga, — mawiał, — mając przeszło lat sześćdziesiąt. — Nie mogłem się z nią rozstać, i nie byłbym mógł spać, gdybym jej nie miał obok siebie w łóżku.

Rzadko bardzo zdarzało mu się w dziecięcych latach, że się rozpląkał; ale wtedy od razu udawało się go uciszyć, wciskając w rączkę różaniec albo obrazek pobożny.

Podczas długich zimowych wieczorów długo rozmawiał z matką o niebie, gdzie Boga widzą, gdzie Go kochają, gdzie go nikt nie obraża; a szczęśliwa matka z rozkoszą mu odpowiadała, z radością w sercu upatrując w tem niejaki zapewnienie, że nie omyliły ją przecucia co do powołania Janka.

Z pomiędzy pobożnych uczuć, które jak kwiatki wiosenne rozwijały się w jego duszy, a które matka troskliwie pielęgnowała, najprzedniejsze było gorące nabożeństwo do Najświętszej Panny.

„Jak dawno kochasz Matkę Bożką? zapytał go raz pewien ksiądz. — „Kochałem ją, zanim jeszcze byłem zdolny ją poznać, — odpowiedział. „Najdawniejsza to moja miłość. Gdym był jeszcze dzieckiem, miałem małą koronkę, której siostra moja zapragnęła. Z tego powodu doznałem pierwszego zmartwienia. Poradziłem się matki, która oczywiście zachęciła mnie, żebym dla miłości Boga

ustąpił jęj siostrze. Usłuchałem, lecz wiele łez mię to kosztowało.“

Z wiekiem rosły i potężniały w nim wszystkie dobre uczucia; modlitwa zaś była jego najmilszem zajęciem, zanim mógł zrozumieć, jak konieczną jest w życiu chrześcijańskim. Modlitwa strzegła ust jego od tylu nieprzyzwyczajonych wyrazów, z którymi wiejskie dziecko tak łatwo się oswaja. On ich nigdy nie znał; bo i gdzież ich się miał nauczyć, kiedy na same dobre rzeczy patrzył i same dobre rzeczy słyszał. Jego dom rodzicielski był istnym przybytkiem cnoty, do którego nic zepsutego i gorszącego przystępu nie miało. Nadto mały Jan nie schodził z oczu matki, chyba wtedy tylko, gdy się chował w jaki cichy i ustronny zakątek dla rozmowy z najmilszą swą Matką Bożą.

Miał cztery lata, gdy znikł na czas dłuższy. Z trwogą zaczęto go wszędzie szukać, aż go znaleziono w stajence, zatopionego w gorącej modlitwie. Matka, acz pełna radości, wymawiała mu, że ją bardzo zaniepokoił. On zaś zawstydzony, rzucił jęj się w objęcia, wołając: „Przebac mi matko, już nigdy się tak nie skryję.“

Te rysy z dziecięcych lat Jana Vianney przypominają to co czytamy o młodym Tobiaszu, który nie szukał zabawy w rozrywkach swego wieku, lecz lubił szukać samotności w kościele, by tam składać Panu pierwociny z pól i serca swojego.

A z jakim pobożnem skupieniem nasz Jan modlił się w kościele! Gorąca wiara rodziców, ich cześć dla rzeczy świętych, ich przywiązanie do praktyk, które rozniecają pobożność, ich ufność w Opatrzność Bożką, której wzywali, której dziękowali, którą wielbili w smutku, czy w radości: wszystko to wtajemniczało go prawie bezwiednie w życie chrześcijańskie. Wieleż to razy, gdy tak często wracał do wspomnień z lat młodzieńczych, dziękował Bogu, że prawie bez wysiłku z jego strony, przez sam przykład rodziców zachował jego niewinność, i utwierdził go w cnocie.

Zdawałoby się, jakoby życie pełne prostoty rólników i pasterzy bogobojnych wracało człowiekowi pierwotne jego panowanie nad światem zewnętrznym, a przy-

tem rozwijało w nim szlachetne uczucia, które stanowią jego wielkość moralną. Tajemnicze głosy przyrody napełniają duszę chrześcijańską czemś, czego gwar uliczny dośłyszeć nie dopuści. To też ludy rólnicze są z natury skłonniejsze do pobożności. Ona ciągła styczność z przyrodą utrzymuje ich też nieustannie pod okiem Boga, który im się objawia przez wszystkie cuda stworzenia. To słońce i deszcze i wiatry i mrozy i grady, te dobroczynne i groźne żywioły, wspaniałe mówią o wszechpotężnym Bogu, który dowoli niemi kieruje, jako narzędziami miłosierdzia swego lub pomsty.

Aliści wcześniej przyszyły czasy smutku. Jednej niedzieli nie otworzono kościółka w Dardilly, ani dzwony nie wezwały wiernych na nabożeństwo. Gdy Janek zapytał matkę, czemu go nie prowadzi na Mszą św., ona w odpowiedzi łzę otarła, a rękę kładąc na serce, wytłómaczyła dziecku, iż tu już tylko wolno w milczeniu czcić i wielbić Boga.

Rewolucya pozamykała kościoły, zburzyła ołtarze, wygnała kapłanów, i w imię nowoczesnej wolności zakazała wszelkiego objawu chrześcijańskiej myśli. Nasz Janek miał naówczas lat ośm, lecz wiara za głęboko była zakorzenioną w duszy jego, żeby ją mógł utracić: im więcej złość i przewrotność obalała rzeczy święte, tem wyżej je w własnym sercu podnosił.

---

## ROZDZIAŁ II.

Jan pastuszkciem. — Miłuje Boga i ubogich.

„i wziął go od trzód owiec.

(Ps. LXXVII, 70).

„Od dziecka zajęto go strzeżeniem trzody i uprawa roli; lecz mniej temi rzeczami zajęty, więcej karmił duszę rozważaniem rzeczy Bożych, prowadząc życie raczej pustelnika niż wieśniaka.

(*Brev. Rom., Felicis i Cantal. legend.*)

Według powszechnego na wsi zwyczaju, w siódmym roku życia mały Janek musiał już wziąć się do pracy, i przejął po bracie starszym obowiązek pasać kilka krówek, osła i trzy owce.

Pan Bóg po wszystkie czasy okazuje jakieś czule upodobanie pastuszkom. Abel był pasterzem. Z pamiędzy pastuszków wybiera Prorok zwycięzcę Goliata, praojca Mesyasa, największego i świętego króla Izraelskiego. Pastuszkom pierwszym Aniołowie zwiastują narodzenie Zbawiciela. Oni pierwsi powołani do żłóbeczka, oni pierwsi czciciele Słowa Przedwiecznego w ubogiem Dzieciątku, które w stajence rozpoczęło drogę swą na Kalwaryą.

Ta szczególna opieka nad pastuszkami Tego, który się sam nazwał Dobrym Pasterzem, nieustaje przez wszystkie wieki. Dla błogosławionej Germany, patronki Paryża i onej cichej pasterki z Laus, która przez lat pięćdziesiąt tak poufale rozmawiała z Najświętszą Panną, dla św. Wincentego à Paulo, dla św. Feliksa z Kantalicymi, życie pasterskie stało się szkołą życia wewnętrznego i przed-sionkiem świętości.

Złą jest samotność dla tych, co z Bogiem nie żyją; i ono swobodne życie pasterskie, samo przez się niewinne, nie zawsze ubezpieczy dzieciom dobre obyczaje, pominawszy już to, że skazuje je na straszną, nieznaną rzecz

duchowych. Dla małego zaś Janka życie to było źródłem światła i błogosławieństw. Wszchemocny Pan, który pysznym się sprzeciwia, a maluczkim się objawia, mówił do jego serca przez piękność przyrody, go otaczającej.

Czystemu sercu nie podobna podziwiać natury, a nie wielbić Boga; bo tu więcęć, niż gdziekolwiek indziej On się objawia, czy w kielkowaniu trawki, czy w ptaków śpiewie, czy w lasów szumie, czy w wód szemraniu, czy w niebotycznych skał wysokości, czy w niebios sklepieniu zasianem milionami srebrzystych gwiazd. Wszakżeż Bóg wysłała na ziemię te promienie słońca, On gromadzi chmury, On zlewa deszcze i rosy, On gromami włada, On napełnia zdumieniem nędznego człowieka na widok wspaniałości Majestatu swego, On go olśniewa różnaitością krajobrazów, i tem wszystkiem przenika jego serce, i słodko je ku sobie ciągnie.

Chyba grzechem znędzniałe dusze styczność z przyrodą nadwątła, dusze proste i czyste ona podnosi i krzepi. Wielkie myśli i wielkie uczucia budzą się pod wpływem samotności w milczącej rozmowie człowieka z dziełami Boga. Kto bada naturę sercem ku wszystkiemu dobremu skłonny, wielką w niej zaczerpnie mądrość i ożywi się zacnem uczuciami.

Nasze święte chłopię nietylko skarbiło sobie uczucia pobożności w tem cichem i samotnym życiu wśród pól szerokich. Jeszcze drugim służył tam wzorem i przykładem świętego życia i tam już rozpoczął to posłannictwo dusz pasterza, które kiedyś tak chlubnie miał spełniać.

Opodal Dardilly prześliczna jest dolina, pełna zieleni i świeżości, istna świątynka modlitwy i dumania. W miękkiej murawie mruczą sobie strumyki, kryjące się dalej pod cienistemi jodłami i osiną; malownicze wieńce z dzikich głógów i kaliny, tworzą jakoby rzeźbioną ramę doliny, w pośród której mali pastuszkowie wesoło przeigrali swobodne dni swe młode.

Z rozrzewnieniem podziwia się taki piękny obraz sielanki. Są tu piękności, które nam nastreczają razem samotność, przyrodzenie i milczenie; piękności, które się dają odczuć, ale nie oddać ni pędzlem, ni słowem.

Dokoła doliny roztaczają się na nierównej ziemi, tam czarne świeżo zorane skiby, owdzie zyzne pastwiska, to znów cieniste dąbrowy, to złote pole kukurydzy lub winogradu.

Miejsce to zwie się Chante<sup>e</sup>-merle od szpaków, które tu sobie gniazda ścielą. Tu nad strumykiem najczęściej przebywał nasz pastuszek ze swym osiołkiem i trzema owieczkami.

Patrzaj! tam on idzie z laską w jednej ręce, w drugiej z ukochaną figurką Niepokalan<sup>e</sup>j Pani<sup>e</sup>nki, w którą się z miłością wpatruje. Towarzysze witają go wesołymi okrzyki, otaczają go z radością ale i z niejakim szacunkiem; bo jego słodycz i dobroć dla wszystkich wszystkie mu serca zjednała. On zaś pośród tych serdecznych dowodów życzliwości, jakąś poważną myślą przejęty: otóż spieszy pod stare drzewo, na ołtarzyku z darny składa swoją figurkę, a pomodliwszy się chwilę, wzywa żwawą gromadkę do wspólnej modlitwy.

Nie posiadał się z radości, gdy widział klęczących towarzyszków przed figurką najmiłsz<sup>e</sup>j sw<sup>e</sup>j Matki: a wtedy zmówiwszy Ojciec nasz i Zdrowaś z gorącością ducha, którą wszystkich porywał, pałając tym ogniem, jaki później z duszy kapłana tak silnie buchał, mówił gromadce o Bogu i Jego Przenajświętsz<sup>e</sup>j Matce.

Toż czynił św. Bernardyn Seneński jeszcze pacholeciem. Żywociarz jego Ribadeneira opisuje, że lubił naśladować kaznodziejów, udając ich głos i ruchy, że zwykle otaczał się gromadą dzieci i przed nimi powtarzał nauki słyszane w kościele, zaprawiając się w ten sposób rychło do kaznodziejstwa, w którym później tyle zasłynął.

Wyobraźmy sobie te roje dzieci dokoła Janka, ze skupieniem chwytających każde słowo, jakie z ust jego pada, dzieci zapominające o swawoli i zabawie, a tak przejęte, że zaledwo oddychać śmieją, żeby nie przerywać świętego natchnienia, jakie ich czarem swym przykuwa.

Ale nie zawsze mały kaznodzieja miał słuchaczy; nieraz woleli oni mniej poważne rozrywki. Wtenczas Janek usuwał się na ustronne miejsce i tam przed swą figurką długie spędzał na modlitwie godziny.



By jęj się swobodnięj oddać, nieraz powierzał swą trzódkę jednemu z towarzyszy, któremu się późnięj wywzajemniał podobnąż usługą. W tym uroczym zakątku Francji upłynęły naszemu świętemu pierwsze dni młodości. A zaiste nieobojętną jest rzeczą, jakich człowiek dziecieniem doznaje wrażeń z otaczającego go świata.

Rodzina, ojczysta ziemia dała nam życie; co dzień też karmi zmysł nasz obrazami swymi, swymi blaskami i cieniami; wrażenia z nich dają wątek myśli naszęjisnują przedzę naszego serca.

To zjednoczenie człowieka z tem wszystkim, co go otacza, jest z prawa Bożego. Bóg nas uczynił niejako duszą świata i rozproszył nas na ziemi na to, żeby każda góra i każda dolina i każdy strumień miał w nas żywy głos wznoszącej się ku niebu modlitwy.

Więc tu w tęg cichęj ustroni, o Boże pokornych, ubogich i małuczkich! tu w nieznanym zakątku żyło dziecko sam na sam z Tobą, z Twemi Aniołami i dziełami Twego stworzenia! tu z tych krzewów wznosiła się modlitwa, tu ztąd wywiódłś swego Kapłana i Apostoła, Męża bożego! Tuś go sobie wychował w krwawęj epoce, zdala od tych prądów bezbożności i bezrządu, które zgłiszczami Francją zasały; tu przysposobiłś go na chwałę Kościoła św.!.... Gdy on wracał z rozmowy z Tobą do swojej trzódki, unosił w sercu Twego ducha ubóstwa, pokory, cichości, posłuszeństwa, ofiary, co wszystko było zarodem przyszłęj świętości.

Podeszła w leciech Marya Vincent, niegdys towarzyszka lat dziecięcych Jana Vianney, opowiadała nam z rozrzwennieniem rozmowę swą z nim, gdy miał lat siedm. — W poufnęj dziecięcęj gawędce on jęj powiedział: „Zdaje mi się iżbyśmy zgodzili się oboje.“ — „To prawda, odparła mała Marynia, i jeśli rodzice na to zezwolą, pobierzemy się kiedyś.“ — „O, co to, to nie! zawołał żywo, o małżeństwie nie mówmy nigdy! nigdy!“

Czyż Duch św. już tak wcześnię objawił temu dzieciciu rozkosze ofiary i chwałę dziewictwa, ukazując mu zarazem nicość rzeczy ziemskich. Od najmłodszych lat



wszystkie jego myśli i każde serca poruszenie zdają się skupiać w jedynem pragnieniu służenia wyłącznie Bogu.

Po Bogu najwięcej kochał ubogich. Bo też miłość Boga nieodłączna jest od miłości ubogich, od miłości tych bliźnich, których Bóg tak czule ukochał. Ta miłość, która później wypełniała całe jego życie, płonęła już teraz w jego sercu. Przed wszystkimi innymi władzami pierwszym u niego było serce: zdaje się jakoby potęgą uczucia rosła w nim kosztem wszystkich innych darów — myśli i rozumu, którymi był skąpo uposażon. Nie umiał zaciekać się myślą, lecz czuć głęboko; nie miał wybuchów zwawych dowcipu, lecz wiele najszlachetniejszych i wspaniałych popędów; nie umiał rozprawiać, lecz aktami strzelistemi wołał; nic w nim nie było obliczonego na poklask ludzi, a wszystko serdeczne, proste i wielkie.

Widzieliśmy, jak dom Vianneyów był otwartym dla wszystkich nieszczęśliwych. Biedak każdy zapukał śmiało; a nierzadko schodziło ich się tu i do dwudziestu na nocleg. Maciej Vianney kazał naniecić wielki ogień na obszernem ognisku, u którego grzali się biedni, podczas gdy gotowano skromną wieczerzę wspólną dla domowników i ubogich. Po wieczerzy wszyscy klękali do pacierza, a po nim gospodarz domu prowadził swych gości na przeznaczone im posłania; małżonka zaś jego brała się zwawo do zmiatania rażących nieraz śladów nędzy pozostałych po biesiadnikach, jakich jęj Pan Bóg przyprowadził. O! jak innym okiem patrzy na ubogiego dusza miłująca Chrystusa Pana, którego widzi w osobie nędzarza, i całkiem zapomina o wstręcie, jakim nieraz widok nędzy przejmuje naturę naszą.

Nie było większej radości dla Jana, jak kiedy mógł pomagać rodzicom w tych usługach. Sam sprowadzał ubogich, jakich na drodze spotykał: raz ich dwudziestu czterech dostawił. Rzewny to był widok jego przemysłu, żeby wszystkich obdzielić żywnością, chociażby kosztem własnej porcy; jego prośby do matki o najpotrzebniejsze dla nich ubranie. Opatrzywszy zaś ich potrzeby co do ciała, nie zaniedbał jałmużny dla ich duszy. Dzieci uczył pacierza,

aktów cnót i zasadniczych prawd wiary; napominał je, aby były grzeczne i żeby Boga kochały, aby się nie skarżyły na los swój a cierpliwie znosiły dolegliwości swego stanu. Choć przemawiał do dzieci, starsi słuchali go z korzyścią i ze zbudowaniem. Gdy wszyscy mu błogosławili, on uciekał co prędzej, unikając ludzkich pochwał.

Takim to był w dziecięctwie ten sprawiedliwy, któremu Bóg tak wielkie miał powierzyć posłannictwo. Przysposabiał go do niego, zlewając nań wszelkie łaski, które jako rosa poranna pokrzepiać go miały na późniejsze czasy upracowania i upalenia żywota.



### ROZDZIAŁ III.

Pierwsza Komunia Jana. — Jego zajęcia w polu. — Jego dążenie do cnoty.

„Pan Bóg w sługach swoich ucieszy się.  
(II Mach. VII, 6).

„Mądrość zakwitnęła we mnie jako skoro-  
źrzała jagoda winna.“ (Ekl. LI, 19).

„Dłużej trwa ten wiatr co się podnosi  
przed jutrzenką, niż ten co z wieczora  
powstaje...“

„Te pierwsze poruszenia łaski były onem  
cichem poruszeniem porannego wietrzyku.“  
(W. O. Apollinaire, Życie św. Elżbiety).

Wczesna cnota w młodym Vianney'm większy jeszcze podziw budzi, gdy się ją porówna z zepsutymi obyczajami owych czasów, w których on jako lilia pomiędzy cierniami rósł w łasce u Boga i u ludzi.

Francya pozbawiona podówczas duchowieństwa, ze swymi osieroconymi kościołami; Francya, gdzie publiczne nabożeństwo prawie całkiem ustało, zdawałaby się zupełnie krajem bez Boga, gdyby potajemnie nie oddawano jeszcze czci Bożkiej w łonie pobożnych i gorliwych rodzin, i w nielicznych świątyniach.

Tu, w braku księży, starcy poważni, świątobliwe niewiasty, wygnane zakonnice, świeccy pobożni przewodniczyli w nabożeństwie, przypominali nadchodzący post czy święto bliskie; a kilku odważnych ludzi stało na straży, by w razie potrzeby przestrzedz o zbliżaniu się prześladowców. Nielicznej tylko garstce wiernych kapłanów udało się pozostać w kraju; a ci, szpiegowani, ścigani zewsząd, ukrywający się po stodolach i na poddaszach, z narażeniem życia nieśli pociechę duszom, odprawiając Msze św. i sprawując święte Sakramenta. Księżę odstępców było nie wielu, a wszędzie otaczała ich najwyższa pogarda. W Dar-

dilly jak i w innych miejscach kościoły pod ich zarządem stały puste, zaledwo kilku sług ich, figur rządowych, lub ludzi ciemnych chodziło na ich nabożeństwa, w duszy przeprasząc Boga za to, że szli na nabożeństwo odstępcy.

Wreszcie sfolgowano nieco surowość praw, gdyż z jednej strony stygła gorączka rewolucyjnego szalu, z drugiej zaś wzmogła się siła zahartowanych w walce wiernych katolików. Powoli, bardzo ostrożnie wracało duchowieństwo. Już na kilka miesięcy przed tem, w maju roku 1794 wioska Ecully świetnie zapisała się w wspomnieniach tego czasu, dając przytułek kilku kapłanom świeckim i zakonnym i dwom zakonnicom.

Zakonnice te, S. Deville i S. Combet z instytutu św. Karola Boromeusza poświęceniem swem bez granic jako i ścisłem, o ile położenie ich na to zezwalało, zachowaniem swych ustaw zakonnych, uroczysty zadaly kłam tym bezdusznym pisarzom, którzy się podówczas bawili wystawianiem rzekomo gorszącego życia zakonnice, niby to szczęśliwych z tego, że prawo uwolniło je z pod jarzma okrzyczanej tyranii zakonnej.

Były one istną Opatrznością dla biednego ludu chrześcijańskiego w ciężkich tych czasach. One to skupiały wiernych i ducha ich zagrzewały. Co najzacniejsze rodziny wiosek Ecully i Dardilly zjednoczyły się pod przysięgą, urządziły straż czuwającą nad bezpieczeństwem pracy misyonarzy, i nieraz życiem ich własnem broniły. Dla usłyszenia słowa Bożego, lub dla przyjęcia Sakramentów świętych do odległych chodzono lasów i w najprzykrzejsze powietrze, — a tam jeżeli nie nie zagrażało, pobożna gromadka ośmielała się śpiewać pieśni pobożne, by odświeżyć pamięć wspaniałych kościelnych uroczystości z dawnych czasów.

Bywały te uroczystości pełne wzruszenia rzewnego: starzy płakali na widok, który ich przenosił w dawne czasy; dusze szlachetne i ofiarne -- takich nigdy nie brak Kościołowi a szczególnie w czasie prześladowania — przywiązywały się silniej do tych nabożeństw zakazanych, którym tajemnica, samoż niebezpieczeństwo pokonane i uczucie obowiązku dopełnionego wbrew wszystkim przeszkodom i groźbom praw niezbożnych, nowego dodawały powabu;

a mianowicie niewiasty krzepiły się z lubością tem nabożeństwem czyniącym zadość pragnieniu ich serca.

Matka Jana Vianney należała do wszystkich pielgrzymek i nabożeństw, często wraz z synkiem. Ks. Groboz, jeden z znajdujących się podówczas w Ecully kapłanów, zwrócił uwagę na Janka i nalegał na matkę, aby go zostawiła u dziadków w Ecully, żeby go mógł przysposobić do pierwszej Komunii św.

Dwie Siostry, o których mówiliśmy, uczyły dzieci katechizmu, serdecznym wykładem nauki chrześcijańskiej poręczając zarazem rodziców do słuchania słowa Bożego, którego dawno łaknęli. Za szczególnem poleceniem matki, Siostry zajęły się Janem więcej jeszcze, niż innemi dziećmi, ciesząc się, że go mogły za wzór innym stawiać.

Przysposobione dzieci przez Siostry przechodziły na lekcye księży Misyonarzy, najczęściej w nocnych godzinach, by uniknąć szpiegostwa republikańskiej policyi.

Trudno było przewyższyć Jana w ochoczości, z jaką się stawiał na te nocne schadzki, na których odbywała się Ofiara Mszy św., tak jak za pierwszych czasów uciśnionego chrześcijaństwa.

Nie mogliśmy się dowiedzieć szczegółów pierwszej Komunii świętej Jana Maryi: pozostaje nam jego własne świadectwo już jako proboszcza z Ars, że uroczystość ta odbyła się w roku 1799, w czasie sianożęcia, i że brama szopy zamienionej na kaplicę zastawiona była kilku wozami siana, by tem pewniej usunąć wszelkie poszlaki i podejrzenie. To tylko wiemy, że przed brzaskiem dnia w cieniach jeszcze nocy odbyła się Przenajświętsza Ofiara, podczas której nasz Janek po raz pierwszy umocnił się Chlebem Żywota. Ta tajemnica, którą się było trzeba otaczać z obawy przed prześladowaniem, te cienie nocy, to zgromadzenie wiernych, garnących się do Ołtarzy Pańskich w tych czasach tak ciężkich prób i tylu odstępstw: wszystko to, co tak żywo przypominało katakumbowe czasy chrześcijaństwa, pozostawiło niezatarte wrażenie na duszy naszego Jana.

Jeżeli kwiaty pierwszej Komunii św. bywają zapowiednią owoców późniejszego wieku, można sobie wystawić, że serce naszego Świętego w tym dniu było miłą Boskiemu

Oblubieńcowi duszy i woni pełną świątynią. Cóż może być Bogu miłszego nad duszę młodzieńca spełniającego swoje powinności? bo otóż przez osobny przywilej właściwy temu wiekowi, zachowuje niewinność dziecka obok pierwiastków cnoty męża. Tkliwość uczucia, co przepelnia jego serce, w Bogu, jako w źródle swoim się skupia, a wylewa się strumieniem serdeczności i poświęcenia na rodziców i na wszystkich w około siebie w przyjaźni, dobroci i miłosierdzia ciągłych objawach. Jakżeż rad słucha on starszych, jakżeż zdaje się szczęśliwy z tego, że może woli ich zadość uczynić! jakiż wyraz czci i ufności w jego oku! jakaż niewinność w uśmiechu jego! jaka pogoda w jego weselu! słodycz i szlachetność we łzach jego!

Takim to przedstawił się Jan za powrotem do rodziny, unosząc w sercu najsłodsze wrażenia. Z latami wzmagał się w nim on święty wdzięk łaski, towarzyszącej mu zaraz od kolebki, a który mu już jednał serca towarzyszków młodości. Sama jego obecność lała błogie uczucie pokoju do serca otaczających go. Wiedząc, że wszystką swą miłość winien był oddawać Bogu, nigdy ziemską nieporządną miłością nie splamił serca; od razu przeszedł z niewiadomości złego do jego nienawiści, zawsze był aniołem lub świętym! Nieraz powtarzał: „Za młodu nie znałem złego, poznałem je dopiero w konfesjonale.“

Siostra jego Małgorzata zaświadczyła o nim, że gdy które z rodzeństwa nie chciało słuchać matki, dawała toż polecenie Janowi, a przykład jego chętnego posłuszeństwa zawsze pociągał do naśladowania.

Wraz z domownikami chodził do roboty w pole i wedle sił pracował. Nie mogąc atoli podążyć za starszym, a przeto i silniejszym bratem, wziął się na sposób i co kilka kroków kładł przed sobą figurkę Matki Bożkiej, którą był dostał od pewnej zakonnicy i z modlitwą na ustach do niej jako do mety spiesząc, doścignął brata i tyleż co on skopał.

Praca w polu, jakkolwiek uciążliwa, nigdy nie była przeszkodą pobożnemu młodzieńcowi do modlitwy w skupieniu ducha. Bo też Bóg zawsze towarzyszy czystej duszy w rozważaniu rzeczy Jego stworzonych, jakoby przyjaciel, który przyjaciela w swym domu przyjmuje i opro-

wadza. A jak wszystko staje się nam drogie, co od przyjaciela pochodzi, tak i dla człowieka, złączonego z Bogiem wszystko się mieni, wszystko wydaje się mu Boże.

Jan co dzień więcej wczytywał się w księgę stworzenia, w tę księgę, której literami są gwiazdy, a treścią Bóg, — jak się wyraża O. Graty. Pod wrażeniem obrazów wyższego świata, jakie zaludniały uroczne zacisza rodzinnej jego ziemi, jeden głos brzmiał najsilniej w jego duszy, głos religijnego nastroju, pieśni dziękczynnej i pieśni miłości ku Wszechmocnemu, Najwyższemu Bogu, który jakoby przezroczą zasloną, rąbkami wszechświata się zakrywa tak, że równocześnie prostota wszędzie Go dojrzy, hardy umysł nigdzie się Go nie domyśli.

Jeśli już nie mógł, jak za dni pasterstwa swego, ukrywać się pod cieniem ołtarzy, wzdychał przynajmniej za obecnością Boga i z zachwytem podziwiał Go w cudach Jego potęgi i mądrości. Od pierwszej Komunii św. czuł się jeszcze bliżej Niego, i w świątyni serca swego oddawał mu nieustanną cześć i pokłon.

„Gdym bywał sam w polu z motyką moją, — opowiadał Proboszcz z Ars, — modliłem się głośno, a po cichu, gdym był z drugimi.“ Jakąż to delikatność u trzy-nastoletniego chłopca, który i w najchwalebniejszych uczynkach nie chciał się drugim narzucać, nie wywoływać zarzutu, że pobożność jego jest przesadna czy zbyt surowa. Aliści w tem właśnie znak prawdziwej cnoty, która wypełniać się tak powinna, żeby nietylko Bogu była miła, lecz nawet ludziom nie przykra.

„Gdybym dzisiaj, pracując nad duszami, — mawiał jeszcze, — miał tyle czasu, ile niegdyś przy pracy w roli, myśleć o własnej duszy, modlić się i rozmyślać, ach! jakże byłbym szczęśliwy! Wtenczas bywało coś czasu wolnego do wytchnienia i wypoczynku; przed rozpoczęciem pracy po obiedzie wraz z drugimi kładłem się na ziemię, udawałem, że śpię, a modliłem się całym sercem! Dobrze to były czasy!“

„Jakem ja był szczęśliwy! — powtarzał jeszcze na miesiąc przed śmiercią, — gdym pasał moje trzy owieczki i osielka! biedny osiołek! miał ze trzydzieści lat, gdyśmy go stracili... Wówczas mogłem się modlić dowoli; nie



miałem tak rozkołatanej głowy, jak dziś. Byłem jako strumyczek, który sobie poprostu za swym prądem płynął!"

Tak to zawczasu, mądrość Boża, temu pacholeciu tak młodziuchnemu a kroczącemu już ku doskonałości objawiła rzecz, nieznaną wielu nawet takim duszom, co się mają za bardzo światłe: że Królestwo Boże w nas jest; że nie wychodząc wcale z zakresu naszych zwykłych zajęć, choćby najpospolitszych, i czyniąc to właśnie, co samo przez się nam się następuje, wypełniając obowiązek swego stanu, mamy pewny a bezpieczny sposób zbawienia się. Cała doskonałość w tem jest, a jest dla wszystkich.

Bóg waży serca a nie uczynki nasze; nie patrzy tyle na to, co czynimy, ile na sposób jak czynimy, i pobudkę, dla czego to czynimy, a za nic waży sobie rzeczy, których od nas nie żąda. Niczem jest w oczach Jego, kto nie jest tem i takim czem i jakim ma być.

Sama tylko intencja, dobre zamierzenie i najpospolitsze uczynki na szczerze przetapia złoto. Jakżeż marną rzeczą jest szklanka wody?... a wszakżeż spragnionemu podana w imię Pana Jezusa, staje się okupem wieczności. Tak całe życie chrześcijańskie składa się z drobnych uczynków, któremi wypełniają się wielkie obowiązki.

Jan Vianney rozumiał to dobrze, i jak się wyraża święty Tomasz à Kempis, czynił wiele, bo miłował wiele; czynił wiele, bo co robił, robił dobrze.

Czy szedł w pole, czy z niego wracał, zawsze odmawiał koronkę lub inne jakie pacierze. Gdy dzieci spotykał, wzywał je do odmawiania ich z nim razem, albo uczył je katechizmu. Choć się z niego śmiano, nie zrażał się, lecz spokojnie dalej chwalił Boga swego. Wieczorem choć bardzo znużony i strudzony ciężką pracą, odczytywał zawsze przy łuczywie katechizm, ewangelie lub jakie modlitwy — a potem, tak długo je pobożnie rozważał, aż snem znużony nie zasnął.

Krewne jego zapewniały, że nie czuł nigdy potrzeby rozrywki i że nie widziano go nigdy, żeby się bawił. Jedyną jego rozrywką było lepić z gliny figurki księży, zakonnic, ołtarze, świeczniki i t. p. Lubił te swoje wyroby, ale je chętnie ustępował innym. Gdy się dowiedział o jakim nabożeństwie, za pierwszym popędem serca swego,

zrywał się, by iść na nie; ale wnet go wstrzymywała uwaga, że trzeba pracować, choć na twarzy jego odbijała się żywa przykrość, jakiej ztąd doznawał. Gdy mu wtedy kto obiecał za jego figurki świętych odrobić jego pracę, nie dawał się prosić, wszystkie rad oddawał, i co prędzej spieszył na Mszę świętą. W kościele klęczał w jakim zakątku i z spuszczonei oczami, długo nieruchomy, w głębokiej zatapiał się modlitwie; niekiedy aż łzami się zalewał. Nie wyszedł zaś z kościoła bez gorących aktów dziękczynienia przed Najświętszym Sakramentem i przed ołtarzem Najświętszej Panny, poczem swobodny i wesoły wracał do domu, do pracy.

Nieraz przez żart w czasie jego nieobecności przechowywano mu narzędzia jego pracy; nie gniewał się o tę pustotę, a patrząc badawczo po obecnych, odgadywał figlarza; i dziękował mu za opiekę nad narzędziami swymi, obiecując też przysługą mu się odwdzińczyć. Tak był miły i łagodny, że go niepodobno było nie kochać.

Wspomnienia spokojnych dni młodości i tej pokornej pracy około roli pozostały na zawsze miłe Proboszczowi z Ars. Często o nich mówił z serdeczną prostotą: „Nie wstydzę się, żem w pocie czoła ziemię uprawiał, i żem tylko ciemny sobie rólNIK. Kopiać ziemię, mawiałem sobie: trzeba tobie i duszę tak uprawić, powyrywać z niej chwasty, aby ją przysposobić pod dobre Pana Boga ziarno.“

Tak o sobie w pokorze ducha mówił; ależ kąkolu nigdy nie było w tej duszy prawdziwie Bożej, gdzie prostota, pokora, pobożność, słodycz i czystość rosły jakoby same z siebie i rozwijały się bez wysiłku, niby owoc natury świętej, choć rzeczywiście były to szacowne owoce wiernego współdziałania z łaską.

## ROZDZIAŁ IV.

**Jan Vianney zaczyna się uczyć u proboszcza w Ecully.**

„I będzie jako drzewo, które wsadzone  
jest nad ściekaniem wód, które swój owoc  
da czasu swego. (Ps. I, 3).

Lecz nareszcie Bóg powstał i osądził sprawę swoją: i znów spełniła się obietnica Zbawiciela, że zwycięstwo, które zwycięża świat, jest wiara nasza. Zrozumieją dziś katolicy, którzy doznali ucisku w sumieniu, gdzież ostatni jeszcze jest przytułek wolności i godności człowieczej, z jaką radością wówczas witano powrót kapłanów wpierw wyganianych lub mordowanych i swobodę nabożeństw publicznych wpierw zakazywanych niezbożnie.

Wtedy to, znakomity pisarz La Harpe, oburzony na bezprawia swego czasu, którego prądem dał się wprzód porwać, pisał: „Głupi burzyciele, okrzyknęliście zwycięstwo, a gdzież to wasze zwycięstwo? Codzień żymacie się z wściekłości, widząc tłumy przepelniające nasze świątynie: odarte one z bogactw, lecz nie z świętości; obnażone z ozdób, ale pełne pobożnego ludu; świetność ich zniknęła, ale chwała boża w nich pozostała; nie stąpamy już w nich po marmurach i drogich kobiercach, lecz klęcząc płacemy nad zgliszczami; przybory do Ofiary przenajświętszej dziś ubogie, lecz cześć zawsze takż głęboka i pobożność takż szczerą.“

Rewolucyoniści zmożeni szalem zbrodni, przyjęli pana, który im się narzucił. Napoleon niemało uczynił dla Kościoła, wracając mu choć w ciasnych granicach trochę tej wolności, która stanowi jego siłę i życie, otworzywszy dla służby bożej kościoły, które uszły młota burzycieli; odda-

jąc jakąś cząstkę majątku kościelnego na uposażenie sług ołtarza i domów Bożych. Lecz pozostawało dzieło stokrotnie większe, dzieło przewyższające moc i władzę konsula: potrzeba było wskrziesić Francją chrześcijańską dawnych wieków, podźwignąć ją z upadku moralnego, w jaki przez dziesięć lat bezrządu głęboko zagrzeźła.

Zbawić duszę, to nie sprawa zdobywców tego świata, ni mężów stanu: mogą do dzieła tego dopomóc; lecz spełnić je, dano tylko katolickiemu kapłanowi.

Po wszystkie czasy święci kapłani byli najgorętszym pragnieniem Kościoła: ale kiedyż większa ich potrzeba, jak po takim politycznym wstrząśnieniu, wskutek którego tyle osieroconych zostało parafii, tyle świątyń bądź przez śmierć bądź przez wygnanie kapłanów stało opustoszałych?

Świątynie były otwarte, ale pod zimnem ich sklepieniem nieraz napróżno czekał lud złakniony słowa Bożego: nie było tego, coby im je mógł głosić. Szczęśliwą zwała się ta parafia, która od razu dostała pasterza. Do takich należała wioska Ecully. Biskup przy reorganizacji diecezji Lugduńskiej wynagrodził niejako żywą pobożność jej mieszkańców, naznaczając im za proboszcza zacnego wyznawcę wiary, ks. Balley.

Znana jego pobożność, wysokie cnoty i głęboka nauka od razu zjednały mu zaufanie całej okolicy; przedniejsze zacnością rodziny cisnęły się do niego, mianowicie zaś rodzina Loraz z Lugdunu, która mu wielkie świadczyła usługi, w czasie, gdy był ścigany przez rewolucyjnych zbirów. — Tęj to rodziny syna, późniejszego biskupa z Dubuques, na usilne prośby podjął się wychować. Przy tej sposobności, jak tylko objął probostwo, umyślił sobie w własnym domu założyć małe seminaryum duchowne, szkółkę przyszłych kapłanów.

Szczęśliwy pasterz, który zrozumie, że jednym z najpiękniejszych dzieł w jego życiu, a najpożyteczniejszych Kościołowi, jest rozbudzać powołanie kapłańskie w dzieciach, które go otaczają.

Jeżeli dobry ksiądz, komu zawdzięcza to, że mógł pójść za powołaniem swoim, staje się dlań pierwszym ogniwem tego łańcucha dobrodziejstw i błogosławieństwa,

które ciągle rosnać na największą chwałę Bożą i zbawienie dusz trwać będą aż do końca wieków.

O wielkim Biskupie medyolańskim powiedziano słusznie, że najpiękniejszym jego dziełem był on sławny Doktor Kościoła, św. Augustyn. To samo powiedzieć możemy o ks. Balley, że najpiękniejszym jego uczynkiem było to, że odkrył i wypielegnował powołanie Proboszcza z Ars.

Baczną uwagę nowy proboszcz zwrócił na zaniedbanie dzieci nieprzysposobionych jeszcze do Sakramentów świętych. Urządził nauki katechizmu w taki sposób, że każdy niemal dom stał się kościołem, gdyż dzieci uczyły się prawd wiary z ust własnych rodziców. Proboszcz potem uzupełniał naukę rozpoczętą u domowego ogniska. Głównie zaś z ambony wylewał gorącość swęj duszy. W żarliwych jego kazaniach niewiedzieć było, co więcej podziwiać, czy naukę, którą oświecał, czy namaszczenie, jakim przenikał, czy moc, którą pociągał.

Minęły czasy doświadczenia i smutku Kościoła św. Wrócił do świątyń swych Pan, z kąd cześć jego ustąpić musiała w pustynie i ustronia lasów; wrócił Boski Zbawiciel, przynosząc przebaczenie, rozdając łaski, ofiarując się znów na tych samych ołtarzach, z których błogosławił niegdyś przodków.

Jeśli cała rodzina Vianney'ów z radością witała powrót Pana Jezusa na ołtarze, to nasz Jan nikomu w tem powszechnem weselu nie dał się wyprzedzić. W każdą uroczystość w Ecully, na każde wystawienie Najświętszego Sakramentu spieszył skwapliwie: odległość nie była mu nigdy przeszkodą.

Niebawem zawiązał się stósunek pomiędzy nowym proboszczem, przez wewnętrzny pociąg, jakim dusze pokrewne lgną do siebie, a pobożnym chłopczykiem z Dardilly. Widok skupienia świątobliwego kapłana przy ołtarzu, głębokie wywarł na Janie wrażenie: zapragnął pomówić z nim, rozmowa ta wzbudziła drżmiące w duszy pragnienie, żeby się poświęcić służbie Kościoła. — Od tego czasu jasno widział swe posłannictwo w kapłaństwie Chrystusowem. Widział, że potrzeba światu nowych apostołów; a przekonanie to poruszyło w nim żywo pełną miłości chęć tak, że wobec tego wołania bożego zamilkły nawet wszystkie

lęki i obawy, które mu podawać mogła głęboka jego pokora.

Od najmłodszych lat miał przed sobą ten cel, jakoby szczyt świętej drabiny, której tajemnicze szczeble zakładał w swem sercu. Z wiekiem ten początkowy pobożności instynkt przerodził się w prawdziwe powołanie. W osmnaśtu latach życia każda dusza szlachetna wezbrana miłością pragnie się poświęcić. I naszego Janka dusza, jak pięknie pisze ks. Lacordaire o św. Dominiku, „niebo i ziemię wzywała o wielką sprawę, którejby mogła z wielkiem poświęceniem służyć.“ Jeśli podobne uczucia pojawiają się niekiedy u dobrych z przyrodzenia natur, jakież one silne i wielkie tam, gdzie natura i łaska zlewają się z sobą jako dwie przezyste rzeki, z których ani kropla nie spłynęła w koryto marnych namiętności!

„Gdybym był księdzem, — mawiał Jan, — chciałbym wiele dusz zyskiwać Bogu.“

Pierwsza Komunia już była rozbudziła w nim te pragnienia, objawił je też zaraz rodzicom. Ale w tak smutnych czasach trudno było myśleć o spełnieniu tych życzeń. Pius VI co tylko umarł w Walencji na wygnaniu: a potrzeba było bardzo silnej wiary w obietnicę Chrystusową daną św. Piotrowi o niepożytej trwałości Kościoła, żeby w tych smutnych czasach nie zwątpić o przyszłości papieżstwa, czy z Piusem już ono nie gasło. Choć więc rodzice nie opierali się jego zamiarom, roztropność kazała im na później odłożyć wykonanie.

Cóż wtenczas czyni młody Vianney? To, co później tak często innym zalecał душom przechodzącym tę samą próbę: powołanie swoje oddał pod straż posłuszeństwa i modlitwy. Kazano mu czekać: więc czeka, mocno przekonany, że prędzej czy później Bóg zrobi z nim to, co mu się będzie podobało, i że potęgą swoją pokona i takie przeszkody, coby się zdawać mogły nieprzewyciężone.

Tak to wiara prosta wypatruje ścieżki, i drogi zdarzeń tam, gdzie polityków wzrok się zaciemnia i mądrość ludzka ustaje.

Jak gdyby na poparcie tych jego nadziei, został zawarty konkordat roku 1801. — Młody Vianney, sądząc, że ta chwila dlań stosowna, by urzeczywistnić swe duszne



pragnienia, udał się do proboszcza w Ecully. Ten to był pośrednik, którego mu Bóg przeznaczył, iżby go niejako za rękę prowadził w dziedzinę życia apostołskiego na to pole pracy, dokąd go Opatrzność powoływała.

Jak czytamy o Chrystusie Panu, że spojrzawszy na młodziana, tem jednym spojrzeniem pociągnął go ku sobie, podobnież ks. Balley, umiejący też czytać w sercu, od razu serdeczną powziął życzliwość dla téj duszy szczeréj, prostéj a podniosléj w uczuciach młodego chłopięcia. Zachęcał go do wierności swemu postanowieniu i upewnił go, że wszystko dla niego uczyni, co tylko będzie w jego mocy.

Rodzice Jana z radością przyjęli ofiarowaną synowi opiekę proboszcza i niezwłocznie zajęli się umieszczeniem go w Ecully u swych pokrewnych.

Znajomi i sąsiedzi Vianney'ów tak kochali Jana, że wszyscy byliby chcieli przyczynić się do jego wyprawy; lecz jedna tylko pobożna wdowa z Ecully dostąpiła, według mniemania tych poczciwych ludzi, zaszczytu, że przyjęło jęj usługi. Zająła się bielizną młodego ucznia, przy czem miała sposobność odwiedzać go raz po raz i budować się jego pobożnością.

Wykształcenie Jana Vianney było dotychczas wielce zaniedbane w naukach wiekowi jego przyzwoitych; w wieku w którym inne dzieci kończą szkoły, on prawie nic nie umiał. Innych możeby ta okoliczność była zniechęciła, lecz nie Jana, ani jego nauczyciela.

Nie prawie nie umiał, bo zaledwo zdołał czytać w swéj książce od nabożeństwa; ale za to posiadał najpotrzebniejszą naukę, którą księga o Naśladowaniu Chrystusa zowie mądrością i wielką doskonałością, umiał gardzić sobą. Mistrzem jego w téj nauce był sam Duch święty, który „gdzie chce technie,“ i którego słowo brzmi tak potężnie, że wątpić nie można, iż to Pan mówi; nauczył się od Niego być „cichym i pokornego serca,“ u stóp Krzyża składać trudy i znoje życia swego; nauczył się rozmyślać, milczeć i ufać.

Jak gdyby więcej jeszcze wyniszczyć chciał jego miłość własną i usunąć od niego wszelkie pokusy próżnéj chwały, Pan Bóg pozwolił, że łamać się musiał z niepo-



jętami trudnościami, tak tępą miał pamięć i pojęcie nie bystre.

Zacny nauczyciel jego nie zniechęcał go niewczesnymi wymówkami; lecz przeciwnie, pomagał mu i pocieszał go, budząc do wielkiej ufności w Bogu.

Czasami biedny chłopczyzna, przygnębiony i napróżnym wysiłkiem zniechęcony, chciał iść do rodziców, lecz ks. Balley nie puszczał go w takim usposobieniu. „Chcesz iść do nich, — przekładał mu z dobrocią, — a oni, widząc próżną twą pracę i daremne ofiary swoje, będą cię chcieli w domu zatrzymać, a wtedy pożegnaj się z kapłaństwem, z zbawianiem dusz!”

Podobne przemowy budziły w młodzieńcu nową siłę, krzepiły mdlejącą odwagę; znów z podwójną usilnością zabierał się do nauki.

Katarzyna Lassagne, dawna nauczycielka ochronki w Ars, podając nam wiele wspomnień drogocennych z życia świętego Proboszcza, który poufnie zwykł był z nią mówić, — zamieszcza pomiędzy innemi szczegół tak znamienisty, jaki tylko w życiu Świętych napotkać można. Jest to jedno z tych nagłych a niezwykłych natchnień, wprost z nieba pochodzących, za którym jeśli się ma odwagę pójść, to już potem żadne ofiary ni umartwienia nie wydadzą się więcéj trudne.

Jan, widząc się tak upośledzonym umysłowo, że na zawsze wyrzecby mu się trzeba stanu, do którego wzdychał, umyślił uciec się do nadprzyrodzonych sposobów, by pokonać trudności w nauce. Poradziwszy się swego spowiednika, ślubował iść pieszo, o żebranym chlebie do grobu św. Franciszka Regiusza, i prosić go, iżby mu wyjednał łaskę, aby i on podobnym jemu stał się wiernym i dobrym pracownikiem Pana.

W drodze spotykały go niemałe upokorzenia. Nieraz odmawiano mu noclegu, biorąc za złodzieja i włóczęgę, a nie za prawdziwego ubogiego. W Louvex musiał prosić o zmianę w swym ślubie: wracając płacił już za żywność i noclegi, tylko pieszo kończył pielgrzymkę.

Dobry Bóg nie mógł bez nagrody zostawić tyle usiłności i tak wielkiej ofiary, wysłuchał go: przyczyna świętego Franciszka, do którego wielkie nabożeństwo odtąd zachował. wyjednała mu pożądaną łaskę, tak, że zadziwiał nauczycieli, którzy już o nim byli zwątpili. Od tej chwili, zniknęły wszelkie trudności, drzewo wiadomości słodsze poczęło rodzić owoce i ów dawniej tępy uczeń, doskonale teraz pojmował wszystkie wykłady.

W kilka lat później poszedł za jego przykładem znakomity Żyd nawrócony, uczony teolog Liebermann, założyciel kongregacji Misyjonarzy Niepokal. Serca N. P. Maryi.

Porzucił był judaizm, marzył o kapłaństwie, lecz niepokonane trudności stawały mu w drodze. Niemając nikąd pomocy, do Boga się po nią udał, odprawiając pielgrzymkę do Loreto w żebraczym ubraniu. I jemu nie szczędzono upokorzeń: wzięty za złoczyńcę, był łony, wypędzany, pohańbiony, aż wychyliwszy do dna czarę wszelkich udręczeń, a upojony miłością i pociechą, padł na kolana przed świętym Domkiem *la santa Casa*! Światło spłynęło w duszę jego bystrym potokiem, poznał zamiary Boże nad sobą; poznał, że ustaną przeciwności i że odbierze święcenia kapłańskie i wstał silny wewnętrznym uczuciem pewności i bezpieczeństwa.

Jan na nowem swem mieszkaniu rozpoczął już życie pełne umartwienia. Ułożył się z kuzynką, która w domu dziadków kuchnią się trudniła, aby mu zupy nie doprawiała ani mlekiem ani masłem; za powolność jego życzeniu wynagradzał ją uśmiechem i raz po raz pobożnymi podarkami; a nie ukrywał żywej przykrości swęj, gdy jego polecenia nie spełniła. I w Ecully był zawsze przyjacielem i opiekunem ubogich; nie mógł znieść widoku nędzy. Razu jednego w drodze z Ecully do Dardilly spotkał ubogiego bez obuwia; bez namysłu dał mu swoje i boso przyszedł do ojca, który jakkolwiek miłosierny, łajał go za to.

Umiał on już wtedy służyć dobrą radą. Krewny jego odebrawszy list od młodego zakonnika, również krewnego, który mu z zapalem opisywał szczęście życia zakonnego, począł staczać na siebie znaną od wieków walkę



pomiędzy pociągiem do służby Bożej a przywiązaniem do rodziny; za poradą pobożnych rodziców, gotowych poświęcić Bogu syna, udał się po rozstrzygnięcie do Jana.

On przeczytał list i rzekł bez wahania: „Mój drogi, zostań w domu, potrzebny jesteś starym rodzicom; a powołaniem twojem pomagać im, starać się o nich i oczy im zamknąć.“ Pan Bóg miasto zdolności umysłowych, dał mu przedziwny dar rozsądzania; rozsądek, rozstrzygający wątpliwości stanowczo i trafnie, czem później, gdy już był kapłanem, celował, i co całe tłumy po radę doń ścigało.

---

## ROZDZIAŁ V.

Jan ściągnięty do wojska, ukrywa się w górach.

„A iżeś był przyjemny Bogu, potrzeba było, aby cię pokusa doświadczyła.“  
(Tob. XII, 13).

Zaledwo minął jeden kłopot biednego ucznia, aliści cięższa przypadła nań próba.

Cierpienia zsyła Bóg, by doświadczyć wartość duszy, jej wierność i jej miłość. „Cóż wie ten, co nie nie cierpiał?“ Nie, bo sam siebie nie zna. Nie dziw więc, że każde życie świątobliwe jest nacechowane cierpieniem od początku do końca. Im więcej Bóg zamierza duszę ku sobie podnieść, im większe przeznaczają jej dzieła, tem niejako troskiwiej próbuje ją cierpieniem.

Z tego punktu zapatrywać się będziemy na dalszy rozwój wypadków, którymi tu tak jawnie Opatrzność kierowała.

Z obawą i wahaniem przysłoby nam opowiadać następną ustęp tego żywota, gdyby to był zwyczajny sobie człowiek, gdyby tu nie pojawiała się ręka Opatrzności, co wiedzie wybrańca łaski swojej ku celom przejrzanym od wieków przez swą Mądrość Przedwieczną.

Niejeden mógłby zarzucić tu Janowi przestąpienie prawa; ktoś inny, słabość, wywołaną uczuciem, która nie łatwo się przebacza. Ależ osnowa tego żywota heroicznego dostatecznie każdego przekona, że choć prawie poniewolnie z biegiem okoliczności przyszedł do tego, że uchylił się od służby wojskowej pod sztandarem, który nie był ani jego, ani sprawiedliwości znakiem, nie można go przecież podejrzewać o tchórzostwo.

Gdyby nawet Jan Vianney tu zawinił, nie ukrywali-  
byśmy jego winy; bo chwała Boża nie potrzebuje nigdy ukrywać upadków sprawiedliwych: niewierni mogą się z tych

upadków radować, słabi im dziwić; lecz, kto mocnej jest wiary, raczej z nich pochop weźmie, by podziwiać tę wyższość chrześcijaństwa, które nigdy nie przedstawia Świętych jak stoicy swych mędrców za ludzi bez namiętności i bez ułomności; bierze ich takimi, jakimi są z zwykłemi nędzami natury, chwiejnymi, krewkimi, ale zdolnymi krwawą i długą walką i bohaterskim wysiłkiem opłacić jedną chwilę małoduszności.

Ks. Balley, widząc, że nadchodzi jego uczniowi wiek odświeżenia wojskowości, pospieszył wpisać go w Lugdunie pomiędzy kandydatów do stanu duchownego, wolnych jak wiadomo od służby wojskowej. Atoli za dopuszczeniem Bżem zapomniano wciągnąć imienia jego do rejestru, i spostrzeżono pomyłkę dopiero w trzy lata później, gdy odebrał rozkaz od władz, żeby się stawił do Bayonny.

Łatwo sobie wystawić, jak ten wypadek przeraził całą rodzinę; sam Jan wszystkich pocieszał, nie dając po sobie poznać wielkiej boleści duszy.

Rodzice chcieli go wykupić i znaleźli już zastępcę za niego, któremu ofiarowali trzy tysiące franków; lecz w kilka dni po zawartej ugodzie, ów młody człowiek cofnął swe przyrzeczenie i odniósł pieniądze.

To usilne staranie, żeby przytłumić swą żalność, powaliły wreszcie Jana na łożę boleści: chorego zabrały władze wojskowe do lazaretu w Lugdunie.

Przez dwutygodniowy pobyt jego tamże, odwiedzała go rodzina. Nie ustawał mówić jej o poddaniu się wyrokowi Opatrzności, a mówił tak pięknie i przekonywająco, że pod wrażeniem słów jego słodką zdawała się gorycz i wszystko najlepszem, co Bóg rozrządził: wzmocnieni i pocieszeni żegnali go wszyscy.

W dwa tygodnie później, gdy już odzyskał nieco sił, przeniesiono go do Roanne, gdzie znów kilka tygodni spędzić musiał w lazarecie. I tu również odwiedzała go rodzina, otaczając go taką czułością i takim poważaniem, że dozorujące tam Siostry Augustyanki baczniejszą zwróciły na młodego rekruta uwagę. Poznawszy jego cnoty, powzięły dlań prawdziwe uwielbienie i otoczyły go tą czułą troskliwością, właściwą chrześcijańskiemu miłosierdziu.

Dzięki temu staraniu wkrótce przyszedł do zdrowia i przyłączono go do oddziału, wykomenderowanego do Hiszpanii.

W dniu, kiedy oddział miał wyruszyć, Jan poszedł z rana do kościoła; a szukając pociechy w modlitwie, niepostrzegł się, jak minęła godzina, w której miał się stawić u biura. Kapitan oddziału wyłajał go za to, pogroził nawet, że go w kajdanach każe odstawić do oddziału, lecz na wstawienie się drugich urzędników, którzy nie mogli się dopatrzeć, żeby złą zgrzeszył był wolą, dał mu jego marszrutę.

Szedł Jan z duszą wezbraną ciężkim smutkiem: wołanie Boże do kapłaństwa paliło go, a przejmował najwyższy wstręt do innego stanu, mianowicie do wojskowego.

Przykrą mu była myśl, że on, który dotychczas karmił się chwałą Bożą, miał teraz obcować z ludźmi wolnymi w słowie i obyczajach, których często słyszał przeklinających prawo i przełożonych i bluźniących Bogu.

Dla przerwania tych smutnych myśli, wydobył różaniec, udając się do zwykłej swjej Uciezki, N. Panienkę prosząc o pomoc i pociechę.

Zaledwo skończył modlitwę, jakiś nieznajomy zbliżył się do niego i począł wypytywać o cel jego drogi i o przyczynę smutku. Jan opowiedział swoje dzieje: młodzieniec, wziąwszy jego tornister, który mu ciążył, zapewniał, że mu zaufać może i sprowadziwszy z bitego gościńca, jakąś bochną, polną poprowadził go drogą. Jan szedł za nim jako za dobrym przewodnikiem, szedł długo przez lasy i góry, coraz więcej oddalając się od traktu, aż wreszcie upadał od znużenia; lecz młodzieniec krzepił go dobrotliwemi wyrazami zachęty.

Do ciemnej nocy szli bez wytchnienia; dopiero około dziesiątej stanęli przy osamotnionej chatce, w której dwoje mieszkało ludzi. Nieznajomy zapukawszy, polecił im po cichu swego towarzysza i znikł... Jan Vianney nigdy go później nie spotkał i nigdy się nie dowiedział kim on był.

Poczciwi ludzie poczęli się krzątać około ugoszczenia podróznego, jakiego im Bóg nasał; karmią czem chata bogata, własnego łóżka czysto usłanego ustępują, a sami na poddaszu słomę sobie ścielą. — Gospodarz domku był

sam ubogi, trzymać go u siebie nie mógł; ale upewnił, że go umieści w miejscu bezpiecznym.

Jan poddał się tej perswazyi: cóż zresztą lepszego nad to mógł uczynić, jak zaufać Opatrzności, która wczoraj nad nim tak dobrotliwie czuwała.

W pobliżu pustelniczęj chatki naszych ludzi, była wioska Noës, znajdująca się na samej granicy departamentów Loary i Allier. Tu go przyprowadzono — do kogo? do samego mera tj. naczelnika gminy. Naczelnik gminy, wszak wyborny opiekun dla dezertującego rekruta! w tych czasach i to zdarzało się nie rzadko. Pocziwy ten człowiek, całym sercem zajął się losem Jana i umieścił u wdowy, którą cała wieś poważała. Proboszcz z Ars nieraz mawiał o niej: „Choć wielu poznałem Świętych, ks. Balley i matka Fayot najpiękniejsze były dusze, jakie napotkałem w życiu.“

Matka Fayot rzeczywiście przytuliła młodego zbiega macierzyńskim sercem. Jan, chcąc się wywdzięczyć za przytułek, ofiarował się merowi na wiejskiego nauczyciela, co z ochotą przyjęto. Wkrótce na tem stanowisku zjednał sobie miłość i szacunek powszechny.

Wieczorem odmawiał pacierz wspólnie z rodziną, i jak później opowiadał Jan Fayot, najstarszy syn wdowy, który sypiał z nim w jednym pokoju, w nocy często szeptał pacierze.

Kilka razy na tydzień przystępował do Stołu Pańskiego, choć proboszcz miejscowy znany był z surowych swych zasad. W Noës, jak wszędzie, gdzie się pokazał, budował obecnych swą skromnością, skupieniem, przykładnością w obejściu z ludźmi, gorliwością w spełnianiu podjętego obowiązku.

Z sąsiednich wiosek przychodzili ludzie, by się pomodlić i pieśni śpiewać z nim razem; już wówczas pielgrzymki do niego się zaczynały.

Gdy z wiosną szkoła wypróżniła się z dzieci potrzebnych rodzicom w gospodarstwie, Jan ze szkoły na pole przeniósł swą pracę; żadną robotą nie gardził, do każdej brał się ochoczo. Przy sianozęciu tak chciał wszystkim pomagać, że aż się zerwał pracą i kilka tygodni odleżał.

Mieszkańcy Noës cenili go bardzo i obawiali się utracić go kiedy. Wszyscy starali się ukryć go: osobne czaty,



na górach przestrzegały o bliskości niebezpieczeństwa, gdy się obawiano najścia żandarmów. Raz ukryto go w sianie na strychu nad oborą. Tam tyle ucierpiał od gorąca i zaduchu, że jak sam później wyznawał, nigdy tyle nie ucierpiał, jak wtenczas. W tej to kryjówce obiecał Bogu nigdy się na nie nie skarżyć. „Prawie dotrzymałem obietnicy,“ dodawał z prostotą.

Proboszcz z Ars lubił wspominać pobyt swój w Noës. Wspomnienie jest wonią duszy: wszak to ona najwdzięczniejsza, najdelikatniejsza cząstka serca, odrywa się ku minionej przeszłości, ku istotom, które się znało i kochało: wspomnienie to niejako drugie życie w życiu.

Wspomnienia z Noës towarzyszyły Proboszczowi z Ars do najpóźniejszej starości. W Noës pragnął być proboszczem, i tam, gdyby mu Biskup był pozwolił opuścić Ars, byłby niezawodnie zakończył życie.

Wdzięczność to prawdziwie cnota Świętych: wdzięczność ks. Vianney nie stygła nigdy, zachował ją na zawsze mianowicie dla matki Fayot. Jeden list jego do niej już ogłoszono drukiem: zbyt on wiernem jest odbiciem jego duszy, żeby go tu nie powtórzyć.

Ars, 7 listopada 1823.

Szanowna Matko Fayot!

Nie umiem Wam wypowiedzieć, jaką to dla mnie radością pisywać do was corocznie. Myślałem wybrać się do was, by wam znów okazać wdzięczność za wasze dobrodziejstwa w czasie mego smutku i wygnania. Choćem od was daleko, wierząc, żeście mi co chwila na myśli, a szczególnie w czasie Mszy ś. proszę Boga, aby was Matko pocieszył w chorobie i kłopotach.

Mam parafianina z Waszych stron, który mówił mi, że latem wróci do swoich, a ja z nim do was się zabiorę, by spędzić kilka błogich chwil na rozmowie o Bogu, o szczęściu jakiego się spodziewamy tam w tem pięknem niebie, które wam Matko wynagrodzi za wszystką dobroć dla mnie.

Możeście sądzili, gdym nie pisał, że m już zapomniał o was; o wszystkim coście dla mnie uczynili. O nie! moja droga Dobrodziejko! wasze dobrodziejstwa tak głęboko wryte w mem sercu, że nigdy się w niem nie zatra. Często myślę o pocziwych wa-

szych dzieciach, które były tak dobre dla mnie. Polecam się ich pamięci w modlitwach.

To coście mi winni moja dobro Matko, całym sercem wam daję. Tylko proszę, jeśli żyje jeszcze biedna P..., dajcie jej cokolwiek i powiedzcie, aby pamiętała o mnie w modlitwie; również pocziwej D..., która może jest w nędzy. Nie zapomnę tego, co ona dla mnie uczyniła, gdym ją wyjechał.

Matce F. powiedzcie, że miałem wiadomości od jej syna, który jest księdzem; jest zdrow, dobrze się prowadzi i bardzo jest lubiony od swego Biskupa.

Wszystkim mym znajomym z Noës z łaski swjej oświadczcie moje uszanowanie i uczucia wdzięczności; dobrodziejstwa ich pozostaną niezatarte w mej pamięci. Powiedzcie tym dwom znacnym niewiastom przy probostwie, że je proszę, aby przyjęły me podziękowanie za ich dobroć dla mnie. One powtórzą temu dobremu chłopcu, który mi dał pieniędzy na drogę, że często o nim myślę. M. F. i wszystkim ich domownikom powiedzcie, że nie zapominam ich dobrodziejstw i pozdrowcie pocziwą T... która za mnie była u was.

Spodziewam się na przyszłe lato wybrać do was. Ucieszyłbym się, gdyby które z dzieci Waszych mnie odwiedziło; miłoby mi było przyjąć tych, którzy mi tyle dobrego wyświadczyli. Powiem wam Matko, że mam bardzo pobożną parafię, która całym sercem służy Bogu.

Kończę, prosząc abyście, dobra moja Matko, oświadczyli najgłębszą mą cześć dla szanownego waszego proboszcza, oraz ilem mu winien za jego dobrodziejstwa za czasów mego wygnania.

Wy zaś Dobrodziejko moja przyjmijcie wszystko, czem serce moje zdolne wam dowieść mej wdzięczności i szacunku.

J. M. Vianney,  
proboszcz z Ars.

Matka Fayot odwdzięczała się za to przywiązanie; zdawało się, że umrze z radości na wiadomość, że jest wyświęcony na kapłana. W kilka tygodni później, gdy się dowiedziała, że został wikarym w Ecully, spiesznie podążyła do niego. Pod wrażeniem żywego uczucia, jakim była przejęta, nie zważała na zgromadzonych na probostwie duchownych z całej dyccezyi, śmiało przediera się przez

ich szeregi i na widok swego Janka, swego syna przybranego, bez pytania rzuca mu się na szyję i ściska serdecznie.

Proboszcz z Ars ze śmiechem nieraz wspominał tę scenę, i rumienił się na wzmiankę o tych uściskach.

Aby wedle praw moralnych osądzić tę dezercyę, trzeba ją widzieć w świetle własnego sumienia młodego Vianney'a. To pewna, że działał bez rozmysłu uprzedniego: proste powiązanie wypadków, wyklucza nawet przypuszczenie czegoś podobnego. Nadto trzeba nam się przenieść w czasy, kiedy się to działo. Wojna w najlepsze wrzała naówczas w Hiszpanii, po oblężeniu Saragosa i w chwili wywiezienia Piusa VII. Przykrzyło się już Francyi kwiat rycerstwa swego poświęcać ambicyi nienasyconego zwycięzcy, wyrzekała się już chwały tak drogo opłacanej.

Póki wielki rozgłos niesłychanych zwycięstw i tryumfów świadczyły o potędze oręża francuzkiego i geniuszu Cezara Francyi, sława wojenna krzepiła kraj znużony i śmierzyła nieco ból serc sierocych.

Teraz sprawiedliwym zwrotem w pojęciach nagła zaszła zmiana: ośmielono się sądzić władzę, która przez czas niejaki owładnęła umysły wszystkie urokiem swoim. Żałoba licznych rodzin stanęła teraz jako straszna i surowa oskarżycielka. Krwawa a tak niesprawiedliwa wojna hiszpańska, targnięcie się na państwo papieżkie, i wreszcie klątwa rzucona na wielkiego Cesarza przeraziła sumienia; poczęła zniechęcać serca sprawie Cesarza. Od tego czasu niechętnie ulegano nowemu poborowi wojska, i nieraz władza siły użyć musiała, by pokonać opornych. Dezercye z wojska stały się rzeczą powszednią; bo się pytano, czy sprawiedliwe było to prawo, które wszystką krew Francyi ssalo, i czy sumienie nakazywało mu się poddawać bez oporu.

Zważywszy te wszystkie okoliczności, wypadnie nam uniewinnić naszego Jana, który jak tyłu innych w tym czasie działał w dobrej wierze.

## ROZDZIAŁ VI.

### Powrót Jana Vianney — Dalsza jego nauka u proboszcza w Ecully.

„Po niepogodzie pogodę czynisz: a po płaczu i żałobie pocieszenie wlewasz.“  
(*Tob. III, 22*).

Pośród pociech, jakich Jan doznawał na wygnaniu, nie spuszczał z oka tej przyszłości swojej, jaka mu się w głębi duszy objawiła, i nie zapominał cichego szczęścia w zaraniu lat swoich, którego późniejsze radości nie zastąpią, ani smutki życia nawet nie zatrą. Wzdychał on do lepszych dni, gorąco o nie Boga prosił, i czekał aż zmiana stosunków pozwoli mu powrócić do ojcowskiej zagrody, do Ecully, do tych wszystkich miejsc, do których myśl jego przyrosła.

Dla tego prostego a czulego serca wspomnienia rodzinnej ziemi wiały świeżością i poezią; czarowny był dla niego obraz miejsc, w których dziecięce zeszyły mu lata; a każdy kamień, każdy krzew i każda ścieżka przypominały mu jakąś myśl pobożną, to znów słodkie widzenie... Tęskno mu było za tą kolebką swych uczuć, a najwięcej tęskno mu było za rodziną. Miłość rodziny po Bogu, jest cechą wszystkich pięknych, szlachetnych dusz: znamionowała ona i duszę naszego Jana.

Tymczasem rodzina jego żadnych nie miała od niego wieści. Biedna matka rozchorowała się ze zmartwienia; a gdy się udała po pociechę do proboszcza w Ecully, rzecz dziwna, on kapłan tak łagodny i cierpliwy, szorstko wymawiać ję zaczął, że nie ufa Bogu; pocieszył ją jednak w końcu temi słowy: „Bądźcie spokojni, syn wasz będzie jeszcze księdzem.“

Maciej Vianney oprócz niepokoju o syna, miał ciągle nieprzyjemności z władzami. Urzędnicy nagabywali go co

chwila o Jana, i grozili inkwaterunkiem, który go zniszczy, jeśli nie wyda miejsce jego pobytu.

Wśród tych okoliczności, Matka Fayot, wybrawszy się do Charbonnière, do wód mineralnych w okolicy Ecully, obiecała Janowi, że odwiedzi jego rodziców, i nie wyjawiając, z kąd pochodzi, udzieli im wiadomości o nim.

Łatwo sobie wyobrazić z jaką radością słuchali jej opowiadania, że ukochane ich dziecko w bezpiecznem było miejscu, że mu na niczem nie zbywało, że i tam pośród obcych jest kochany i szanowany jak i pośród swoich.... Serce biednej matki rozplýwało się z wdzięczności ku Bogu i z wdzięczności ku tej, która syna jej macierzyńską otoczyła opieką.

Obie kobiety uradziły między sobą drogę do tajemnej korespondencyi matki z Janem i wybrały wdowę Bibot na zaufanego posła.

W kilka miesięcy później, przy nowym poborze do wojska w roku 1810, Franciszek Vianney młodszy wyciągnął los, i w celu uwolnienia rodziców od nawiedzin komisarzy i policyi, wyprzedził powołanie rezerwy i przyłączył się do oddziału stojącego w Pfalsbourgu. Ztąd wyruszył do Frankfurtu w r. 1813 i zginął bez wieści. Zdaje się, że padł w pierwszych potyczkach, które poprzedziły bitwy pod Weissenfels i pod Lützen.

Proboszcz z Ars często podziwiał dziwną zmianę w usposobieniu kapitana, tak mu dopiero straszego. On sam później starał się o to, aby Franciszka w jego miejsce zapisano do wojska, i aby tem samem uwolniono go od służby, aby imię Jana całkiem wymazano z listy wojskowej.

Z podwójnem uczuciem radości i smutku przyjęli niespodziewaną wiadomość tę mieszkańcy Noës. Wszyscy poczęli się krzątać około jego wyprawy, każdy swą cząstkę składał w pieniądzech, bieliźnie, ubraniu. Sprawili mu sukienkę duchowną, pragnąc koniecznie widzieć go w niej, nim od nich wyjedzie.

Żal poczeiwych tych ludzi słodziła myśl o szczęściu Jana wracającego do rodziny, dla dalszych nauk duchownych.

Powrót młodego Tobiasza, opisany w Piśmie św. może chyba dać pojęcie tej radości, tych łez i uczuć wza-

jemnie wylanych, gdy Jan stanął wśród swoich po czterestu miesiącach tułactwa. Matce biednej zdawało się, że ogląda syna wskrzeszonego, którego nie myślała już nigdy ujrzeć.

I sędziwy proboszcz z Ecully nie mniejszy wziął udział w powszechnej radości. Bóg, któremu zaufał, urzezywistniał jego nadzieję, a pełen pociechy, że pobożna ręka ucznia jego zamknie mu powieki, wołał za Symeonem: „Teraz Panie puść sługę Twego w pokoju.“ — Gdyby był mógł uchylić zasłonę z przyszłości, byłby może dokończył tę pieśń: „Gdyż oczy moje oglądały tego, któregoś zgotował przed oblicznością wszystkich ludzi: Światłość na objawienie poganów i chwałę ludu twego Izraelskiego.“

Jan tedy wrócił pod silny a łagodny kierunek swego nauczyciela, pod którym spotężniały i rozwinęły się wszystkie jego dobre skłonności. Wsparty radą a przede wszystkim przykładem męża wyćwiczonego w cnocie, doskonalił się coraz więcej w pokorze, w zaparciu się siebie i w umartwieniu, bez czego niepodobna poświęcić się miłości Boga i bliźniego. Pod jego okiem nawykło serce jego odrywać się od ziemi, a wznosić się ku Bogu na tych dwu skrzydłach, którymi są czystość i prostota.

Już naonczas umartwiał się bardzo, ale wiedział, że najdoskonalszą pokutą jest: spełniać każdej chwili wolą Bożą, choć idącą w poprzek woli własnej, a to mimo oschłości, niesmaku i wstrętów. Przejęty wdzięcznością za dary Boże, ćwiczył się codziennie, aby się stawać coraz lepszym i wierniejszym pracownikiem Pana! Pragnął być świętym; pragnął zbawiać dusze; i w tym celu wyrabiał w sobie onę wytrwałą, cierpliwą żarliwość, która potężnie wspiera zdolności umysłu, a przewyższa nawet tę łatwość, jaka jest udziałem geniuszu, jeżeli sama nie jest już cechą, piętnem geniuszu. On pojmował posłannictwo kapłana tak, jak pojmować się winno, i chciał o ile to w mocy człowieka, odpowiedzieć straszliwym stanem tego wymaganiom. W tym to czasie śmierć matki ciężki cios zadała jego sercu: zdanie się na wolą Bożą i tu było dlań pociechą rzetelną i osłodą.



## ROZDZIAŁ VII.

### Jan Vianney w seminaryum w Verrières.

„Bierzcie sobie wszystkie syllogizmy, wykrętne słowa i sofismata, niedocieczone kwestye i aforyzmy i subtelne rachuby.“

„Chwalcie sobie Sokratesa i Platona... silcie się na argumenta takie i owakie. Daruję wam przedziwny dar Aristotelesia. Dusza czysta i prosta wznosi się sama bez pomocy filozofii, aż przed Oblicze Boże.“ (*B. Jacopone de Todi, Poesie spirit. liv. I, sat. I*).

Młody Vianney kończył nauki gimnazyalne i ukształcił się w miarę swych zdolności; co nie dostawało mu w wykształceniu, zastępował niepospolitemi przymiotami serca i duszy. Śmiało można było otworzyć mu podwoje świątyni.

Ks. Balley byłby mógł stopniowo doprowadzić swego ucznia aż do święceń kapłańskich, lecz uważał słusznie za rzecz lepszą, żeby w życiu wspólnem, z drugimi pod okiem zwierzchności duchownej się kształcił, i dla tego umieścił go w seminaryum w Verrières.

W Verrières kwitła pobożność; ale wskutek współzawodnictwa naukowego, jaki istnieje po wszystkich zakładach naukowych, wyrobiono sobie i tu sąd o uczniach, wedle jego zdolności i świetnego powodzenia w naukach. I nie dziw: cnota, przedewszystkiem gdy jest rzetelna, prawdziwa, nie bije w oczy od razu; kryje się raczej, to jest instynkt prawej cnoty; przeciwnie nauka, błyszczy, narzuca, olśniewa się oczom.

Trudno więc potępiać kolegów młodego Vianney, że



się nie poznali od razu, jaką w nim perłę mają; oni po swojemu osądzili go, że, jak się to w szkołach mówi, „nie tęgi“ w naukach.

A przecież, jeśli podług określenia św. Augustyna, prawdziwą filozofią jest Boga kochać, któryż z jego towarzyszków większym był filozofem nad niego?

Bóg, który sam zwie się „Bogiem umiejętności,“ gardzi nieraz umiejętnością i bez niej dokonywa swe dzieło, aby poniżyć „wszelaką wysokość wynoszącą się przeciw Niemu.“ (II Kor. X, 5). Potrzeba było takiej nauki naszemu społeczeństwu, które nawykło pomiatać pomocą Bożą, wprost przeczyć wpływom nadprzyrodzonym; potrzeba jęj było społeczeństwu tak mądrymu, tak oświeconemu, tak pewnemu siebie i swojej przyszłości, tak pysznemu ze swego postępu materyalnego.

Zresztą dwojaka jest niewiedomość. Jedna niewiedomość pełna pychy, której pierwszą cechą, że siebie sama niezna, która chodzi z głową podniesioną, zarozumiałością zaślepiona, której przywilejem mówić i robić głupstwa bezwiednie i z podziwienia godną pewnością siebie. Druga niewiedomość pokorna, nieśmiała, która zna swoje ubóstwo; korzysta z niego, by się uniąć pod wolą Bożą, by nie robić, nie poradziwszy się wpierv Ojca światłości.

Taka niewiedomość tak jest Bogu miła, że jęj dozwala sięgać, gdzie najwyższy rozum nie sięga.

Taka była niewiedomość naszego świętego młodzieńca. Ściągała ona nań, a przez niego na wiele innych, łaski nadzwyczajne. W Verrières narażała go wielokroć na zawstydzienia, które z wielkoduszną obojętnością znosił i tak przez całe życie dawała mu pochop i sposobność do upokarzania się.

Najlepszym dowodem, do jakiego stopnia był pokorny już w tak młodym wieku, jest nam list niniejszy z 1813 roku, tchnący boleścią i zawstydzieniem z tego, że żalem napełnił serce ojca swego przez wspomnianą już ucieczkę swą do Noës.

Drogi Ojcze!

Pozwól najniegodniejszemu Twemu dziecku raz jeszcze zakosztować dawnego szczęścia w rozmowie z rodzicem, którego

dobroci nie warto, nadużywamy jej tak długo i tak haniebnie. Ależ czułość ojcowska nie zna granic: ta miłość rozplonienia się jeszcze więcej względem niewdzięcznego i pogardy godnego syna, którego Ty Ojczy mimo to obsypujesz dobrodziejstwami.

Ach! tak, najczcigodniejszy Ojczy, wyznać muszę, że tylko rodzice, których Bóg wyposażył łaskami przeobfitymi, mogą zapomnieć takiej krzywdy doznanej od syna tak niewdzięcznego, jak ja.

I cóż mi teraz pozostaje, nad to, jak łączyć rzewne w obliczności Tego, który sam jeden może zastąpić niewdzięczność moją względem ojca mego czi najgodniejszego? Zrozumiałem to dopiero, oddalony od was. A jakież dowody przywiązania dawałeś mi Ojczy, gdy miałem szczęście ostatnią razą Cię widzieć!

O drogi Ojczy! póki mi Bóg życia udzieli, jednego dnia nie zapomnę błagać Go, aby raczył złączyć na Ciebie wszystkie swe błogosławieństwa, i zachować Cię nam jak najdłużej. O! nigdy, nigdy, drogi Ojczy, niezliczone Twe dobrodziejstwa nie zatrą się w mem sercu, również jak niewdzięczność moja, którą będę opłakiwał całe życie.

Racz Ojczy puścić w niepamięć całą przeszłość. Niech mi Bóg przebaczy, jak Ty mi przebaczasz, abyśmy kiedyś złączyli się u Tego, który jest szczęściem Świętych w niebie! Tam Ojczy cierpienia Twoje a mój żal ustana na zawsze.

Piszę do Ciebie Ojczy, nie tyle, aby ci moich udzielić wiadomości, ile aby mieć szczęście odebrania waszych; bo wspomnienie o mnie na nic innego się nie przyda, jak żeby Ci odświeżyć pamięć niewierności moich.

Łączę moje uszanowanie dla drogiego brata, który z Tobą Ojczy dzielił te wszystkie kłopoty; niech on mi w imieniu Ojczy odpisze.

Co do nauk idą mi lepiej, niż myślałem. Z radością oczekuję chwili, kiedy będę mógł do was przyjechać.

Racz drogi Ojczy przyjąć wyraz najgłębszego uszanowania od syna niegodnego mieć Cię za Ojca, ale którego miłość Twoja ufnością napełnia.

Najniższy sługa

J. M. V.

Cóż to za pokora! jakież uszanowanie dla ojcowskiej władzy! Mowa dusz wybranych, które Bóg do wielkiej powołuje miłości, znaczy się tak wzniosłą prostotą, aż trudno ją oddać inaczej, jak przez wierne powtórzenie jej wyrazów.

Wnet też w Verrières inaczej sądzono o młodym uczniu; wnet w nieuku tym głęboką rozpoznano mądrość, a dawne uprzedzenia ustąpiły uczuciu życzliwości i poważania. Profesorowie seminaryum, zacni kapłani, podziwiali w nim skromność, porządek, wypróbowaną uległość i szczerą pobożność, i za wzór innym go stawiali.

W miarę, jak jedna okoliczność za drugą coraz to nowe odkrywała skarby jego słodyczy, cierpliwości, dobroci, pokory, przybywało mu coraz więcej przyjaciół i wielbicieli pomiędzy profesorami i pomiędzy uczniami.

Pobożność jego, rzadkim przywilejem, nie odstręczała nikogo, choć się z nią nie krył, i nie ścieśniał jej granic przez wzgląd na ludzi; trzeba ją było szanować: bo nie była ona uczuciem oderwanem, bez związku z całością jego życia i obyczaju, pobożność była duszą wszystkich jego zalet, źródłem ożywczem wszystkich tych szlachetnych skłonności, które tyle uroku dodają młodości. Wdzięk tych zalet tyle powabu dawał jego osobie, że wszyscy ubiegali się o miłą z nim rozmowę i o jego towarzystwo.

Ale te właśnie pochwały i gorące uwielbienia stać się miały dla Jana próbą nowego rodzaju.

Wiadomo, że szkoła przedstawia świat w małych rozmiarach. Tu dziecko wprawia się już do walki z namiętnościami, z którymi na szerszym polu życia spotkać się mu przyjdzie. Ucho jego musi się oswoić z przykrym głosem małodusznego współzawodnictwa i narzucającej się szarą pyszki. Nasz seminarzysta nie uniknął tej szkoły.

Jeden z jego współuczniów znieść nie mógł jego pochwały, każda zdawała mu się pośrednio potępiać jego postępowanie. Rzecz to nie nowa, że pobożność, jak pociąga ku sobie dobre i szlachetne serca, tak zakwasza złe charaktery, które poddać się niechęć błogiemu jej jarzmu. Toż każdy dowód szacunku, okazany Janowi, ostrzem prze-

szywał zazdrosne serce tamtego; każde słowo pochwały dłań, rozjątrzało mu serce, drapiące i zakrwawiające się samo, jak się wyraża znakomity myśliciel Montaigne. Zazdrość przerobiła się w nienawiść szaloną, brutalną, a tem gwałtowniejszą im mniej miała słusności.

Ktoż niezna tój nienasyconej, nieuspokojonej zawiści, która się ukryć nie da; onego złośliwego oka, co podejrzywa każde poruszenie swój ofiary; onego złośliwego języka, który pomawia i obmawia, przekręcając najniewinniejsze a czasem i najchwalebniejsze czyny.

Jan znosił obelgi tego towarzysza z cierpliwością i spokojem Świętego.

Na wszystkie zniewagi anielski młodzieniec odpowiadał słodkim i przyjaznym uśmiechem, pomny na słowa Zbawiciela: „Błogosławieni jesteście, gdy wam złorzeczyć będą, i was prześladować, i mówić wszystko złe przeciwko wam, kłamając dla mnie. Radujcie się i weselcie: albowiem zapłata wasza obfita jest w niebiesiech.“

Za nic na świecie nie byłby się poskarzył swym przełożonym, z obawy, by nie utracić nagrody Bożej. Milczał, a gdy brutalność towarzysza wszelkie przekraczała granice, jednoczył się w duchu ze Zbawicielem wysnianym i znieważanym przed Herodem, powtarzając sobie: Któż to ja jestem, że mi dany udział w kielichu mego Pana, że mi dano pić z napoju, którego nie dano Aniołom?

Powiadają, że gdy raz złośnik, zelżywszy go, z całej siły bić go począł, Jan padł przed nim na kolana....

Wielkie dusze poznać po takich wzniosłych popędach serca. W niejednym żywocie Świętego z podobną miłością bohaterską się spotykamy. Święty Franciszek Girolamo, prefekt w Zgromadzeniu OO. Jezuitów, uczniowi swemu, który go uderzył w policzek, na kolana upadłszy, nadstawił drugiego, stósownie do rady ewangelicznej.

Jak Girolamo, tak młody Vianney ten sam osiągnął tym czynem skutek. Nieprzyjaciel pokonany tak niespodzianą zemstą, ze skrucą pada do nóg swój ofiary. Tak, przez to, że Jan nie dał się zwyciężyć złemu, cnotą pokonał złość, i nadto pozyskał brata swego.

Człowiek, niczem niepoprawny, ulega naraz potędze cnoty: spada mu z oczu zasłona, roztapia się serce, za-

palczywość stygnie. Nie na darmo powiedział Chrystus Pan : „Błogosławieni cisi, albowiem oni odziedziczą ziemię.“

Gdy w młodości człowieka napotyka się takie cnoty, późniejsze bohaterstwo świętości nie zadziwia w nim wcale. Nie trudno było przewidzieć owoce tak pięknego kwiecia.

Tak to Jan Vianney rósł w modlitwie, w nauce i ćwiczeniu cnót wszelkich, do zakrytego w tajemnej księdze przyszłości posłannictwa, do którego Bóg go sposobił.

---

## ROZDZIAŁ VIII.

Jan Vianney słucha teologii. — Nowe doświadczenia. — Przechodzi do w. seminaryum. — Odbiera święcenia kapłańskie.

„Położyłem wspomnienie w mocnym, i wywyższyłem wybranego z ludu mojego.... pomazałem go olejkiem świętym moim — a prawda moja, miłosierdzie moje z nim.“  
(Ps. LXXXVIII 20, 25).

W roku 1813 Jan Vianney powrócił do Ecully, by pod kierunkiem ks. Balley rozpocząć naukę teologii.

Nauka teologii ożywiała i rozszerzała jego duszę, zajmując już nie sam rozum i pamięć jak inne, ale całe serce jego.

Bo, jak pisze O. Lacordaire w swęj mowie pochwalnej o św. Tomaszu z Akwinu: „Teologia nie jest samą nauką, nie jest samym rozumem, ale nie jest i samą wiarą, a wszystko to troje jednoczy w przedziwnym łądziej. Ona jest spokojem duszy, która prawdę posiadała, o ile ją w dziedzinie swęj na ziemi człowiek pomieścić może; w niej człowiek jakoby obłokiem tylko od Boga swego oddzielony, który przedrzeć, a widzi się już Boga. Teologia bierze od umiejętności wszystko, co tu odkryła z praw rządzących światem moralnym i fizycznym, ale nie na to, żeby je tylko sucho przedstawić, lecz aby z nich wywieść poznanie Boga i poznanie człowieka. Od rozumu bierze wrodzone umysłowi pojęcia najistotniejsze, żeby z nich podstawić i wstęp do prawd wznioślejszych uczynić. Wreszcie w wierze czerpie widzenie i pewność rzeczy Bożych, którą następnie stósuje do rzeczy ludzkich, nadając nauce więcej głębokości, rozumowi rozległości, a wierze jasności więcej.

W tęj nauce nie napotkał młody Vianney tych trudności, jakie zrażały go w naukach świeckich. Prawda, że

nauczyciel jego bardzo mu wykład ułatwiał, trudniejszy sposób książkowy zastępując prostszym. Przeczuwał on bowiem, że Duch święty dokończy budowy, pod którą on kładł fundamenta i przeczuwał, że ten Duch Boży uczyni sam w umyśle pobożnego ucznia to, co już w sercu jego uczynił, „że go nauczy wszelkiej prawdy.“

Po dwu latach usilnej pracy ks. Balley zgłosił Jana do egzaminu w w. seminaryum lyońskiem. — Ale tu właśnie miało go spotkać największe upokorzenie, przez które podobało się Bogu w duszy młodzieńca dokonać wewnętrznej pracy nad doskonałem zaparciem się. Gdy Bóg wybiera duszę, gdy ją do wielkich powołuje rzeczy, znaczy ją piętnem swoim: tem piętnem Bożem jest krzyż.

Jan tak się zmięszał wobec swych egzaminatorów, że zapłoniony od wstydu bez ładu i składu dawał odpowiedzi. Ksiądz Balley, dzieląc z swym uczniem tę upokarzającą porażkę, biegnie do profesorów, prosi, aby dali jego uczniowi sposobność okazać swe uzdolnienia przez powtórny egzamin. Jakoż próba udała się, Jan został przyjęty do w. seminaryum świętego Ireneusza, gdzie miał się do święceń sposobić.

Dzieje jego z tego czasu przedstawiają nam wszystkie cnoty urzeczywistnione, jakie w seminaryach za cel usilnych zabiegów stawiają przyszłym sługom Ołtarzy. Już w świecie żył jak seminarzysta, w seminaryum żył istnie anielskiem życiem.

Z oną siłą i giętkością ducha, która u wielu przemija zanim je dobrze poznali, wznosił się na szczyty, gdzie dusza swą prawdziwą, nieśmiertelną znajduje wielkość. Pracował usilnie nad tem, aby życie swe uczynić coraz więcej zgodne z wielkiem swem posłannictwem.

Rósł w pokorze, łagodności i pobożności; cnót tych nie mógł ukryć przed ludźmi; ale akty zaparcia się i pokuty, w których nowy człowiek z prochu starego człowieka się rodzi, samemu Bogu były znane. Wtedy już tak umiał panować nad sobą, że czynił zawsze to, co było doskonałe. Nigdy nie uchybił regule w najdrobniejszej rzeczy. Nigdy nie słyszano jego głosu w czasie przeznaczonym na milczenie; podczas rekreacyi zaś był równie uprzejmy dla wszystkich, aby wszystkich zjednać Chrystusowi Panu.



Choć wolał mówić o rzeczach pobożnych, nie zwracał z rozmysłu rozmowy na ten przedmiot, w którym czuł się swobodniejszym i w którym cnota jego mogła się uwydatnić. — On chętnie się stósował do wszelkich rozmów, do wszelkich usposobień i starał się, ile możności, w niczem sobie nie szukać.

Być może, że przesadzono w opowieści o małych zdolnościach umysłowych Jana Vianney, który choć nie błyszczał łatwością słowa, ni wielką pamięcią, lecz natomiast miał sąd zawsze trafny i pewny. Wszelako, jeśli go w czem natura skapo obdarzyła, łaska obsypała go hojnemi dary, których nie zaprzeczają ci, co go później znali w pośród trudnych prac apostołskich.

Wielka nieufność w sobie wyrывała mu z duszy wiele aktów pokory. Jakże często godzinami klęcząc przed Najświętszym Sakramentem, jedyną swą pociechę czerpiąc w łączeniu się z upokorzonym swym Panem, powtarzał za Dawidem: „Daeś nas na wzgardę sąsiadom naszym, na szyderstwo i na pośmiech tym, którzy są w okolicy naszej!... To wszystko przyszło na nas, a nie zapomnieliśmy się, i nie czyniliśmy niesprawiedliwie w testamencie twoim!... Powstań Panie, ratuj nas: a odkup nas dla imienia twego... Prowadź mię Panie drogą twoją, a niechaj chodzę w prawdzie twojej, niech się weseli serce moje, aby się bało imienia twego.... Zmiłuj się nademną Panie, bom do Ciebie wołał cały dzień, rozwesel duszę sługi Twego, bom ku Tobie Panie podniósł duszę moją.“

Taka modlitwa przebija niebiosą, choć nie widzimy doraźnie jej skutków, ujrzymy je w dalszym rozwoju wypadków, stwierdzonych przez wiarogodnych ludzi; wypadków, które temu rzekomemu nieukowi zapewniły jak najszerszą cześć u współczesnych, a nawet u niedowiarków.

Tymczasem chwila święceń kapłańskich się zbliżała. Przełożeni seminaryum, świadomi odpowiedzialności swęj przed Bogiem, gdyby do ołtarza dopuścili niegodnych, modlili się o światło z nieba i badali uczniów, ażali są przygotowani do wielkiego urzędu apostołskiego.

Gdy przyszło sąd wydać o Janie Vianney, niepokoił się niepomalu. Przez cnoty, przez pobożność zasługiwał na przyjęcie święceń; ależ tak był mało uczony!... Czy go

było święcić mimo lichych wiadomości? czy święcenie odwlec na później? Stawiono sobie nawet pytanie, czyby nie lepiej było zwrócić go rodzicom do pracy w roli. Pytanie to poddano rozstrzygnięciu dyecezyjalnej władzy.

Kardynała-Arcybiskupa nieobecnego podówczas w stolicy, zastępował ks. Courbon, człowiek przedziwnej prostoty, takięj, że mógł się wydawać prostodusznym. Ale zarazem niesłychanej przenikliwości: jedno spojrzenie wystarczało mu do osądzenia człowieka, jednym słowem scharakteryzował go, a jednym pociągnięciem pióra wyznaczał odpowiednie mu miejsce. Gdy się do niego udano z poradą, co robić z Janem, po namyśle zapytał: Czy jest pobożny? Czy umie Różaniec odmawiać? Czy ma nabożeństwo do Matki Boskiej? — Toć to wzór pobożności, — odpowiedziano mu. — W takim razie niech przyjmie święcenia, odparł ks. Courbon; łaska Boża dopełni reszty.

Lecz wyznać to należy, że jeśli ks. Courbon tak łatwo rozstrzygnął wątpliwości przełożonych seminaryum na korzyść Jana Vianney, uczynił to dla tego, iż był uprzedzony o jego niepospolitych cnotach, przez ks. Balley, który, dowiedziawszy się o nowych trudnościach, stawianych jego ukochanemu uczniowi, pospieszył do Lyonu wstawić się za nim. Proboszcz z Ars często potem mawiał: „Z jednéj rzeczy trudno będzie księdzu Balley usprawiedliwić się przed P. Bogiem, to, że się za mną wstawił, i zaręczył za takiego nieuka jak ja.“

Skutkiem nieustającego nieomal pobytu Kardynała Fesch w Paryżu pod koniec cesarstwa, sąsiedni Biskupi wyświęcali kleryków z dyecezyi lyońskiej bądź w własnych stolicach, bądź w Lyonie.

W Lyonie też ks. Vianney został święcony na subdyakona w dniu 2 lipca 1814 roku. Ks. Millon, dawny dyrektor m. seminaryum w Méximieux mając szczęście być przy jego boku, zachował najrzewniejsze a niezatarte wspomnienie tęg uroczystości. Do głębi bowiem przejął go widok jego pobożności, jego anielskiej, natchnionej twarzy, na której całe odbijało się niebo. Gdy klerycy powstali z ziemi, ks. Vianney wydawał mu się oblany jakąś światłością. W drodze zaś z kościoła do seminaryum, śpiewając z drugimi hymn *Benedictus* tak dziwnie wyrazistym

głosem nucił wiersz: „A ty dzieciątko, Prorokiem Najwyższego będziesz nazwane; bo pójdziesz wprzód przed oblicznością Pańską, abys gotował drogi Jego,“ że dawnemu jego towarzyszewi brzmiały te słowa w uszach przez całe życie.

Ks. Vianney został dyakonem 2 lipca roku następnego, w sześć miesięcy później otrzymał w Grenoble ostatnie święcenia kapłańskie z rąk Biskupa Simon'a.

Sam Bóg wie, co się działo w duszy młodego kapłana w onę szczęśliwą chwilę. Skromność jego nie odsłoniła nigdy tych tajemnic: to pewna, że aniołowie zachwycać się mogli widokiem onego młodzieńca w pokornej postawie, oddającego się Bogu całkowicie na każdą chwilę długiego swego żywota kapłańskiego. Przecież choć sam nie zwierzył się nigdy z uczuć, jakie wówczas przepełniały jego duszę, łatwo ich się domyślić, z gorącej jego mowy, ile razy cośbądź nadmieniał o wielkiej godności kapłaństwa.

---

## ROZDZIAŁ IX.

**Ksiądz Vianney zostaje wikaryuszem w Ecully. — Jego miłosierdzie i umartwienie. — Śmierć ks. Balley.**

„I wzbudzę sobie kapłana wiernego, który wedle serca mego i wedle duszy mojej czynić będzie i zbuduję mu dom wierny i będzie chodził przed pomazańcem moim po wszystkie dni.“

(*I Król. II, 35*).

„Oto wonność syna mego jako wonność pola pełnego, któremu błogosławił Pan.

(*Gen. XXVII, 27*).

**K**siądz Vianney, podług zapisek Katarzyny Lassagne i rękopisu ks. Renard, w drodze z Grenoble napotykał na każdym kroku oddziały wojsk nieprzyjacielskich, które jak wiadomo w roku 1815 załapały Francją. Życie jego było w ciągłym niebezpieczeństwie, to od szabli, to od karabina najeźdźcy; nie myślał już żyw stanąć w Lyonie.

Nie wiadomo, gdzie młody kapłan odprawił pierwszą swą Mszą św., przypuszczamy, że w Ecully i prawdopodobnie w asystencyi ks. Balley.

Z rękopisu ks. Renard, za którym powtarzać będziemy wszystkie jego drogocenne zapiski, dowiadujemy się, że ks. Vianney został wikaryuszem w Ecully, za pośrednictwem ks. Balley, który go sobie na współpracownika wyprosił u władzy. Godny ten kapłan doczekał się tym sposobem nagrody za swe modły i prace, doczekał się pociechy po tylu przeciwnościach, które stawały tak często w poprzek dziełu Bożemu w przygotowaniu Jana Vianney do kapłaństwa. Z pokorną wdzięcznością uwielbiał dobroć Pana, że mu pozwolił przyłożyć ręki do ostatecznego udoskonalenia dzieła swego, przez to, że mógł wspierać niedoświadczenie

nowowyswięconego kapłana w trudnej sztuce kierowania duszami i rządzenia parafią.

Nie mniejszą było radością dla ks. Vianney, że mógł być przy sercu według serca swego, przy ojcowskiem sercu swego przewodnika, najlepszego przyjaciela. Cieszył się, że mu dano odwdzięczyć się za tyle dobrodziejstw i za tyle poświęcenia.

Dzień przybycia jego do Ecully był dniem uroczystym dla całej wioski i parafii. Wszyscy jednogłośnie powtarzali sobie: „Kochaliśmy go gdy małym był chłopięciem i budowaliśmy się nim; cóż dopiero teraz będzie, gdy jest kapłanem.“

Poczcivi ludzie nie omylili się. Przypuszczony do onęj zażyłości, jaką kapłaństwo nawiązuje pomiędzy człowiekiem a Bogiem, uczynion szafarzem tajemnic Bożych, mocen czerpać pełną dłońią nieprzebrane łaski Boże z przepaści miłości serca Jezusowego, ks. Vianney zaraz od pierwszych dni czuje żar nieznaný mu przedtem. Zdawało mu się, że nic jeszcze dla Boga nie uczynił. Dotychczasowe modlitwy, pokuty, trudy, upokorzenia, jego czyste i niewinne życie, jego umartwienie, to wszystko nie wystarczało jego miłości i pragnieniu ofiary. Bóg w sercu kapłana otwiera źródło ożywczego namaszczenia i miłości wylewającej się, jak w piersi matki niemowlęciu otwiera źródło życia, pokarmu. Wszelako żarliwość jego w niczem nie raziła, bo rozsądek i dar rady znajdują się w duszach wyrobionych religijnie; ani potrzeba tu czekać, ażby sędziwy wiek ostudził wartką namiętność ćmiącą światło rozumu. Pobożność, nadająca się do wszystkiego, wyrobiła w nim onę wyższość i jasność sądu, jakich pospolite cnoty nie wytworzą, chyba po długich latach doświadczenia. W krótkim czasie wszystkie warstwy społeczeństwa otoczyły go najwyższą czcią.

Pierwszy ks. Balley zaszczycił go swem zaufaniem, obierając go sobie za spowiednika. Dalej zyskał sobie zaufanie powszechné, które się ciągle wzmagało.

Konfesyonał jego był w oblężeniu. Bo też, jak zbawiennymi naukami umiał on krzepić dusze! Największa pycha ukorzyć się musiała wobec jego pokory! Bogacz nie mógł się oprzeć, żeby w jego ręce dobroczynnego nie

złożyć datku. I niedowiarek, wielbiąc jego cnoty, powoli przechodził do wiary i praktykował wedle świętej nauki, która tym cnotom dawała wzrosć w anielskiej duszy onego kapłana. Wilie uroczystych świąt przesiedział w konfesjonalu cały dzień i część nocy, zaledwie dając sobie tyle czasu, żeby odprawić Mszę św. i odmówić pacierze kapłańskie.

Sam najsurowiej praktykował tę doskonałość, jaką innym zalecał. Starał się sam w sobie zapełnić tę przepaść, jaka zbyt często niestety dzieli ideał prawa Chrystusowego od obyczajów chrześcian. Pierwszy spełniał ofiary, jakich od drugich żądał, a raczej surowość wszelką do siebie stosował i w miarę surowości dla siebie rosła jego dobroć i łagodność dla bliźnich.

Miły, uprzejmy, usłużny dla wszystkich, szczególniejszą czułością otoczył maluczkie i ubogich. Jego mienie, było oraz mieniem całej parafii: nigdy nikomu nie odmówił wsparcia. Przytoczymy choć jeden rys jego.

Po kilkakroć zwracano mu uwagę, że ubliża godności kapłańskiej niedbałem ubraniem i wyszarzaną sukienką. „Pomyślę o innéj“ — odpowiadał, a tymczasem skromny jego dochód wikaryusza rozchodził się na jałmużny. Wreszcie mocno naciśnięty przez przyjaciół, oddał potrzebne pieniądze na nową sukienkę pewnej kobiecie, z poleceniem, aby mu ją sprawiła. Lecz gdy w kilka godzin potem przyszła do niego pani, niegdyś znacznej fortuny, a którą nieszczęśliwe wypadki do najopłakańszego stanu przywiodły, poczciwy wikary nie mógł znieść jej nędzy, biegnie zatem do kobiety, u której złożone były jego pieniądze. Tego samego dnia przez obce ręce oddał je nieszczęśliwej pani.

Był zawsze gotów poświęcić się dla zbawienia swojej trzódki. Na skinienie chorych spieszył do ich łoża, zawsze z równą cierpliwością i gorliwością. Najprzedniejszą jego cnotą było przeciw umartwienie. Mógł być się w niej wyrobić pod kierunkiem proboszcza, który w świecie zachował surowe zwyczaje zakonu, którego niegdyś był członkiem. Zrobili pomiędzy sobą układ, że pacierze kapłańskie odmawiać będą zawsze wspólnie i o jednej godzinie; że nigdy nie będą nocować po za domem; że co mie-

siąc poświęcać jeden dzień na rekolekcyje, a co rok odprawiać ćwiczenia duchowne.

„Byłbym się wreszcie poprawił, — mawiał Proboszcz z Ars, — gdybym był miał szczęście żyć dłużej z księdzem Balley. By uczuć pragnienie miłości Bożej, — dawał jeszcze o ks. Balley, — wystarczało słyszeć, jak on mawiał: Boże mój kocham Cię, całym sercem kocham Cię! Powtarzał to co chwila za dnia, gdy był sam, a na wieczór powtarzał to nieustannie, aż nie zasnął.“

Cnoty, zdolności i świętość ks. Balley były najczęstszym przedmiotem rozmowy Proboszcza z Ars. Skoro tylko chciał zbudować słuchaczy swych współczesnym przykładem, ze łzami w oczach wspominał dawnego swego nauczyciela; nie przestawały płynąć i te łzy i te wspomnienia.

Mawiał, że „nikt go tak nie przekonał jak on, do jakiego stopnia dusza wyzucić się może z zmysłów, a człowiek stać się podobnym aniołowi.“

Aż przerażało jego opowiadanie, gdy w nauce katechizmu wyliczał dyscypliny, włosiennice, paski żelazne i inne pokutne narzędzia, któremi świątobliwy ten człowiek karcił ciało swoje. Nieraz słabiej wiary słuchacze, zdumiewając się tym heroizmem sobie niepojętym, zarzucali mu, że niepotrzebnie mówi tak szeroko o rzeczach tak wstrętnych.

Ale Proboszcz z Ars nie uzupełnił tego opisu wyznaniem, że uczeń nie ustępował mistrzowi swemu w tem życiu pokutniczem: walczyli z sobą o lepszą, który z nich obu zdoła więcej pokuty czynić. Doszli do tego, że sobie odmawiali choćby cienia pociechy zmysłowej, i za regułę wzięli sobie, najsurowsze umartwienia. Nikt pojęcia niema, do jakiego stopnia byli wstrzemięźliwi w jedzeniu. Kawałek mięsa i misa kartofli starczyły im na kilka tygodni; „aż szczerbiało to mięso, ciągle wracając na stół“ powiedział raz sam Proboszcz z Ars. Można było powtórzyć o nich to samo, co powiedziano o św. Benedykcie i jego towarzyszku Romanie, że żyli wspólnie nie jednym posiłkiem, lecz jednym postem.

Książd Balley był postawy wyniosłej, wspaniałej, prawie olbrzymiej, o orlim nosie: więcejby mu potrzeba było



żywności niż innemu, żeby choć życie utrzymać; a on przeciwnie tak pościł, że zdawało się, iż nie może udźwignąć wielkiego ciała swego.

W końcu parafia, zaniepokojona surowością życia swych pasterzy, wysłała deputacyą do Arcybiskupa z prośbą, aby im nakazał lepiej się żywić.

Ale właśnie podówczas ks. Balley dopełnił miary lat swych i zasług. Ciało jego uległo, strawione pracą, pokutą, czuwaniem i cierpieniem, jakie przeszedł w czasie wielkiej rewolucyi. Aliści już oglądał tryumf Kościoła, powrót katolickiego obrządku w ojczyźnie swojej; za jego staraniem Ecully stało się istną oazą wśród okolicznych wiosek, w których się burzył jeszcze kwas rewolucyjny. Nic go już zatem nie wiązało do ziemi, i z św. Moniką mógł powiedzieć do ukochanego swego wikaryusza: „O synu mój! nic mnie już do świata nie wiąże. Cóż tu będę dłużej robił? po co mnie żyć dłużej? W życiu doszedłem wszystkiej nadziei mojej. Jedynej rzeczy pragnąłem, widzieć cię księdzem przed śmiercią. Dał mi to Bóg w nadmiar wszelkiej pociechy, kiedy widzę, że gardzisz ziemskim szczęściem, a Jemu samemu służyć pragniesz. Cóż dłużej tu będę robił na ziemi?“ (Wyznanie ś. Augustyna).

Sędziwy sługa Chrystusa z uczuciem radości i ufności czekał godziny obrachunku z Panem swoim. Śmierć w jego oczach była prostym wypoczynkiem rolnika, który zaciąg swój skończył; była powrotem do Ojczyzny po długiej i uciążliwej podróży. — Długa jego choroba zakończyła się zgorzeliną, (gangreną), jaka się przyrzuciła do rany w nodze.

Na wiadomość tego niebezpiecznego objawu, okoliczne duchowieństwo, które kochało go jak ojca a wielbiło jak Świętego, pospieszyło do jego łoża cierpienia. Chcieli się nauczyć umierać od tego, który ich uczył żyć po chrześcijańsku. Chory skorzystał z ich obecności, by przyjąć ostatnie Sakramenta z rąk ks. Vianney.

Rzewny to był widok młodego Świętego, udzielającego błogosławionemu starcowi, swemu dobroczyńcy i duchownemu przewodnikowi ostatnie pociechy religijne. Przed przyjęciem Ciała Pańskiego, ks. Balley, podniósłszy się z posłania, przeproszał swego wikaryusza i wszystkich obe-

nych za dane im zgorszenia. Wikary znów w swoim i obecnych imieniu przeproszał go za zgotowane mu smutki i zmartwienia.

Nazajutrz po Mszy św. na intencją chorego, ks. Vianney miał z nim ostatnią rozmowę tajemną.

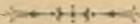
Przy tój sposobności oddał mu umierający pokutne swe narzędzia mówiąc: „Weź to mój kochany i dobrze pochowaj; bo gdyby to znaleziono po po mojej śmierci, sądzonoby, żem odpokutował za me grzechy, i zostawionoby mnie w czyścju do końca świata.“ — Drżącą potem ręką błogosławiąc młodemu księdzu, który łkał u stóp jego, dodał: „Bądź zdrów drogi synu; odwagi!... kochaj i służ zawsze twojemu Panu!... Pamiętaj o mnie przy Mszy św.... Bądź zdrów! do widzenia tam!...“

W kilka minut potem zamknął oczy na światło ziemskie. by oglądać światłość wiekuistą. „Umarł jako Święty, bo był Świętym, — mówił ks. Vianney. Piękna jego dusza uleciała do Aniołów, ku rozweseleniu nieba.“

Sława jego świętości była tak wielką, że gdy w dwadzieścia pięć lat przeniesiono zwłoki jego na inne miejsce, gdyż na dawnym cmentarzu zakładano fundamenta pod nowy kościół, lud spodziewał się ujrzeć ciało jego nieknięte zepsuciem.

Po ciężkiej stracie, jaką parafianie w Ecully ponieśli, trudnoby im kogo innego na jego miejsce zawezwać, jeśli nie ks. Vianney, którego im ukochany proboszcz na podobę siebie wykształcił, i który go przypominał całym odblaskiem jego świętości. Lecz wszelkie prośby i nalegania nie mogły przełamać skromności młodego wikaryusza, który się czuł niegodnym tak ważnego stanowiska.

W dwa miesiące potem zamianowano go proboszczem w Ars, a ks. Courbon, wprowadzając go doń, rzekł: „Nuże mój przyjacielu! nie wiele tu jest miłości Bożej, ty do niej serce zapalisz.“ — Prorocze te słowa wkrótce się sprawdziły.



## KSIĘGA DRUGA.

### Życie ks. Vianney'a na parafii.

(1818—1828).

#### ROZDZIAŁ I.

#### Przybycie ks. Vianney do Ars. — Nieustanna jego modlitwa.

„I zdziwili się starzy miasta, zabieżawszy mu i rzekli: Spokojneli jest przyjście twoje? I rzekł: Spokojne. Przyszedłem ofiarować Panu.“ (I. Król. XVI, 4, 5).

Ars jest wioską dawnego księstwka Dombes, z którego utworzono dzisiejszy obwód Trévoux. W czasie, z którym rozpoczyna się opowiadanie nasze, nie było jeszcze tych dróg, jakie dziś gęstą siecią przerzynają całą okolicę. Rozsiane bezładnie domki skromnie wychylały się z poza cienistych sadów otaczających zagrody dokoła, i przedstawiały krajobraz smętny i nużący jednostajnością.

Ars kryje się w dolinie przerznietej spokojnie płynącą rzeczką Fontblin, nad którą pochylone olsze spuszczają gałęzie. Po drugiej stronie rzeczki z pod zasłon gęstego szpaleru topoli i zielonych krzewów widnieje zamek wioskowy.

Ludność w Ars składała się z samych rólników pracowitych i pobożnych. I ich cześć tradycyjna dla swego dusz pasterza wskazywała, że sposobni są do silnych wrażeń, i że umieją je wiernie przechować. Ars była jedną z pierwszych parafii, która po rewolucyi otrzymała probo-

szcza. Ks. Berger rządził nią do roku 1817; ztąd wysłał go ks. Courbon na ważniejsze stanowisko. Na granicznym kopcu ukochanej téj wioski zacny kapłan zwrócił się po raz ostatni ku jej zagrodom i ze łzami im błogosławił. Te łzy przy pożegnaniu i błogosławieństwo świadczą najlepiej, jakim był pasterzem.

Po nim zbyt krótko nowy pasterz pomiędzy nimi bawił, bo już w dwa miesiące umarł na piersiową chorobę.

Ks. Vianney zajął jego miejsce 9 lutego 1818 roku, a przybył do Ars jak prawdziwy apostoł, bez kija i trzosu, bez chleba i pieniędzy. Jedyne jego bogactwem było łóżko i kilka sprzętów, które w spadku dostał po swym dobroczyńcy. Ale wnet miłosierdzie jego i tych gratów go pozbawiło; a dla umartwienia tak to łóżko wnet przekształcono, że nawet dawny właściciel nie byłby go poznał.

Powiadają, że spostrzegłszy z dala czerwone dachy swojej parafii, padł na kolana, prosząc, by błogosławieństwo Boże nad nim spoczęło. Gdy później, ktoś zdumiony obfitemi skutkami tego błogosławieństwa, zapytał go, czy to rzeczywiście uczynił, według zwyczaju swego jak zawsze w podobnych razach, i teraz wymijającą dał odpowiedź, że toby była nie zła myśl.

Skutkiem wielkiej skromności, z jaką młody kapłan ukrywał swe cnoty, parafianie jego nie prędko może poznaliby, jaki w nim skarb przysłały im nieba, gdyby nie liczne odwiedziny mieszkańców z Ecully, którzy tęskniąc za nim, opowiadali jaką im próżnią po sobie zostawił. Lecz czego ukryć nie mógł, to swęj żywęj wiary, gorącej pobożności i wielkiego w modlitwie skupienia. Ci co go widzieli u ołtarza, przejęci byli podziwem i wzajem sobie opowiadali, że chyba jest Świętym, tak niezwykły jest wyraz jego twarzy.

Lud prosty ma często głębokie i czyste przecucie prawdy i piękności moralnej nieraz najszczytniejszej. Pod szorstką powłoką u wiejskiego człowieka kryje się nieraz delikatny zmysł spostrzegawczy i takt znamienity. Sądzi ludzi według swoich prawideł, które go rzadko zawodzą; w księdzu szuka przedewszystkiem pobożności i zamiłowa-

nia modlitwy, i łatwo wtedy wierzy w jego cnotę. W jego oczach ksiądz jest przede wszystkim mężem Bożym, ofiarnikiem, pośrednikiem przed Bogiem. A to zdanie w zgodzie jest z wyrokiem Ducha św.: „Tenci jest miłośnik bracięj i ludu Izraelskiego, ten jest który się wiele modli za lud i za wszystko miasto święte, Jeremiasz prorok Boży.“ (II Machab. XV, 14).

Kapłan według Ekleziastyka (XLV, 20), obrany za wszystkich żyjących, aby ofiarował ofiary Bogu, kadzenie i dobrą wonność na pamiątkę ku ubłaganiu za lud swój.“

Ks. Vianney otrzymał od Boga wraz z łaską powołania głębokie zrozumienie obowiązków, jakie ono nakłada; i dla tego wszystko w nim odpowiadało pojęciu, jakie sobie człowiek czyni o kapłanie według serca Bożego. Pobożność jego zjednała mu cześć i uwielbienie wiernych; urokiem swym zjednała mu ich zaufanie. Bo jakążże inną siłą byłby mógł wpływ wywierać? Wiadomo, że natura poskapiła mu wewnętrznych przymiotów, które nieraz wielką są pomocą ku szerzeniu dobra, gdy używane godnie, a oparte na trwalszych zaletach wewnętrznych. Nie miał on młodzieńczego wdzięku: blada twarz jego była koścista, ciało wątłe, postawa niepozorna, ruchy ciężkie, mina zakłopotana i onieśmielona, cała postać pospolita. Nie w nim nie zwracało uwagi, chyba wyraz oczu, w których żarzył się jakiś ogień tajemniczy, i twarzy, w której głęboko wryły się przebyte umartwienia. O tem wiedział samże Święty, który już tak dalece wolen był od wszelkiej próżnej myśli, i wniknął już w głąb poznania samego siebie, w głąb własnej nicości. Ksiądz Vianney znał się, a znając się, daleki był od tego, żeby poddawać się zniechęceniu: zniechęcenie, jest to pycha cierpiąca; cierpienie urażonej dumy rodzi się w duszach słabych z powodu zbytniego zaufania we własne siły, a z braku ufności w Bogu. Proboszcz z Ars nie spodziewał się niczego po sobie, a wszystkiego spodziewał się od Boga: oddał się przeto całkiem pobożności, przeświadczon, że bez niej próżne są i najpiękniejsze dary przyrodzone, a że nawet bez talentów, pobożność sama cudów dokonuje.

Świątynię Pańską obrał sobie za mieszkanie, pamię-

tny słów Psalmisty: „Jako miłe przybytki Twoje Panie Zastępów. Wróbel znalazł sobie domek i synogarlica gniazdo sobie, gdzieby złożyła ptaszęta swoje — a ja Ołtarze Twoje Panie!“

Nieruchomy, długie godziny spędzał przed Najświętszym Sakramentem, ukorzony i zatopiony w głębokiej modlitwie. Kąpał się według własnego wyrażenia w gorącej miłości przed Utajonym w ołtarzu Panem. Od pierwszego świtu do wieczornego Anioł Pański przesiadzał w kościele. Tu przychodzono po niego, gdy usługi jego było potrzeba. Katarzyna Lassagne w swoich zapiskach opowiada: „Wielu lubi mu się przypatrywać, jak poranne odmawia pacierze; przed Mszą św., lub w czasie Mszy ś., gdy spogląda na cyboryum z uśmiechem, od którego się serce raduje.... Sama go nieraz uważałam: zdawałoby się, jakoby widział Chrystusa Pana. Do głębi byłam przejęta nędzą moją duchową, gdym przy świetle lampki wieczystej, palącej się przed Najświętszym Sakramentem, widziała tę suchą, wychudłą twarz, ten wzrok płonący, zatopiony w cyboryum z nieopisanem wyrazem szczęścia.“

Wspomnimy tu jeszcze wrażenia młodego kłeryka, który miał szczęście odmawiać brewiarz z ks. Vianney: „Jakże miłą i czułą była pobożność jego. Nie miała nie dziwnego i rażącego, tak prosto płynęła z jego serca, jak woda z potoku. Nie wyrażała się ona całą swą potęgą na zewnątrz; czuleś, że z téj studni wylewa się tylko nadmiar. O! cóż to za piękna dusza! bogata darami Bożemi! Od lez wstrzymać się nie mogłem, gdy słyszałem te gorące wzdychania wychodzące z piersi wycieńczonej postem; a szczególnie, gdym widział miłosne jego spojrzenie w niebo utkwione. Wstyd mnie było mojej oziębłości i niedoskonałości, potroszę i niechęć mnie ogarniała, byłbym go wolał mniej anielskim.... Ach! wnet łaska napominała mnie wewnątrznie, i uniesion, pałałem jednym pragnieniem, aby stać mu się podobnym!

Jak powiedzieliśmy Proboszcz z Ars przebywał ciągle w kościele całemi dniami i większą część nocy. Tym sposobem niepotrzebne mu były urządzenie domu, i sprzęty do jego pokoju; nie dbał o nie wcale. To też dziwnie wyglądała ta jego plebania, którą tyle pielgrzymów podzi-

wiało.... Wiedziałaś i czułaś, że jest zamieszкана przez żyjącą istotę; a wszelki brak rzeczy niezbędnych do wygodę i utrzymania życia, kazał w tęg istocie raczej domyślać się ducha, nie człowieka.

Nie nie uchodziło uwagi parafian, budujących się nim z każdym dniem więcej. Już im teraz nie było potrzeba opowiadań gości z Ecully; a gdy tych żal, smutek i tęsknota prowadziła do jego konfesyonału, Arsanie mówili im jak niegdyś ziomkowie Samarytanki: „Już nie dla twęg powieści wierzymy, bośmy sami słyszeli i wiemy.“





## ROZDZIAŁ II.

Stósunek ks. Vianney do parafian. — Panna d'Ars.

„Piastuni władzy doczesnej o tyle niżsi są od tych, którym powierzono władzę duchowną, o ile piękniejsza jest pociągać ludzi do dobrowolnego posłuszeństwa, aniżeli nakazywać im poniewolną uległość. Nie dość na tem: władza duchowna jest wyższa od doczesnej, bo nie tyle jest siłą ile ojcostwem; w niej bowiem jest oraz łagodność ojcowska, a choć wielkie nakazuje rzeczy, wszelako je otrzymuje.

(*Sw. J. Chryzostom*).

Warto się zatrzymać nad pierwszymi latami apostołskich prac ks. Vianney'a, bo z nich wieje rozkoszna woń wiosni.

Wiele niestety rysów jego cnót znakomitych zatarło się zupełnie z śmiercią jego współczesnych; zapiszemy tu niektóre tylko wspomnienia, które nam jeszcze odbijają obraz jednego z tych mężów, co w XIX stuleciu największą stali się chwałą Kościoła.

Pokora ks. Vianney'a łagodziła jego radość z tego, że dobry Bóg poruczył mu zbawienie tylu dusz. Stając na wzgórzach okalających jego parafię i z rozrzewnieniem spoglądając na strzechy wieśniacze i łany, cieszył się, że Bóg dobry powierzył mu tyle dusz, aby je do nieba prowadził; a zapalon miłością do swęj trzódki, byłby ją, jak kokosz zbiera swe pisklęta, rad wszystkę gromadził koło siebie; ślubował sobie, że ona mu będzie najdroższą na ziemi, że jęj wiernie służyć będzie, że nietylko jęj prace i trudy swe wszystkie poświęci, lecz i poprzestanie na pociechach, jakie jęj postęp w dobrem mu kiedyś zgotuje.

Ale za oną pociechą długo mu czekać przyszło; bo Ars nie było jedną z najprzykładniejszych parafii. Podług

zapisek Katarzyny Lassagne, w chwili przybycia nowego proboszcza, Ars znajdowało się w największym ubóstwie duchowem. Cnota była tu i mało znana i nieosobliwie wykonywana: powszechnie nie troszczono się o zbawienie. Młodzież goniła za hulanką i zabawą bez hamulca i wodzy; karczmy tuż obok kościoła grzmiały pustotą i skoczną muzyką.

Świątobliwy proboszcz cierpiał nad tem bardzo, a z łez, jakie za swymi wiernymi wylewał u stóp ołtarza, łącno było można odgadnąć boleść jego serca i ten smutek, jaki go ogarniał, gdy widział pracę swą daremną.

Pomimo smutku nie zniechęcał się, nie ustawał w gorliwości. Ufał, że gorącą modlitwą i łzami otrzyma u Boga zwycięstwo nad złem: więc postanowił dniem i nocą błagać Go, aby sam działać raczył na serca jego parafian.

Obok tego nie zaniedbywał żadnego z ważnych obowiązków, jakie kapłan przyjmuje na siebie wraz z urzędem pasterskim. Najstraszliwszą pracą dla ułomnego człowieka jest niezaprzeczenie kierownictwo dusz. Książęta tego świata rządzą królestwami, lecz nie duszami; ich zadanie, według św. Jana Chryzostoma, niczem jest w porównaniu z obowiązkami prostego wiejskiego plebana, który ma być ojcem dla dusz sobie powierzonych.

Oczyszczać dusze, oświecać, pocieszać je, podnosić ich wolę do rzeczy najwyższych i najtrudniejszych, wyrwać je z niewoli namiętności i z omamień przez marne dobra tego świata, a ożywiać ich życiem Chrystusowem: oto posłannictwo kapłana tu na ziemi. Do tak wielkich rzeczy dwa ma sposoby: słowo Boże i modlitwę tj. prawo mówić ludziom o Bogu, a obowiązek mówić do Boga za ludźmi.

Widzieliśmy już, jak proboszcz z Ars uciekał się do pierwszego z tych sposobów, głęboko przeświadczonej o swęj niedostateczności, o swęj nicości, a przekonany, że sam Bóg jest wszystkim i działa wszystko i spełnia pragnienia serca tych, co go wzywają. Z modlitwą łączył od samego początku wielką żarliwość w głoszeniu słowa Bożego i wiele czasu i pracy poświęcał na przygotowanie się, by przemawiać z mocą i dzielnością, na jaką go stać było. Nie lekceważył sobie słuchaczy, nie mówił: cóż tam będę sobie układał naukę dla chłopów? dla nich dosyć dobre,

co powiem bez wielkich zachodów. W tych kmieciach widział dusze nieśmiertne i cenił je dla tego, że Bóg je ceni, że je umiłował Chrystus Pan, że Krew Świętą Najświętszą za nie wylał, i że wszystkie przeto mają równe prawa, żeby się z nimi obchodzić z szacunkiem.

Biorąc przykład z Ojców Kościoła, którzy dla znakomitych prac swoich nie mieli się za wolnych od obowiązku nauczania ludu, i których widywano pochyłonych nad Pismem św., żeby na niedziele przygotować sobie jego wykład dla ludu, i ksiądz Vianney zamykał się w zakrystyi, tam ślęczał nad książkami, by układać nauki i wykład Pisma świętego dla ludu. Napisawszy je ćwiczył się nawet sam i bez świadków, żeby je wypowiadać jak z kazalnicy.

Prócz kazania jest jeszcze jeden sposób apostołowania — w rozmowie, apostołstwo każdej chwili, czy to na ulicy, czy w polu, czy u domowego ogniska, czy u łóżka chorego. Któż wypowie, wiele dusz się nawróciło przez ten rodzaj apostołstwa, szczególnie gdy nie rozum, ale serce niem kieruje.

Ks. Vianney pojął od razu, że parafianie przyjmą dobry jego wpływ, gdy sobie ich miłość zjedna. Aby zaś miłość zjednać, potrzeba samemu kochać: a on kochał.

Na widok tylu złości w pośród chrześcijańskiego ludu, wielu ze smutkiem pyta się, co robić? co robić aby go naprawić? — Mój miły Boże! Każda stronnica Ewangelii odpowiada na to: **Kochać!**

Kochać ludzi mimo ich błędów, mimo ich złości, kochać ich zawsze. Tak zrządza Bóg, że się o tyle tylko może dobrze czynić człowiekowi, o ile się go kocha. Świat poddaje się temu, kto go najdoskonalej ukocha i najdoskonalej miłości swój mu dowiedzie. — Ks. Vianney całym życiem stwierdził prawdę tych słów: tylu tłumnie cisnęło się do jego stóp dla tego, że wiele umiłował.

Nasamprzód umiłował swoich parafian! Zaledwo do nich przybył, już starał się wszystkich poznać, o wszystkim naocznie się przekonać, wszystko własnem sercem poznać, wszystko obecnością swoją rozweselić, jednym słowem stać się wszystkim dla wszystkich, aby wszystkich pozyskać Chrystusowi.

Tęj wzniosłej powinności pasterza starał się usilnie

dopełniać wszędzie i zawsze; a zdawało mu się, że nigdy dostatecznie jej nie dopełniał, chociaż miłość jego, co o wszystkim myślała, z każdej też sposobności korzystała. Nie poprzestawał na tych ogólnych stósunkach, w jakich kapłan przez urzędowanie swe pozostaje ze wszystkimi parafianami swymi; on najmniejszą chwycił sposobność, by się do każdego z osobna zbliżyć, każdemu osobiście dawać dowody swego szacunku i usłużności, tak, że każdy z jego parafian mógł sądzić, że jest szczególnie ukochany. Szczery, uprzejmy dla wszystkich, a zachowujący zawsze swą godność i powagę, nie minął dziecka na ulicy, żeby go nie pozdrowił z miłym uśmiechem, i nie przemówił do niego choć kilku słów. Wiadomo zaś, jaki lud wiejski wdzięczny za podobne obejście.

Odwiedzał także swych parafian, nie czekając, aż go zawezwą z usługą duchowną, jak tylko mu się dogodna nastreżwała sposobność. Najchętniej chodził w godzinie południowej, gdy całą rodzinę zastawał zgromadzoną u stołu. By zaś nikogo nie zająć zmenacka, z daleka wołał po imieniu na gospodarza domu: wchodząc dawał znak, by sobie nikt jedzenia nie przerywał, opierając się o jaki sprzęt, i wypytawszy się o powodzenie rodziny, swobodnie przechodził na rzeczy Boże, któremi dusza jego była zajęta jedynie. Rozmowę swą zaprawiał miodem zebrany z czytania Żywotów Świętych, a Bóg mu dopomagał mówić o takich rzeczach, które uchodziły uwagi innych, a które jego serce ognistemi strzałami przeszły. Wszyscy słuchali go z pobożnem skupieniem. Każdą rozmowę pocieszał, nauczał i w dobrem umacniał. Okrom łaski najwięcej namaszczenia i skuteczności dodaje słowom prawdziwa świętość mówiącego: świętość Proboszcza z Ars takie wywierała wrażenie, że samemi temi rozmowami wielką liczbę dusz do Boga nawrócił.

Czas tu wspomnieć o pomocy, jaką Opatrzność dała ks. Vianney'owi w samym początku na pociechę i poparcie jego gorliwości. W zamku Ars mieszkała jedna z tych dawnych matron, która prawdziwy urok dokoła siebie roztaczała, przodując i nadając ton wyborowemu towarzystwu.

Panna d'Ars, córka oficera gwardyi francuzkiej, miała podówczas lat sześćdziesiąt. Wychowana przez matkę, wy-

sokiej cnoty osobę, później w słynnym zakładzie Saint-Cyr, za młodu już zakosztowała posilnego pokarmu ewangelicznej nauki. Od dziecka tyłu otaczała ją gorliwych apostołów prawdy, tyle spotykała Świętych i znakomitych osobistości, tak wczesnie zaprawiła smak na naukach wzniosłych Bossuet'a, wdzięcznych Fenelona, namaszczonych św. Franciszka Salezego, że wyszedłszy ze szkół była wzorem chrześcijańskiej dziewicy. Teraz młodzieńcze cnoty już w niepospolitą dojrzały pobożność.

Poniższy wyjątek z listu jednego z członków rodziny, doskonale nam rysuje duchowe jej oblicze.

„...Pani domu jedyna w swoim rodzaju. W duszy jej zawsze panuje pokój; nawet gdy wiatry i burze w okół niej szaleją, w niej zawsze odbija się czyste, pogodne niebo. Szczęśliwa ona tem szczęściem, które sam Bóg daje i dać może. Nie jest ono okupione walką ni ofiarą, ani jest udane, ani przemijające: raczej jestto stan ciągły, każdego dnia i każdej chwili. Nie potrzebuje go ona szukać w wspomnieniach ani w nadziejach, bo przeszłość i przyszłość już jej upiększają terażniejszość.

Dodać należy, że panna d'Ars była doskonałą panią domu. Celowała w tęj troskliwości, którą Duch św. chwali w mądrzej niewieście. Szczęśliwem przeznaczeniem zamku Ars było stać się wiekowym skarbcem tradycyjnych cnót żywej wiary i prawdziwie chrześcijańskich obyczajów. W całym jego nastroju panował pokój i ład, raczej klasztorne przypominający zacisze. Tam każdy, od pani domu do ostatniego slugi, zajęty był swym obowiązkiem.

Życie panny d'Ars uchodziło na ręcznych robotach i ćwiczeniach pobożnych. Usunawszy się od świata, zakonne nieomal wprowadziła w dom swój zwyczaje. Od rana gromadziła slugi swe na wspólny pacierz i wspólne czytanie pobożne. Pieszko, nie bacząc na złą drogę i niepogodę, spieszyła potem na Mszę ś. swego proboszcza. Za powrotem zaś pierwszą troską jej było nie własna wygoda, lecz to, by rozgrzać starego swego slugę, który jej w tych wycieczkach towarzyszył, i dać mu wytchnąć i wypocząć. Gdy jej ks. Vianney raz wymawiał, że po kolana brnęła w śniegu zamiast powozem do kościoła jeździć, tę piękną dała mu odpowiedź: „Mój proboszczu ujęłabym ubogim pieniądze, którebym musiała wydać na utrzymanie koni.“

Zamek w Ars nie saméj przecież modlitwy był przybytkiem; był on przytulkiem wszelkiéj nędzy i cierpienia, przykładem i zasiłkiem dla całéj okolicy. Panna d'Ars, ułożywszy swoje rozchody o wiele niżej swych dochodów, miała czem zaspokoić niewyczerpane swe miłosierdzie. Miłosierdzie było duszą, niejako namiętnością jéj życia. Nie dosé jéj było dawać z nadmiaru mienia swego: miała w tem przyjemność i nie wielka zasługa, — uczyniła dla miłosierdzia daleko więcéj, skazując się na ciągłą pracę nieraz bardzo ciężką. — Za przykładem tylu innych wielkich pań, które łóżka chorym ubogim pościelały, własną ręką doprawiały im żywność, a co większa łachmany ich z robactwa oczyszczały i naprawiały, pannā d'Ars od rana do wieczora szyla suknie dla biednych i starców i niewiast i niemowląt. Znała ona na pamięć wszystkich ubogich w okolicy, znała ich ród, imię i wiek dzieci. Dla siebie wybierała zawsze najgrubszą i najwstrętniejszą robotę, szukając uświęcenia swego w tem upokorzeniu i umartwieniu.

Taką to była panna d'Ars: przedziwna niewiasta, dla którój wysokie urodzenie było pochopem jedynie do tem pilniejszój i gorliwszój służby Boga, Kościoła i ubogich. Do niéj możnaby zastósować słowa Pisma św.: „Szukała wełny i lnu, i robiła dowcipem rąk swoich. I w nocy wstała, i dała korzyść domownikom swoim i pokarmy służebnicom swoim.... nie zgaśnie w nocy kaganiec jéj. Rękę swą ściągnęła do mocnych rzeczy: a palce jéj ujęły wrzesciona. Rękę swą otworzyła ubogiemu, a rękę swą ściągnęła ku niedostatecznemu.... Upatrywała ścieżki domu swego, a chleba próżnując nie jadła. Dajcie jéj z owoców rękę jéj: a niech ją chwala w bramach uczynki jéj. (Przyp. XXXI, 13—31).

Ona pierwsza poznała się na wartości swego świętego, jak go nazywała, Proboszcza. Ona go pierwsza zrozumiała, i pierwsza dziękowała Bogu za nieoceniony dar, jakim przez niego uszczęśliwił parafią.

---

### ROZDZIAŁ III.

**Poprawa w parafii. — Ks. Vianney zaprowadza nieustającą Adoracyą, praktykę częstych Komunii św., wspólne modlitwy wieczorne, bractwa.**

„Jako pasterz trzodę swą paść będzie: ramieniem swem zgromadzi baranki, a na łonie swem podniesie: kotne sam nosić będzie.“  
(Is. XL, 11).

Najgorętszem pragnieniem ks. Vianney'a było w parafii swęj stworzyć ognisko żywęj pobożności. Trzy miał do tego sposoby używane w Kościele, mianowicie też przez ludzi biegłych w kierowaniu duszami.

Pierwszy z nich, ani nowy, ani osobliwy, bo przez samego Chrystusa Pana ku zjednoczeniu swego Kościoła i ku uświęceniu go ustanowiony, to nabożeństwo do Najśw. Sakramentu. Wszyscy Święci go praktykowali jako sposób jedyny na rozbudzenie prawdziwęj pobożności.

Przez nabożeństwo do Najśw. Sakramentu ks. Ollier, założyciel seminaryum Saint-Sulpice, zreformował swoję parafią. „Zamiarem Syna Bożego na świat przychodzącego — pisze mąż ten znakomity — było udzielać ludziom bożkięgo swego życia, aby ich uczynić podobnymi sobie. Tę przemianę zaczyna przez Chrzest ś., a dokonuje jęj doskonale przez Najśw. Sakrament, pokarm on boży, przez który w nas wszczepia swoje życie i swoje uczucia, dając nam prawdziwie i rzeczywiście siebie samego; przez który daje nam uczestnictwo w tem wszystkim, czem sam jest, i z sobą nas nadnaturalnie jednoczy. Zamieszkał w Najświętszym Sakramencie, by pełnić posłannictwo swe aż do końca świata, a tym sposobem po wszystkich ziemi zakątkach wzbudzać Bogu Ojcu swojemu prawych czcicieli w duchu i prawdzie. Tu to On jest zdrojem życia bo-



skiego, tym bezbrzeżnym a bezdennym oceanem, z którego nadmiaru wszyscy mamy uświęcenie.“

Przez Najświętszy Sakrament, ono Słowo, które się Ciałem stało, nie przestało mieszkać między nami pełne łaski i prawdy. Jak dawniej tłumy chorych i cierpiących cisnęły się do Jezusa; tak i dziś ludzkość, chora, cierpiąca i znękana złą pożądliwością potrójną, które łono jej toczy, kornie zbliża się do Niego po zdrowie duszy, już nie za dotknięciem jego szaty, ale za dotknięciem ożywiającem Przechyśtego Ciała Jego, które światu daje życie.

U Jego stóp Magdaleny leją łzy i wonności; u Jego stóp matki wypraszają duszę jedynych dzieciak swoich; u Jego stóp Chananejskie niewiasty o miłosierdzie błagają, i Samarytanki tu nawiązują z Nim one rozmowy niewysłowione, w których dusza uczy się rozpoznawać dary Boże; do Jego stóp przychodzą młodzieńcy, których On miłością swą pociąga, przychodzą i niemowlątka na rękę matek po udział w Jego boskich pieszczotach...

Każdej chwili może człowiek paść na kolana u stopni ołtarza, przed którym wieczysta lampa płonie, i tam rozmawiać poufale z Bogiem i Stwórcą swoim, odkrywać mu każde poruszenie serca swego, wszystkie tajemnice smutków i radości swoich; czcić i wielbić Go, oddawać Mu się, przyjmować błogosławieństwa dla wszystkich prac i trudów swoich bądź ciała, bądź duszy swojej.

Uwielbiony Pan otwiera wtedy skarbiec swych łask i z miłością wylewa je obficie na miłujących Go, wzmacnia przeciw pokusom, odrywa ich od ziemi i uczy pragnąć Jego jedynie; oświeca ich, pociesza, daje im pokój i namaszczenie, których słodkość przewyższa wszelkie pojęcie, przewyższa i wszelkie uczucie.

Pisząc o życiu Proboszcza z Ars, którego treścią i istotą były miłość i nabożeństwo do Jezusa utajonego w Najświętszym Sakramencie, z konieczności wypadło nam, mówić o dziwach onęj cudownej Jezusa obecności rzeczywistej w przenajświętszej Hostyi. Z konieczności: bo ta miłość ku Panu Jezusowi w Najśw. Sakramencie rozwiązuje nam tajemnicę własnej świętości, i uświęcenia innych, że tyle dusz Bogu pozyskiwał. O! daj nam Boże tyle

błogosławieństwa, aby te karty choćby jedną duszę pociągnąć mogły do Ciebie.

Pierwszem staraniem naszego Błogosławionego było zaprowadzić nieustającą Adoracją w swoim kościółku. Rzecz to była nie łatwa: ależ wiemy, że myśl natchniona przez Ducha św., przyjęta wiernem sercem, jakkolwiek wiele napotka przeciwności, wszystkie je ostatecznie pokona, i co zrazu zdawało się niepodobne, dokonuje się rzeczywiście.

Panna d'Ars nie była już sama przy osamotnionym w oltarzu Jezusie. Był w Ars ubogi kmiotek, prostak sobie niepiśmienny, ubogi wyrobnik, który był radością świątobliwego Proboszcza, o którym często ze łzami w katechizmach swych rozповідаł. Ten nie miał nigdy kościoła, bądź szedł w pole, bądź z pola, zawsze doń wstąpił. Gdy z pola wracał, zostawiał u wrót motykę i długie godziny spędzał na kolanach przed Bogiem utajonym. Uszczęśliwiony z tego Proboszcz, pojąć przecież nie mógł modlitwy tego człowieka, który klęczał tak nieruchomo, że i ustami cały czas nie poruszał. „Powiedzcie mi ojcze, — zapytał go raz jednego Proboszcz, — co też tak mówicie Panu Bogu w długich waszych modlitwach, gdy kilka razy na dzień wstępujecie do kościoła? — Ja Mu nie mówię, odpowiedział chłopek, patrzę tylko na Niego a On na mnie! Cóż za wzniosła odpowiedź! Ten prostaczek nie mówił, nie otwierał książki, bo i czytać nie umiał; ale za to oczyma duszy wpatrywał się w Zbawiciela!... Patrzę na Niego! Całą duszą, całym sercem i wszystkimi zmysłami i władzami duszy zatapiał się w gorącej a głębokiej kontemplacji, i zaprzepaszczał się w niej całkiem. W tej wewnętrznej rozmowie, w tem niemem słowie, które z serca sługi wracało w serce Pana, działa się wymiana niewymownych uczuć w niewymownych owych spojrzeniach. Tu cała tajemnica świętości; bo kto chce być święty, musi stać się podobny Jezusowi Chrystusowi; aby zaś to podobieństwo odbić w własnej duszy, trzeba często i długo się w Niego wpatrywać; bo im dłużej kto w Niego się zapatruje, tem Go więcej kocha, i tem więcej naśladować pragnie.

Nadto, wraz z panną d'Ars, słuchała Mszy św. i po-

bożnie wieczorem odmawiała koronkę uboga wdowa, która się gospodarstwem Proboszcza zajmowała.

Do téj pobożnej gromadki przybyła jeszcze jedna osoba, panna Pignault, która pociągnięta może sławą świętobliwości ks. Vianney'a, obrała sobie Ars za zacisze, w któremby mogła do końca nie długiego już życia spędzić spokojnie u stóp Pana.

Prędko poznała wdowę i do siebie ją na mieszkanie wzięła. Oszczędna w wydatkach, na dobre uczynki używała swe dochody, z radością składając swe jałmużny w ręce Proboszcza, który wielokroć wprost żądał od niej pieniędzy na wsparcie ubogich.

Tym sposobem w kościółku w Ars, równie pustym jak po większej części wszystkie wiejskie kościoły, znalazło się dwu nieustannych czcicieli Najś. Sakramentu. Panna d'Ars wraz z wdową przyłączały się do nich rano i na wieczór; ale obowiązki domowe nie dozwalały im tak wiele czasu na modlitwę poświęcać. Dzień rozpoczęty w Bogu przenajśw. Ofiarą Mszy św. kończono wspólnem odmówieniem Różańca i modlitw wieczornych.

Budujący ten widok nie mógł przeminąć bez wpływu na innych: wszakże dobre zarówno się udziela jak złe. Z dniem każdym rosła gromadka pobożnych w parafii; do niej przyłączało się nie mało osób, które z dalszych stron osiedlały się w cichej wiosce naszej.

Choć Proboszcz z Ars był jeszcze nieznanym światu i nic o nim jeszcze nie mówiono, już tajemny jakiś ciąg kierował ku niemu dusze, łaknące sprawiedliwości.

Tym sposobem wieczorne modlitwy pobożnych zamieniły się wkrótce na publiczne nabożeństwo. Głos dzwonka zwoływał na nie wiernych; a Proboszczowi serce rosło, gdy o zmierzchu widział spieszących do kościoła z każdej zagrody i z każdego rodzinnego kółka. I on oczywiście nie ominał żadnego z tych nabożeństw; bo z wyjątkiem czasu misyom poświęconego, nigdy po za domem nie nocował.

Jego kazania, jego gorliwe nauki w konfesyjone przybrały jeszcze ruch koło niego. Wieleż to razy, mówiąc o Najśw. Sakramencie, wołał z zapalem: „O Bracia! gdybyśmy oczami Aniołów patrzeć mogli na tego Boga utajonego w tym ołtarzu, a na nas patrzącego, jakżeżbyśmy

Go kochali! jużbyśmy się nigdy rozłączyć z Nim nie chcieli! a radziłyśmy u stóp Jego na zawsze pozostać. Uczulibyśmy przedsmak Nieba; wszystko co nie jest Bogiem nieznośneby nam się wydało. Ależ oto, brak nam wiary! Jesteśmy nieszczęśliwi ślepcy; gruba mgła zasłania nam oczy. Wiara jedynie mogłaby rozproszyć te ciemności.... Więc moi bracia, za chwilę, gdy w rękach mych będę trzymał Pana Jezusa, gdy On wam będzie błogosławił, proście Go, aby wam otworzył oczy, serca; mówcie Mu tak, jak ów ślepy z Jerycho: »Panie! spraw abym przejrzał.« Bylebyście Go tak szczerze prosili: »Panie! spraw abym przejrzał!« z pewnościąby was Bóg wysłuchał, bo On tylko szczęścia waszego pragnie: ręce Jego pełne łask; ogląda się komuby je rozdać.... i niestety nikt ich nie chce... O niewdzięczności, i obojętności ludzka!... O jakżeśmy nieszczęśliwi bracia, że tych rzeczy nie rozumiemy!... Tak, zrozumiemy je kiedyś, ale po niewczasie!...“ Łzy dalej mówić mu nie dawały: i słuchacze jego byli wrzużeni.

Drugim jego usilnem dążeniem było, aby parafian nakłonić do częstszego uczęszczania do Sakramentów św. W Ecully już ten święty zwyczaj zaprowadził, gdzie też do Stołu Pańskiego codziennie przystępowano licznie; — w Ars zaś zaledwo w uroczyste święta komunikowały niewiasty, i to jeszcze wtedy tylko, kiedy miłość zabaw i tańca nie przeważała; onego świętego i dla duszy ożywczego zwyczaju częstych Komunii św. zgoła tam nieznano. Gorliwy pasterz skarżył się smutnie: „Nie mam tu co robić, lękam potępić tu własną mą duszę. O! gdybym się kiedy doczekać mógł tego szczęścia, żeby tu Zbawiciel mój był znany i kochany! Gdybym mógł rozdawać codziennie Jego najświętsze Ciało wielkiej liczbie wiernych!...“ Doczekał się prędko i téj pociechy z pomocą tych samych osób, które dały początek wieczornemu nabożeństwu.

Panna d'Ars często przystępująca do Sakramentów ś., stała się jeszcze gorliwszą; również panna Pignault i pobożna wdowa; a niebawem ich przykład, poparty gorącą zachętą Proboszcza, wielu znalazł naśladowców. Tym sposobem nowe a plenne ziarno zbawienia rzucone zostało w tę ziemię, która niedawno uchodziła za nieurodzajną.

Jak widzimy, ks. Vianney nie należał do szkoły wielu swoich współczesnych. — On, idąc za śś. Alfonsem, Franciszkiem Salezycznym, Wincentym a Paulo i tylu innymi Świętymi, wierzył, że Najśw. Sakrament jest onym chlebem powszednim, o który w modlitwie Pańskiej prosimy.<sup>1)</sup> Wierzył z Fenelonem, „że, skoro Pan Jezus udziela nam się pod postacią chleba, pokarmu najzwyczajniejszego, widoczna, iż chce nam rzeczą powszednią uczynić chwalebne zmartwychwstałe Ciało swoje.“<sup>2)</sup> — Wyznawał z świętym Chryzostomem, „że zuchwalstwo nie jest w częstem, lecz w niegodnym przystępowaniu do Stołu Pańskiego, chociażby tylko raz w życiu i że dla prawdziwych wiernych czas wielkanocny trwa rok cały.“<sup>3)</sup>

W żywěj pamięci miał zawsze zwyczaj pierwszych Chrześcian, niewątpliwie wiernych wykonawców woli boskiego Mistrza. Akta Apostolskie piszą: „Wierni trwali w Komunii czyli w łączności łamania chleba.... pilnie chodzili do świątyni co dzień, przynajmniej duchowo, łamiąc chleb to w tym to w owym domu“<sup>4)</sup>

Trzymał się po prostu uchwały Soboru Trydenckiego, który w jednej z swych ustaw wyraził życzenie, aby wierni, słuchający Mszy św., łączyli się z Ofiarą nie tylko duchowo ale i sakramentalnie, by tem obfitsze owoce jej otrzymać mogli.

<sup>1)</sup> Tertulian. wykładając znaczenie tej prośby. pisze: że chodzi tu o Ciało Chrystusa, o on Chleb, który z nieba zstąpił; i że tym sposobem, prosząc o chleb powszedni, prosimy, żebyśmy z Chrystusem Panem pozostawali zawsze, i abyśmy się z Ciałem Jego nigdy nie rozłączali. (De orat. c. VI).

„Jeśli to chleb powszedni, mówi św. Ambroży, czemuż go raz do roku pożywasz? przyjmij go codziennie, aby codziennie był ci na pożytek. Ten, co nie zasługuje na to, aby go codziennie przyjąć, nie zasługuje przyjąć go raz do roku.“ (De sacram. liv. V. c. IV, V. 25).

<sup>2)</sup> Homil. I, in cap. II epist. V ad Timoth.

<sup>3)</sup> Tradycya nas uczy, że tą Komunią czyli łącznością w łamaniu chleba było przyjmowanie Najśw. Sakramentu. „Krytycy, — pisze Fenelon, — odwołują się do starożytności. — Ależ gdzie znaleźć obraz chrześcijaństwa czystego i starożytniejszego jak w najstarszych owych zapiskach, w Aktach Apostolskich, w Listach ś. Pawła? (List o częstej Komunii św.).

<sup>4)</sup> Act. II, 4.

Ksiądz Vianney, opierając się na nauce Kościoła i jego Świętych, idąc dalej za natchnieniem własnej pobożności, był przekonany, że Najświętszy Sakrament jest podstawą chrześcijańskiego żywota; jest źródłem, z którego wypływa ona wiara cudowna, ono wyrzeczenie się i poświęcenie, do jakich w Kościele katolickim świat już nawykł tak dalece, że nie zastanawia się wcale nad ich przyczyną. Najświętszy Sakrament jest onem ogniskiem, przy którym Apostołowie zapalali się żarliwością do wyniszczenia siebie, Męczennicy stałością, Dziewice umiłowaniem czystości.

„Idźcie do Komunii św. bracia! — mawiał, — idźcie do Jezusa z miłością i ufnością! Idźcie pożywać Go, abyście żyć mogli dla Niego! — Nie wymawiajcie się robotą, boć Zbawiciel powiedział: »Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy spracowani, obciążeni jesteście, a ja was ochłodzę.« — Moglibyście się oprzeć tak czułemu i przyjacielskiemu wezwaniu? — Nie wymawiajcie się niegodnością. — Prawda, nie jesteśmy godni, ależ nam potrzeba Pana. Gdyby On miał zważać na godność naszą, z pewnością nie byłby wcale ustanowił tego Sakramentu Miłości; boć godnym z siebie samego nie jest nikt na świecie, ani Święci, ani Aniołowie, ani Archaniołowie, ani nawet Najśw. Panna. Aliści Pan miał na uwadze potrzebę naszą; a my wszyscy go potrzebujemy. — Nie wymawiajcie się, żeście grzesznikami, że zbyt nędzni jesteście, i dla tego zbliżyć się do Niego nie śmiecie. — To tak, jak byście mówili, że jesteście zanadto chorzy, i przeto nie będziecie używać lekarstwa, ani posyłać po lekarza.“

Inną razą mówił: „Moi bracia, wszystkie stworzenia potrzebują pokarmu do życia; dla tego Bóg kazał rość drzewom i roślinom: i to jest obfity stół, z którego zwierzęta biorą, co im potrzeba. Ależ przecie dusza też potrzebuje pokarmu: gdzież ten jej pokarm? O moi bracia, pokarmem duszy sam Bóg! Cóż to za wzniosła rzecz!... dusza więc tylko Bogiem nakarmić się może! Sam tylko Bóg zdolen ją napęłnić!... sam tylko Bóg głód jej zaspokoić może! jej koniecznie Boga potrzeba. W każdym domu znajdzie się spiżarnia dla zapasów żywności. W kościele, w tym domu dusz chrześcijańskich, też jest spiżar-



nia: jest nią tabernakulum. — Gdyby nas kto zapytał, co jest tabernakulum, moglibyśmy odpowiedzieć: to spiżarnia dla dusz naszych.“

Oto treść nauk. jakiemi ksiądz Vianney zapalał serca miłością do Najś. Sakramentu. Sądził, że ani prace rolne, ani zajęcia gospodarskie nie mogą być przeszkodą do częstych Komunii ś.; kiedyć cwszem praca, ofiarowana Bogu, a uświęcona duchem wiary, modlitwy i ofiary, jest najlepszem przygotowaniem duszy do połączenia się z Panem w Komunii ś. Sw. Augustyn już powiedział: „Chcesz nieustanną chwałę oddać Bogu, czyń dobrze wszystko, cokolwiek czynisz, a oddasz Mu chwałę.“ — W udzielaniu pozwolenia na częstsze Komunie św. nie był zbyt surowy. Gdy widział, że dusza słaba, niedoskonała, ale która uznawała swą ułomność i z żalem za popełnione niedoskonałości pracowała nad ich naprawą, starał się wyrobić w niej życie wewnętrzne i zalecał jęj często wzmacniać się tym pokarmem niebiańskim.

Trzecim jego sposobem uświęcenia swoich owieczek było zaprowadzenie niektórych bractw. Dwa najwięcej polecane szerzył u siebie: bractwo Różańca św. i bractwo Najświętszego Sakramentu. Przez pierwsze z nich chciał zająć dla Boga matki i panny; za pomocą drugiego pragnął otoczyć ołtarz Pana zastępem mężów i młodzieży męskiej i ująć ich w karby moralności i religii.

W wieczornej modlitwie wspólnej, przy której odmawiano także koronkę, nie widział dziewcząt odznaczających się płocnością i próżnością; bolał nad nimi: więc też umyślił pokonać je bronią św. Dominika. Razu jednego zdarzyła mu się doskonała sposobność do pierwszego przeciw nim ataku. Było to w niedzielę po nieszporach; kilka z nich zostało w kościele dla spowiedzi. Proboszcz upatrzył je z boku, i pomyślał sobie: Teraz was mam, i Różaniec mój gotów. — Podszedłszy zaś ku nim, powiedział: „Moje dzieci, jeśli chcecie, zmówimy wspólnie koronkę na uproszenie Królowej Dziewic o łaskę, abyście doskonale odbyć mogły spowiedź.“ — Ukłękł i zaczął odmawiać koronkę. — Był to początek nawrócenia kilku z tych dziewcząt.

Po tem pierwszym zwycięztwie, w krótkim czasie zna-



czna zmiana na dobre zaszła w parafii świątobliwego Proboszcza; cnoty zacieraly ślady dawnych grzechów, nabożeństwo prawdziwe doskonalilo serca. Zmiana ta przecież nie zaszła od razu: łaska dziala nie nagle, lecz wznosi powoli. — To też kazde zwycięztwo ks. Vianney'a odniesione było cierpliwością, wytrwałością, gorliwością wypróbowaną. Oczyścił niwę Bożą, lecz powoli i z wielkim mżolem. Nie trudno było zachęcić młode dziewczęta do częstej spowiedzi, lecz bardzo trudno odwieść je od tańca w karczmie. Pomimo to jednak jedna za drugą składała Bogu i tę ofiarę. Ks. Vianney gromadził je każdej niedzieli w swoim ogrodzie, którego sam nigdy nie używał; i podczas, gdy gdzieindziej oddawano się szalonym w płasach uciechom, dziewczęta czytały sobie Żywoty Świętych, rozmawiały o Bogu, śpiewały pieśni pobożne i zachęcały się do dobrego.

W tym samym czasie zawiązał bractwo Najś. Sakramentu. Kilku starszych ojców rodzin pospieszyło na wezwanie Proboszcza, który im mówił: „Mężczyzni mają przecież tak samo duszę swą zbawić jak niewiasty. Wszędzie przodują, czemużby też nie mieli przodować w służbie Bożej i w oddaniu hołdu Chrystusowi Panu w Jego wielkim Sakramencie miłości? Pobożność mężczyzn więcej wywiera wrażenia i więcej pociąga za sobą.“

Tym sposobem rosła sława Proboszcza z Ars i rozchodziła się już po za granice skromnej jego parafii. O mój Boże! jakiejże potęgi udzielasz miłującym Cię! jakiej mocy łzom ich i modłom do nawrócenia grzeszników.

Prawdziwą też pociechę zgotował Bóg słudze swemu przez zbliżenie do niego brata panny d'Ars. Żył on podówczas około roku 1819 w Paryżu, w kole najznakomitszych osób odznaczających się pobożnością. Gdy przybył do Ars, pospieszył odwiedzić Proboszcza, którego wyraz twarzy przejął go do głębi: przeczuł, że ma Świętego przed sobą. — Odwiedzał go często i często na kilka godzin zamykał się z nim w zakrystyi na słodkie rozmowy o Bogu. Bo też dusze oddane Bogu, poświęcone Mu miłością doskonałą, znajdują się tajemnymi drogami, i przez wszystkie odnety tego świata, jak pokrewne sobie żywioły zdążają ku sobie. Poznają się od razu i od razu zaufanie tak je

do siebie zbliża, tak je łączy, jak gdyby już tu za życia posiadały ów zmysł Błogosławionych w niebie, którzy jasno przenikają dusze swe nawzajem, bez pośrednictwa słowa, przez bezpośrednie widzenie.

Jeśli ks. Vianney był kapłanem wedle serca Bczego, pan d'Ars był zaiste jednym z tych świeckich ludzi, których typ dziś do tyła się zaciera, że chyba już w przeszłości ich szukać, nie w naszych czasach. Poranki spędzał na modlitwie w kościele, wieczory u wezglowia chorych i ubogich; — w kościele do Mszy św. usługiwał, a ubogim nie samą niósł w pieniądzech jałmużnę, ale cenniejszą nad to jałmużnę miłości, dobroci, pociechy i dobrej rady. Nie było mu rzeczą wstrętną przebywać całemi godzinami z nędzaczami w ich nieraz cuchnącym lochu. — Za jego zaś czasów odwiedzanie ubogich nie było jeszcze rozpowszechnionym zwyczajem chrześcijańskim: pan d'Ars jeden z pierwszych torował drogę Towarzystwu św. Wincentego, które od tego czasu dobroczynnym swym wpływem istny przewrót społeczny wywołało, godząc ze sobą i zbliżając ku sobie wszystkie warstwy, i przekonując biednego i nieszczęśliwego, że w miłosierdziu możniejszych bliźnich, ma jeszcze na ziemi dobroczyńcę i przyjaciela, gotowego poratować nie tylko jego nędzę materialną, lecz co większa a rzadsza, i moralną.

To też zaraz nazajutrz po przybyciu swem do Ars, pobożny nasz szlachcic przebiegał wioskę, nawiedzając każdą chatę; wszędzie usiadł choć na chwilę, rozmawiając ze wszystkimi uprzejmie, ściskając dłoń starca, tuląc do serca dzieci, hojne rozdając jałmużny ubogim, zachwycając wszystkich dobrocią swoją.

Wzajemne uwielbienie złączyło dwu tych mężów; pan d'Ars przyrzekał wszystko uczynić, cobykolwiek Proboszcz od niego zażądał; Proboszcz, na jego prośby, obiecał mu udział w swoich modlitwach i dobrych uczynkach i pożegnał go błogosławieństwem.

## ROZDZIAŁ IV.

Ks. Vianney reformuje parafię.—Kasuje tańce w karczmie.—  
Uczy święcie niedzielę.

„I dał mu moc w przykazaniu swoim  
w stanowieniu sądów, aby nauczał świadectw  
Jakóba, i dawał światłość w zakonie jego  
Izraelowi.“

(*Ekkles. XLV, 21*).

„Otom cię dziś postanowił nad narodami  
i nad królestwy, abyś wyrwał i kaził,  
i wytracał i rozwałił i budował i sadił.“

(*Jerem. I, 10*).

Ksiądz Vianney, utworzywszy sobie zastęp pomocników, wsparty na nich, postanowił teraz otwartą wypowiedzieć wojnę nadużyciom nurtującym w jego parafii. W podobnej zaś walce dwu przedewszystkiem należy unikać rzeczy: zbytniej gorliwości i szorstkości, tudzież niewłaściwego wyboru sposobów naprawy.

Mową ostrą i twardą nikt nic dobrego nie zdziałal; przeciwnie, do większej złości pobudził złych, zniechęcił słabych, a niechętnych skwasił do reszty. Kto od razu chce wszystkiego, może być pewien, że wszystko straci. Gwałtowne i surowe środki nie dokazą nic innego, chyba wzburzą i wzmogą namiętności. Gdy słudzy ewangeliczni chcieli wyrwać kłosa z pszenicy, rzekł im gospodarz: „Nie, byście snadź, zbierając kłosa, nie wykorzenili razem z nim pszenicę“<sup>1)</sup>, toż i słudzy. Boży strzedz się powinni niszczyć swe pole zbytnią skwapliwością w wyrwaniu kłosa.

Nadto, kapłan winien być człowiekiem wielkiej łagodności i słodczy w samej nawet nienawiści do grzechu,

<sup>1)</sup> Mat. XIII, 29.

i wtedy gdy chce mu ofiary wydzierać: współczuciem, miłością i dobrocią niech dźwiga upadłych, niech zalewa rany, które zagoić pragnie; niech je zalewa winem i oliwą, a broń Boże octem i żółcią; niech leczy, a nie rani; bo raniąc, któż kogo uzdrowił? „Nigdy się nie gniewał na mych parafian, — mówił ks. Vianney, — nie pamiętam nawet, czym im kiedy wyrzuty czynił.“

Ludność okoliczna przepadała się za tańcami, a znaną rzeczą, ile niebezpieczeństw taniec za sobą pociąga. Sw. Chryzostom, św. Ambroży, św. Hieronim i Bazyli wyczerpneli już wszystko, co można powiedzieć o niebezpieczeństwach, jakie duszom grozić mogą z tej zabawy. Za nimi powtórzyć nam należy: że jeśli taniec rzadko niewinną jest uciechą, tedy u wiejskiego ludu, niekrepującego się formami przyzwoitości, ta wielka swoboda ruchów nieuniknionym sposobem podnieca namiętności w młodzieży, w dziewczętach zaciera uczucie wstydlivości i skromności, a następnie niweczy w nich wszelkie uczucia pobożne. W tańcu też Proboszcz z Ars widział główną przeszkodę do naprawy parafii.

Razu jednego skrzypek wędrujący przybył do Ars, by do tańca ludowi przygrywać. — „Przyjacielu — rzekł mu Proboszcz, — smutne twoje rzemiosło, Bóg mu błogosławić nie może.“ — Ks. Proboszczu, — odpowiada zagadnięty, — cóż robić? żyć trzeba. — To prawda, ale i umierać trzeba; a ja się lękam, że w godzinę śmierci pożałujesz, iżś źle żył. Wieleż zarabiasz dziennie? — Dwadzieścia franków. — Masz więc czterdzieści i idź sobie z Bogiem.“

Uroczystość św. Patrona kościoła nadchodziła: mieszkańcy z Ars sposobili się na tę doroczną uroczystość wioskową, którą zawsze obchodzono całym szeregiem uczt i zabaw z tańcami. Taka hulanka na długo skaziła dusze. Tego wroga zatem należało pokonać, choćby z wielkim wysiłkiem. Wielkie serca nie cofają się przecież przed trudnościami; ba, tym więcej potężnieje ich usilność, im większa sprawa się rozgrywa. Cóż tedy robi świątobliwy kapłan, by raz na zawsze położyć koniec zgorszeniu, które boleścią przepełniało jego duszę? Przypomniawszy sobie ustęp z Ewangelii zapisany u świętego Marka, że szatana najpewniej wypędza post i modlitwa, Proboszcz z Ars za-

czyną pościć najsurowiej, dni i noce spędza na modlitwie: zawsze uciekał się do tego sposobu, jak to w dalszym ciągu jego żywota zobaczymy, gdy chciał wielkie łaski u Boga wyjednać. Łzami obłany u stóp Ukrzyżowanego, przez Jego pięć Ran, przez one wieczyste źródła miłosierdzia Bożego, błagał o zmiłowanie nad jego ludem, żeby zamrzeć mogli światu ci, za których z miłości Zbawiciel na krzyżu umarł.

Do tych nadprzyrodzonych sposobów wielce polecenia godnych, dodawał i inne. Wie, że nic łatwiejszego, jak gromić i potępiać; ale też że gromy i potępienia nikogo nie nawrócą. Wszelako całą prawdę wypowie ludowi spokojnie: przypomni mu poważne obowiązki życia, wystawi marność zabawy, a wreszcie że stracony czas na tańcach jest po prostu okradaniem Boga, że nierozum oddawać wieczność całą za jeden moment uciechy.

„Moi bracia, — mówił, — na świecie o niczem się nie myśli, tylko o używaniu i zabawie. A przecież tańca nie można ofiarować Bogu na zadosyćczynienie za przestępstwa i przewmienia swoje... Jeśli już chcecie się tylko bawić na tym świecie, zgoda, ależ wpierv Boga wcale nie obrażajcie!... Aliści wcale inaczej się dzieje, że tym też zabawa najwięcej w głowie, którzy najmniej się pytają o obrazę Boga.

„Jednego dnia św. Eligiusz niosąc wiatyk choremu, przechodził obok miejsca, gdzie tańczono. Jeden z tancerzy rzekł: »trzeba uklęknąć«; ale drugi odpowiedział na to straszłą klątwą. Święty, usłyszawszy to, zawołał: Panie Boże! ukarż ich!... I wszyscy padli trupem... Św. Eligiusz wskrzesił ich, prosząc Pana, aby im ukazał tych, co ich otaczali; i ujrzeli dokoła siebie hufiec szatanów.

„Pomyślcie bracia, że ci co idą na tańce, zostawiają Anioła stróża u drzwi domu tanecznego; miasto niego zaraz znajdzie się szatan, tak że wnet w takiej sali balowej tyłu szatanów, ilu tańczących.

„Duch św. tak mówi przez jednego z proroków: Światowi ludzie nieraz weselą się przy odgłosie muzyki, za chwilę są w piekle. Naprawdę trzeba być pozbawion rozumu, żeby chodzić na tańce, wiedząc, że piekło zaludnione tanecznikami... Widziałem raz starca, o kiju idącego

na tańce, a drugiego z niemowlęciem na ręku. Pomyślałem sobie — wszyscy do piekła zdążają!...

„Kto z djabłem chce się weselić, — powiedział św. Piotr Chryzolog, ten nie będzie mógł mieć cząstki w radości i chwale Chrystusa Pana. Bez zasługi nie idzie się do nieba, a na niebo zasłużyć niepodobna przez nieposłuszeństwo Panu Jezusowi, który potępił świat i jego rozkosze. Uważcie bracia, Chrystus Pan nie mówi: »Błogosławieni ci, co się śmieją, błogosławieni którzy tany zawodzą«; lecz przeciwnie: »błogosławieni, którzy płaczą, błogosławieni, którzy cierpią.«“

Takimi słowy przemawiał Proboszcz z Ars; a więcej nad słowa wyrażały łzy jego i twarz, na której święta odbijała się boleść głęboka. W konfesyjonele jeszcze żywiej wylewał swą duszę, przemawiając z siłą a słodyczą do tych dziewic, które w jednej chwili upojenia i szału tracą najdroższy skarb niewinności; — to znów do tych matek, które za to, że nie miały odwagi oprzeć się zachceniu rozpieszczonej córki, mają wnet gorzkiemi łzami płakać nad zgubnemi następstwami pobłażliwości swojej.

Słowa jego trafiały do serca, mianowicie do tych co patrzeli na jego życie w umartwieniu i nieustannej pędzone modlitwie. „Co tylko Proboszcz nam radzi, to sam wykonuje; nigdy się nie bawi, jedyną jego zabawą i rozrywką że się modli; widać, że jest przyjemność w modlitwie, skoro on ją w niej znajduje. Zatem idźmy za jego radami. Nie, on tylko dobra naszego pragnie“, tak rozważali sobie poczciwi parafianie, gdy wieczorem każdy w swem kółku rodzinnem u domowego zasiadał ogniska.

Pomimo to, gdy nadszedł dzień dorocznej uroczystości, chęć do zabawy zagłuszyła dobre postanowienia: grono młodzieży poszło do sołtysa o pozwolenie na tańce. Sołtys, człowiek poważny i poważający swego Proboszcza, ściągnął brwi, na znak niechęci i odrzekł: „Moi drodzy, jam przyrzekł naszemu świętemu Proboszczowi, że na tańce nie pozwolę, i dotrzymam mu słowa. Zróbcie tak jak ja, posłuchajcie jego rady, a nie poażujecie tego.“ Kilku niezadowolonych z tej odpowiedzi pośpieszyło do Trévoux po pozwolenie podprefekta.

Tym sposobem zabawa została urządzona, muzyka już



poczęła nęcić do tańca, z młodzieży mekkiej przywabiła wielu, ale cóż? dziewczęta nie pokazały się wcale. Pod opieką matek modliły się w kościele. Żałujemy że nie możemy podać tu przemowy wzruszonego Proboszcza, jaką przy tej sposobności do łez słuchaczy swych rozrzewnił.

Podczas gdy człowiek toczy bój zewnętrzny, Bóg działa na serca. Zawstydzona młodzież i swoim uporem i swym zawodem, nadto wsparta radami matek, licznę stawiała się przed Proboszczem z prośbą, aby ich wpisał do jakiego bractwa.

Na przekór usiłowaniom kilku hulaszczych przewodów, żeby onęj uroczystości zachować pierwotną jej cechę, straciła ją całkiem; a dzień ten odznaczał się religijnym nastrojem wszystkich mieszkańców sioła, którzy pragnęli go uświęcić przyjęciem Sakramentów św. Zdarzyło się jeszcze raz po raz, że pokuszono się przywrócić tańce: złośliwi zaczepiali młodych: „z dziczejecie, słuchając Proboszcza, wykierujecie się na mnichów“ — ale te naśmiewiska nie zdołały już zachwiać silnych i rzetelnych postanowień, żeby nie martwić Proboszcza. „Róbcie, co wam się podoba, — mówił ks. Vianney; — ale jeżeli będzie choć najmniejszy wrzask, nie pozostanę tu, pójdę sobie natchmiast.“

Raz tylko kilku starszych dało się obalamucić i wzięli udział w jakimś odkazywaniu się przeciw Proboszczowi. Ale ten, nie raniąc nikogo, tak dowcipnie przedstawił jej śmieszność, że się już nigdy nie powtórzyła. Pochwaliwszy powagę młodzieży, dodał: „Zeszłej niedzieli zauważyłem wstążki na kapeluszach kilku mężczyzn, którym sam wiek więcej powagi nakazuje; myślałem że idą się sprzedać.“ Te słowa wystarczyły zawstydzonym winowajcom. Boć człowiek nie może opierać się długo dobremu; ulega wpływowi tego, co pracuje nad jego zbawieniem. Ks. Vianney tyle już był dał zadatków swęj miłości dla dusz, że wpływ jego stał się prawie nieprzeparty.

Zjednał on sobie tyle poważania i miłości u parafian, że dla niego poświęcili tańce nawet na wesolach. Skończywszy zatem walkę z jednym nieprzyjacielem, główną uwagę zwrócił teraz na święcenie niedzieli.

Od dawna już pocziwe umysły nad tem się zastana-



wiały, w tem przekonaniu, że tu nietylko chodzi o sprawę religii, ale zarazem o dobro całego społeczeństwa. Ze tu się rozgrywa sprawa i dobroźnienia i wolności.

Bóg, ograniczając siły duszy i ciała ludzkiego, ograniczył też czas, jaki człowiek swęj duszy i jaki ciału swemu winien; własnym też przykładem w stworzeniu świata oznaczył stosunek pracy duchowęj do pracy doczesnej. „I odpoczywał w dzień siódmy od wszelkiego dzieła, które sprawił. I błogosławił dniowi siódmemu i poświęcił go.“<sup>1)</sup> Otóż zasadnicza i nieodmienna ustawa, która synom Adamowym naznacza odpoczynek po trudach pracy uświęconęj modlitwą; otóż prawo, regulujące działalność człowieka, jego siły i zdolności, i dające podstawę porządku materyalnego, moralnego i religijnego.

Po wszystkie też czasy i po wszystkich ziemiach sześć dni pracy wystarczają na utrzymanie człowieka, nie nadwężając sił jego. Siódmy zaś dzień, poświęcony Bogu, również wystarcza, by odmłodzić i odświeżyć duszę jego, rozbudzić jego nadzieje i zagrzać jego miłość, iżby spokojnie i z radością podążał ku wielkiemu swemu w wieczności przeznaczeniu.

Ta sprawa święcenia niedzieli była najczęstszym przedmiotem nauk ks. Vianney'a.

„Pracujecie i pracujecie, — mawiał, — a zarobek wasz idzie na zgubę waszęj duszy i ciała waszego. Gdyby kto zapytał tych, co pracują w niedzielę: »Co robicie?« mogliby odpowiedzieć: »przedajemy dusze swe djabłu, krzyżujemy Chrystusa Pana, i wyrzekamy się chrztu św. Pracujęm na piekło: kiedyś trzeba będzie płakać wieczność całą za ten marny zarobek... Gdy widzę takich, co orzą w niedzielę, myślę sobie, że oni tak uprawiają duszę swą dla piekła.

„Jakże się myli w swych rachubach ten biedak, który się namozoli w niedzielę w nadziei większego zarobku! Czyż mu te dwa lub trzy złote więćej kiedy wynagrodzą krzywdę, jaką sam sobie czyni, przestępując przykazanie Boże? Wam się zdaje, że wszystko od pracy samęj zależy; aż tu nagle przychodzi choroba, wypadek jaki — burza,

<sup>1)</sup> Gen. II, 2 i 3

grad czy mróz: tak mało potrzeba, żeby zniszczyć wszystkie nadzieje nasze; a to wszystko w ręku Boga; i pamiętajmy, że karze, kiedy mu się podoba, a karania nie zabraknie mu nigdy. On Pan wszechwładny i nie miałby zapanować ostatecznie?

„Nakazał nam Pan Bóg pracę, ale też i wypoczynek; przykazał nam modlitwę a zakazał troski zbytecznej. Posłuchajcie słów Zbawiciela: »Nie troszczcie się o żywot wasz, cobyście jedli, ani o ciało wasze, czembyście się odziewali. Ażaj żywot nie jest ważniejszy niżli pokarm i ciało, niż odzienie.«<sup>1)</sup>

„Dane wam ciało: i miałyby odzienie i pożywienie dlań być wam odmówione? — »Nie troszczcie się tedy, mówiąc: Cóż będziem jeść, albo co będziem pić, albo czem się będziem przyodziewać, albowiem Ojciec wasz niebieski wie, że tego wszystkiego potrzebujecie. Szukajcież tedy najprzód królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a to wszystko będzie wam przydano. Nie troszczcie się o jutro, albowiem jutrzejszy dzień sam o swoje potrzeby troskać się będzie. Dostyci ma dzień swęj nędzy<sup>2)</sup>).

„Człowiek nie jest bydłciem roboczem, lecz duszą stworzoną na obraz Boży. Nie może przestać na potrzebach ciała i zmysłowych pożądaniami; dusza jego i serce jego też mają pragnienia i pożądania: nie samym chlebem żyje człowiek, lecz także modlitwą, wiarą, uwielbieniem i miłością.

„Pracujcie, nie dla tego pokarmu, co ginie i niszczeje, lecz dla tego, który trwa ku żywotowi wiecznemu. Cóż wam z tego przyjdzie, żeście pracowali w niedzielę? umierając, zostawiacie wszystko, nic z sobą zabrać nie możecie. Ach! jakże to okropnie umierać, gdy się ma przywiązanie do ziemi!... Pierwszym i jedynym celem naszym: Bóg; i na to jesteśmy na ziemi, abyśmy do niego przyszli... O moi bracia, trzebaby nam umrzeć na niedzielę, a zmartwychwstać w poniedziałek.

„Niedziela — prawil dalej — to własność Boga, to Jego dzień, to dzień Pański. On uczynil wszystkie dni w tygodniu, mógł je był Sam dla siebie zatrzymać, a dał

<sup>1)</sup> Św. Mat. VI, 25. <sup>2)</sup> Św. Mat. VI, 31, 32, 33.

wam z nich sześć, siódmy tylko dla siebie zawarował. Jakimże więc prawem naruszacie dzień nie wasz? Dobrze wiecie, że rzecz kradziona nie przynosi pożytku, toż wam nie przyniesie pożytku i dzień, który Bogu kradnicie. Znam dwa niezawodne sposoby zubożenia: pracować w niedziele i przywłaszczać sobie cudze dobro.“

Było to ulubione zdanie Proboszcza z Ars. W ostatnich latach powtarzał je często, jako owoc długoletniego doświadczenia.

Milo tu wyznać, że gorliwość ks. Vianney w tem napotkała serca poczciwe i uległe. W krótkim czasie cała parafia stała się pod jego kierunkiem tak przykładna, że za wzór innym służyła. Nie pojawił się już robotnik w polu ani przy rzemiośle w niedziele, nawet w czasach żniwa; wszędzie panował spokój błogi i wczas uczciwy.

Prawda że Arsanie byli rólnikami, a rólnik przede wszystkim i najlaciej zrozumie konieczność tego bożego prawa i pracy i spoczynku, tej niezbędnej łączności modlitwy z czynem. Prace rólnika są niejako aktem wiary, bo samoż życie, zajęcie jego ściślejszy nawięzuje stósunek z Bogiem, przeto że zniewolon jest nieustannie z rąk Opatrzności wyglądać błogosławieństwa, bez którego wszelka praca jego będzie daremną. Niema dlań innego sposobu nad modliwę, żeby krople deszczu czy promyk słońca otrzymać z nieba dla swoich łąnów, modlitwą też chyba osłoni je od spieki lub od nawalnej ulewy. Rólnik zna się do ciągłej zależności od Boga. Na to żeby ziemia mogła wydać płody swoje i Bóg i człowiek jednoczą swą wolę i moc swą i spółdziałanie; przedziwna tajemnicza to spółka. Bóg daje nasienie, człowiek je sieje; człowiek niwę kraje, Bóg spuszcza deszcz i rosę; gdy człowiek już uznaje niemoc swoją, że już nic więcej nie może uczynić dla żniwa przyszłego, Bóg dopełnia i dokonuje dzieła.

Podobne myśli nieustannie się powtarzały w kazaniach Proboszcza. „Ufajcie Opatrzności Bożej, — mawiał inną razą, Ona dała wzrość żniwu waszemu to i zebrać wam je pozwoli.“ Silny tą wiarą w opiekę Bożą, rzadko bardzo pozwalał na sprzątanie żniw w niedzielę, a parafianie jego

tak nawykli ufać słowu jego, że często wśród strasznych nawałnic spokojni byli o swe zboże.

Jednej niedzieli, gdy zboże na pokosach i w snopach całe pola zalegało, okropna zerwała się burza, czarne na niebie chmury groziły deszczem ulewnym. Proboszcz, w obec zaniepokojonych żniwiarzy, wchodzi na ambonę, zakazuje im pracy i obiecuje pogodę do końca żniwa. I stało się według jego przepowiedni.

Bóg też widocznie błogosławił Arsanom, wzmagało się dobroźnienie przez uczciwą pracę; a jeśli niektórzy tu jeszcze podupadają, to z pewnością ci tylko co przykazań nie strzegą.

I później szanowano niedzielę, gdy już skutkiem potrzeb wywołanych napływem pielgrzymów namnożyło się w Ars i oberż i składów i warsztatów. Wszystkie młoty i kowadła spoczywają w niedzielę; składy wszystkie pozamykane. Ks. Vianney było markotno, że omnibusy w niedzielę jeździły; powszechnie szanowano tak dalece jego wolę, że pielgrzymi, ile możności, starali się nie przyjeżdżać ani wyjeżdżać z Ars w święto; a właściciel omnibusu objeżdżał w ten dzień w koło, byle turkotem kół nie przerywać świętecznej ciszy dokoła kościółka i plebanii.

Sprawa święcenia niedzieli schodzi się ze sprawą karczmy, co istnym jest wrzodem wsi i miasteczek, zmartwieniem dla wszystkich gorliwych pasterzy. Karczma bowiem wszędzie w zawody idzie z kościołem; gdzie karczma pełna, tam kościół pusty, i na odwrót. W wielu miejscach karczma przyczyną, że niedziela jest już tylko dla kobiet, że mężczyźni niedzieli nie znają. Ah! jakąż złością zionie karczma! tam poczciwość ludu wiejskiego truje się śmiertelnymi wyziewami wszelkich namiętności, i tonie w kielichu pijaństwa. Straszne zbrodnie, jakie dościga ramię sprawiedliwości w sądach, więzieniach najczęściej początek wzięły: z karczmy.

Ks. Vianney aż dwie karczmy zastał w swojej parafii. Niezwłocznie też całą siłą wziął się do tego, żeby je znieść. Lecz nie uczynił tego, w przykry dla kogobądź sposób nie zniewalał tych, co dzierżyli prawo wyszynku, nie naglił ostremi przymówkami żeby porzucili swe zajęcie; nie uderzał wprost w niczyją osobę; raczej w łagodny sposób, czy

to w poufnej rozmowie, czy w kazaniach wyrażał ubolewanie nad zgubnym wpływem karczmy: i tak ostatecznie przekonał wszystkich, że jedna za drugą poupadały.

W miejsce tych przybytków grzechu polecał Proboszcz zakładać skromne domy zajezdne dla coraz liczniejszych pątników, pielgrzymujących do Ars, tam panował przykładowy porządek; zamykano je wcześniej wieczorem i w niedziele w czasie nabożeństwa, a otwierano je tylko dla usługi pielgrzymów; miejscowi wcale się w nich nie zbierali.

Tak tedy Ars przybrało ową poważną cechę, która tak je od innych miejscowości odróżnia, że widok tego sióła przenosi myśl naszą w lepsze czasy przeszłości odległej. Za dnia cały ruch skupia się dokoła kościoła, wieczorem rodziny zasiadają u domowego ogniska, a w nocy, niema przykładu, by hałas jaki przerwał spokój mieszkańców. Stróż publicznego porządku nigdy takiego ładu nie utrzymają; bo gdzie chodzi o dobre obyczaje, tam potrzeba siły, której nie mają, siły moralnej, która jedynie zdolna wola człowieka ujarzmić. Siłę tę, przemieniającą serca ludzkie, posiada słowo ukochanego i poważanego kapłana, który przemawia w imię Chrystusa.

Nie dość było ks. Vianney położyć tamę zgorszeniu, usunąć robotę niedzielną, tańce i karczmy; pragnął z niedzieli uczynić dzień prawdziwie Pański, Boży, żeby przezeń Bóg miał chwałę na wysokościach a pokój mieli ludzie dobrej woli. Wiedział on, że odebrać ludowi przyjemności i rozrywki, a nie natomiast mu nie dać to się go skaże na nudę, straszne uczucie próżni, czezości. Starał się tedy wypełnić dzień niedzielny całym szeregiem ćwiczeń pobożnych, zdolnych podnieść dusze ludu ku wyższym pragnieniom serca.

Troskliwość pasterska podobna do nauczycielskiej czułości, powinna zawsze czuwać nad tem, aby wierni mogli jak najobficiej korzystać z błogosławieństw, jakie Bóg przywiązał do tej swęj ustanowy dnia świętego.

„Prawdziwa rozkosz była spędzić jaką niedzielę lub święto w parafii Ars, — zapisuje sobie ks. Renard. — Ludzie licznie przystępowali do Komunii św., modlitwa była w niej nieprzerwana. Na nabożeństwa, następujące po sobie z krótkimi przestankami, takie tłumy się cisnęły, że

prawie oddychać nie było można. Zacny Proboszcz regularnie o pierwszej godzinie katechizował; słuchaczy bywało tyle ilu obecnych na Mszy św. Po nieszpórach śpiewano pieśni do N. Panny a potem Proboszcz odmawiał Koronkę z licznym udziałem wiernych.“

O zmierzchu odgłos dzwonu po raz trzeci zgromadzał wszystkich w kościele. Ks. Vianney wychodził wtedy z konfesyonału, i z kazalnicy odmawiał głośno wspólny pacierz, który zwykle kończył się jedną z tych nauk wieczornych, w których całą duszę swą wylewał w prostych a silnych i wzniosłych wyrazach.

Przenikał serca najwyższemi i najodpowiedniejszymi potrzebom ich prawdami. Mówił o stworzeniu i o wielkiem przeznaczeniu człowieka, o doskonałem poznaniu obowiązków każdego wedle jego stanu i położenia, o miłości Boga i bliźniego, o znamionach prawdziwej cnoty, o pracy nad poprawą życia, o miłosierdziu i ofierze, o karze i przebaczeniu..

Pod nieustannem działaniem tych nauk, winowajca uczył się skruszony; sprawiedliwy utwierdzał się w dobrem; pyszny pokorniał; nieszczęśliwy zdawał się na wolą Boga; koily się bóle duszy; wzmacniały się więzy łączące człowieka z Bogiem i z bliźnim.

Dziś, po kilkudziesięciu latach, co upłynęły od śmierci Proboszcza z Ars, trudno rozpoznać dokładnie ślady jego pracy, gdy nie jedno już od tego czasu się zmieniło. Napływ pielgrzymów i wielu obcych rodzin osiadłych w skromnej niegdyś wiosce, zmienił ją do niepoznania; atoli przed laty kilkudziesięciu była to istna oaza chrześcijańska.

„Przechadzając się po polu, — opowiadał ktoś, co częstym bywał gościem w Ars, — w czasie żniwa, nigdy nie usłyszałem klątwy z ust ludzi zajętych pracą. Pochwaliłem to jednemu z wieśniaków. — »Ej! myśmy nie lepsi od innych, — odparł mi pokornie; — ale wstydby nam było kłać tak blisko naszego świętego.«

„Na odgłos dzwonów w południe, podziwiałem jak ludzie przerywali sobie pracę, by z odkrytą głową odmówić Anioł Pański. Nie widziałem tam pijaków, ani kłótni i gorszących widowisk, które zwykle idą w orszaku pijaństwa. Do Sakramentów św. uczęszczają tak ludzie, że ob-



łęzone konfesyonały w każdą sobotę przypominały wigilie wielkich uroczystości. W którejże parafii widział kto ludzi w kościele o drugiej lub trzeciej godzinie z rana? albo gdzież pobożni przychodzą uczyć Najśw. Sakrament po całodziennęj mozolnëj pracy?

„Było i kilku zatwardziałych grzeszników, którzy się oparli gorliwemu wezwaniu swego pasterza, boć niema tego zakątka, gdzieby się zły duch nie wcisnął, a im więcej dobrego dokoła, tem wybitniejsza złość jego, ale ktokolwiek znał tę okolicę przed czasami proboszcza z Ars, przyzna, że niewypowiedziana zmiana tego ludu jest pierwszym z cudów jego.





## ROZDZIAŁ V.

### Ks. Vianney stara się o ozdobę świątyni.

„Starał się, aby ołtarz błyszczał, aby ściany otarte z kurzawy, posadzka zamieciona, aby zakrystya była czysta, naczynia bogate i lśniące, czuwał nad tem starannie. (Sw. Hieronim w liście do Heliodora o śmierci Nepocyana).

Człowiek co wędrowcem jest na tym lez padole, w tej drodze do lepszej Ojczyzny, onego miasta trwałego w niebie, potrzebuje radosnego przystanku świętego, by w niedzielę wytechnęła jego dusza i spoczęły strudzone jego członki w objęciach Zmartwychwstałego Pana, i by u Niego zaczerpnąć siły i odwagi do dalszej, zaiste nie wesołej pielgrzymki.

Ale to wytechnienie powinno mu być miłe, uroczystością jakąś musi tętnąć ten jego spoczynek. Kościół rozumiał tę potrzebę serca człowieczego i otóż daje ludowi święta, uroczystości, a w nich wrażenie szlachetne, wzruszenia pełne błogiej radości, przyczem zarówno uczucie religijne jak i serce i oczy nawet znajdują zaspokojenie. Świątynie jego dla wszystkich otwarte; jarzące światło zdobi ich wnętrze, kłęby palonego kadzidla roznoszą woń, po nich pobożne pienia rozlegają się, w ich sklepieniach unosząc i rozrzewniając dusze. Wszystkie bogactwa pałaców i cały przepych książąt przedstawiają się tu oczom chrześcianina i uczą go, że w Kościele Bożym i tylko tutaj choć ubogi nędzarz uważać się i czuć może dzieckiem Pana Najwyższego.

Ksiądz Vianney pojmował tę świętą poezją niedzieli, bo sam się nią od dzieciństwa poił. Wiedział, że dla ludu Kościół jest wszystkim, jego życiem, jego wiarą, je-

go nadzieją; wiedział, że obrazy i figury kościelne są księgami prostaczków, którzy w nich czytają dzieje swych przeznaczeń, czego najuczeńsi dziś nieraz doczytać się po swych księgach nie mogą.

Smutne i nagie ściany zastał Proboszcz w swoim kościółku i zabolął nad tem ubóstwem. Sam dla siebie niczego nie żądał, kochał swoje ubóstwo, ale dla Pana swego pragnął jak największego przepychu w ozdobie ołtarzy, szat i naczyń świętych. „O jakże mi miło pomnażać gospodarstwo Pana Boga!“ mawiał, gdy jaką rzecz nową sprawiło się do kościoła. Jego sercu trudno było zrozumieć, żeby można nie oddawać Panu Jezusowi, co się ma najbogatszego i najkosztowniejszego. Zdawało mu się prawie niewdzięcznością skąpienie czegoś dla tak hojnego Pana, który dał za nas wszystką Krew swoją, i wszystek oddaje nam się w Komunii św.

Z góry ułożył sobie, jak odnowi swój kościół; a zaczął od wielkiego ołtarza, bo stary i spruchniał po trosze, i roboty był bardzo prostej. Własnym kosztem wystawił wielki ołtarz nowy. Nie byłby śmiał odezwać się do ofiarności swych parafian, nie wyczerpnąwszy w pierw swoich zasobów. — Z największą przyjemnością pomagał stolarzom w ustawianiu ołtarza, który bogatym złoceniem olśniewał oczy pobożnego ludu. Wnet spróbował i innego rzemiosła, własną ręką malując, żeby starym ścianom i gzymsom chóru choć w części przywrócić dawną ich świetność; wypełzłe ich farby zbyt bowiem raziły obok blasku złocenia ołtarzy. A choć to nie była robota pierwszorzędnego mistrza, zachwycała świetnością swą wiejskich śpiewaków chórowych niewymownie.

Te roboty zajmowały naturę czynną Proboszcza i chroniły go od bezczynności, której niebezpieczeństw się lękał, przybywszy do Ars. „Niepokoi mnie ociężałość tej okolicy, — mawiał z westchnieniem, — boję się potępić duszę, nie pracując wedle sił mi danych.

Parafianie widząc gorliwość swego pasterza, zrozumieli, że wielkiem jest wszystko, cokolwiek się dotyczy służby Bożej i pospieszyli mu z pomocą.

Z wszystkich świąt kościelnych, najmilszem było świątobliwemu kapłanowi Boże Ciało, które lud francuzki po-

mimo osłabienia wiary obchodził zawsze nabożnie. W pierwszym więc roku swego pasterstwa, wziął sobie za zadanie urządzić to święto jak najwspaniałej i własnym kosztem ubrał biało cały orszak dzieci, co jako aniołki otaczać miały Pana Jezusa w Najśw. Sakramencie wystawionego. Mając na myśli, jak Zbawiciel kochał dzieci, mniemał, że według Jego serca urządzi Mu to święto, stawiając je na Jego drodze. — Sam tedy ubierał je w białe tuniki z oną dobrocią i słodyczą, która chwyta za serce: „Moje dzieci, — przemawiał do nich, — bądźcie tylko grzeczne i skupione. Myście ciągle o tem, że stoicie tu przed samym Bogiem, zastępując mu Jego Aniołków. Z głębi serca powtarzajcie Mu: »O mój Boże kocham Cię.« Aby się Panu Jezusowi podobać, serduszka wasze muszą być takie bielutkie jak sukienki, które przywdziejecie.“ — Tak pouczona dziatwa budowała całą parafią. I w ten to sposób rozpoczęły się one uroczystości Bożego Ciała, na które później pielgrzymi z wszystkich stron świata zdążali.

Pan d'Ars, dowiedziawszy się o staraniach ks. Vianney, przysłał mu z Paryża pięknej roboty sześć lichtarzy, dwa wielkie relikwiarze i bogate tabernakulum z miedzi grubo złoconej; nadto wspaniały baldachim, bogate chorągwie, ornaty i srebrną pozłacaną monstrancją. Na widok tych darów, święty Proboszcz nie wiedział co robić z radości, śmiał się i płakał, błogosławiąc za wszystko Bogu. Następnęj niedzieli, dzieląc się swą radością z parafianami, wezwał ich do wspólnęj pielgrzymki do cudownęj Matki Boskiej do Fouvières, aby jęj te wszystkie dary poświęcić, poświęcając zarazem samych siebie na miejscu, gdzie Ona okazuje ludziom swą moc i dobroć. — „Ona nas musi nawrócić,“ — dodał w końcu.

Dzień tęg pobożnęj pielgrzymki wyrył się na zawsze w pamięci Arsanów, bo pielgrzymka ta ściągnęła na ich ustronie łaski, które z czasem tylu pątników do niego zwabiały. Dzień ten stał się stanowczy pod względem niepojętego zwrotu religijnego całej parafii. A i Proboszcz dziwne dary światła i nieznanego sobie dotąd szczęścia w dniu tym odebrał. Miał niejaki objawienie przyszłości, przyszlęj chwały ubogięj swęj wioski.

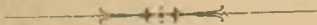
Oczyrna duszy widział spieszące do nięj tłumy po

zdrowie duszy i ciała... Usłyszał jakoby oddźwięk pieśni Izajasza: „Chwał niepłodna, która nie rodzi: śpiewaj chwałę, a krzycz, któraś nie rodziła.. Rozprzestrzeń miejsce namiotu twego, a skóry przybytków twych rozciągnij, bo na prawo i na lewo przebierz się.“<sup>1)</sup>

Później raz wymówiło się księdzu Vianney: „raz w życiu byłem też prorokiem, — ale wnet obrócił to w żart, dodając: „tak, ale złym prorokiem, prorokiem Baala... przepowiedziałem, że przyjdzie czas, kiedy Ars nie będzie mogło pomieścić mieszkańców swoich!“

---

<sup>1)</sup> Is. LIV, 1, 2, 3.



## ROZDZIAŁ VI.

### Ksiądz Vianney buduje kaplice.

„...Tu, niechaj lud wypełnia swe śluby; niech grzesznik składa ciężar nieprawości swoich; niech się utwierdza wiara święta; ztąd niech pobożność wyjdzie nasycona, a nieprawość naprawiona.“

(*Missal. Lugd., praef. de Dedic.*).

Święty Tomasz powiedział, że dusza jest formą ciała i na niem wyraża piękność swoją. To samo możnaby zastosować do kościółka z Ars, który stał się niejako odbiciem swego Proboszcza, a przedewszystkiem jego kolejno przystawiane kaplice. Zamierzał nietylko świątynię przez one kaplice rozszerzyć, lecz i wyrazić w nich już to jaką tajemnicę wiary św., już to pamiątkę jakiego szczególnież czezonego Świętego.

Pierwszą z nich poświęcił swemu patronowi, św. Janowi Chrzcicielowi. Podług powszechnego mniemania kaplica ta stanęła skutkiem cudownego widzenia, jakie ksiądz Vianney miał w pierwszych latach swego pasterstwa. W czasie Mszy świętej ukazał mu się święty Jan, dając do zrozumienia, że chce osobnej czci dla siebie w jego kościółku, jako dla tego, który był głosem wołającego na puszczy, gdyż tu za jego przyczyną wielu grzeszników się nawróci.

Rzecz ta znana nam z opowieści; wszelako żeśmy jęj nigdy z ust samego Proboszcza nie słyszeli, podajemy ją z zastrzeżeniem. Lecz cobądź wpłynęło na pomysł wystawienia tęg kaplicy, to pewna, że wcale w niezwykły sposób wpłynęły pierwsze pieniądze na jęj budowę. — Ksiądz Vianney nie liczył się z wydatkami: póki był jaki pienią-

żek w kalecie, oddawał go ubogim. Gdy zatem przyszło do wypłaty robotnikom, nie miał ani grosza. — Jak zwykle w podobnych kłopotach, wyszedł na przechadzkę z różańcem w ręku. Zaledwo minął ostatnie strzechy wioski, jakiś konny jeździec zbliżył się do niego i począł rozpytywać o jego zdrowie. „Dzięki Bogu zdrów jestem, — odpowiedział Proboszcz, — ale mam kłopot; wybudowałem kaplicę i nie mam pieniędzy na zapłacenie robotnika.“ — Gdy na to nieznajomy zamyślił się, ks. Vianney w obawie, aby źle sobie nie tłómaczył jego zwierzenia, chciał go pożegnać. Lecz jeździec powstrzymał go, doręczając mu dwadzieścia pięć sztuk złota na zapłacenie robotnika i polecając się jego modlitwie. To uczyniwszy, zaciął konia i tak spiesznie odjechał, że Proboszcz zdumiony nie miał czasu mu podziękować. — Były to pierwsze, ale nie ostatnie pieniądze, jakie w sposób wcale niespodziany dostawał.

W kilka dni po poświęceniu kaplicy, podług zapisków Katarzyny Lassagne i innych wiarogodnych świadków, Proboszcz rzekł do swych parafian: „Gdybyście wiedzieli co się stało w tej kapliczce, nie śmielibyście jej progę przekroczyć.... Jeśli Bóg zechce, da wam kiedyś poznać; ja wam nic więcej nie powiem.“

Co się tam stało, nie wiemy. — Wiemy to tylko, że ona kaplica świętego Jana była mu zawsze droga, że była niejako głównem ogniskiem, z którego wystrzeliło tyle promieni łaski w kościółku Arsańskim wstawionym cudami. W niej to dopełniały się przedziwne tajemnice miłosierdzia i zadosyćuczynienia, w niej przez wszystkie lata pielgrzymek święty kapłan przyjmował grzeszników, w niej strawił życie w konfesyonale i tu, powiedziec można, dokonał chwalebnego męczeństwa swego.

Uściwszy się ze czci swemu Patronowi, zapragnął postawić ołtarz młodej Świętej, której cześć zaczęła się szerzyć we Francyi.

W roku 1802, odkryto na cmentarzu św. Pryscyllii grób dziewiczej Męczenniczki, jak na trumnie świadczyły symboliczna kotwica, trzy strzały, palma i lilia oraz napis: (Fi) Lumena, Pax Tecum. Fi. (At.) czyli: „Filo-

men o, pok ój z tobą. Amen. W małej flaszcyczce dostrzeżono jeszcze ślady krwi, jaką za Chrystusa Pana wylała.

Pobożny misjonarz neapolitański ks. Franciszek de Lucia, wyprosił sobie te relikwie do Muniano w dyecezyi Nola. Pan, nie szczędzący Świętym swoim chwały, jaką dla Niego za życia wzgardzili, licznymi cudami rozślawiał orędownictwo młodej Męczenniczki. Tłumy ludu gromadziły się około jej zwłok tak, że wkrótce sława jej przeszła z Włoch do Francyi, gdzie nowe cuda dowiodły, ile miłą Boskiemu Oblubieńcowi jest cześć oddawana świętej dziewicy. Nabożeństwo zaś, jakie do niej powziął Proboszcz z Ars, niemal się do rozszerzenia jej czci przyczyniło. Rzecz można, że sława obojga rosła jednocześnie.

Przyczynie świętej Filomeny przypisał ksiądz Vianney cuda, które inni jego świątobliwości przypisywali. W cudownych tych sprawach tyle przedziwnego, niewytłómaczonego powikłania, iżby się zdawać mogło, jakoby istniała jakaś tajemnicza umowa pomiędzy cudotwórcą żyjącym na ziemi, i przeczuwającym wielkie rzeczy, jakie się dziać miały w Ars, a cudotwórczynią w niebie, że mu pozwoliła, ażeby jej świętem imieniem zasłonił swą pokorę. Jedno atoli jest rzeczą pewną, że święta Filomena, „droga młodziuchna Święta,“ jak ją nazywał, nie nigdy nie odmawiała czcicielowi swemu.

Nie będziemy się wdawali w opis kaplicy św. Filomeny, Pana Jezusa (Ecce Homo) i Aniołów Stróżów. Trudnoby tam było znaleźć jakieś dzieło sztuki: ci co się budowaniem ich zajmowali, nie wiele znali się na sztuce. Proboszcz, doskonale wiedząc, jak potężnie do serc ludu przemawia religijny obraz, rzeźba, nappełnił niemi kaplice, żeby niejako całe niebo tu się uprzytomniało, żeby Święci i Aniołowie Boży w obrazach swoich tu zamieszkali widomie, i żeby lud u stóp ich znajdował pociechę i naukę.

Bierze ochota przypuścić, że ksiądz Vianney w przecuciu przyszłości, z góry chciał dla przyszłych tu pątników przysposobić w tych kaplicach niejake stacye ich wewnętrznego życia, do których mieli dochodzić: jedni aż



do życia łaski, inni do zupełnego ukojenia bólu duszy i ciała. W rozkładzie kaplic mieści się, jakoby symbol proczy, zamię wieszczę tego, jak łaska Boża działać będzie w przeróżnych duszach.

W kaplicy św. Michała i Aniołów Stróżów u wejścia do kościoła, niebiańskie te duchy zdawały się czekać na przychodniów, by ich poprowadzić, gdzie ich Bóg czekał z łaską swoją świętą.

Święta Filomena, wsławiona cudownemi uzdrowieniami już w Neapolu, miała i tu być narzędziem łask cudownych, jakich ludzie przez lat przeszło trzydzieści doświadczali w tej kaplicy, której ściany obwieszane dziś setkami kul i krukwi złożonych tam przez kaleki uzdrowione za jej świętą przyczyną.

Kaplice Matki Boskiej, świętego Jana i Pana Jezusa, stały się widownią nagłych i wielkich a trwałych nawróceń. — Matka Miłosierdzia, Niepokalana Matka Boża, wyciągała tu ręce ku grzesznikom, których jest najpewniejszą Ucieczką. Do Jej stóp przychodzili tu po odwagę, aby się zagłębić w bezdeń własnego sumienia, i aby rozpoznać wszystkie serca swego zakąty. Z tej stacyi przechodzili do drugiej, świętego Jana, poprzednika Chrystusowego, który tu nie przestawał ich nawoływać do świętej pokuty; a przy konfesyonale, u stóp nowego Jana Chrzciciela, obmywali dusze swe we chrzcie łez pokutnych.

W trzeciej zaś kaplicy u stóp ubiczowanego Zbawiciela i Matki Bolesnej już rozgrzeszeni grzesznicy, we łzach pokuty i żalu, rozważali Mękę Pańską, i złość grzechu, która tak sponiewierała Pana chwały.

Któż wypowie, co się tu działo w duszach, do których Pan już przemówił i do których serca już oczyszczonego z łaską swą wstąpił; ile tu ofiar się poczęło; wiele tu zbrodniczych związków się rozerwało; wiele tu wielkich i mężnych postanowień się zrodziło! Trudno bez wzruszenia wspomnieć tych pokutników łzami zalanych, którzy tu odnaleźli pokój duszy; tych nieszczęśliwych, którzy tu nadzieje swoje i cierpienia swoje składali!

Kaplica Pana Jezusa najwięcej była ulubiona wszystkim, którym Bóg dał poznać ciężkość ale i wartość

swego krzyża. „Tu, — mówił nam jeden z pielgrzymów, — czuję się jakby na Kalwaryi, u stóp Ukrzyżowanego, tak daleko od świata, że ani już wiem, czy świat jaki istnieje. Kalwarya tak nam wszystkim potrzebna, że dziękować powinniśmy Zbawicielowi, gdy nas raczy na nią prowadzić za sobą. Poprowadził na nią wszystkich swych przyjaciół, wszystkich swych wybranych: Najświętszą swą Matkę, Apostołów, Męczenników, Wyznawców, Dziewice... wszyscy tam za Nim poszli i dobrze na tem wyszli. Ciężka to droga, ale kres jej słoneczny. Zdażajmy do Niego, z całkowitem zdaniem się na wolę Tego, który chce nas mieć przy sobie i mówmy Mu: „Panie dobrze nam tu być z Tobą!“

W podobny to sposób przemawiały do serc święte te obrazy.

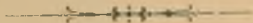
Podoba się Bogu miłosiernemu dla szczęścia wiernych wybierać niektóre miejsca i przedmioty, którym daje nadzwyczajną siłę pociągającą serca. Nie ma tu żadnego wpływu zewnętrznego, ani onego powabu, który oko nęci. Gdzie moc Boża działa, zniewala uczucie nasze tak silnym a niepojętym urokiem, iż ani się opatrzysz, jak serce twe tu na uwięzi pozostanie tak dalece, że gdy ci się rozstawać przyjdzie, ból cię ogarnie, jak gdyby najmilsze serca przywiązanie zeń wrywać się miało. Wieleż to razy pielgrzymi do Ars przybyli, skarżyli się na to cierpienie z rozłąki z tem miejscem sobie drogiem... Jakże więc określić istotę tego przywiązania do rzeczy, które budzą w nas uczucia wyższe? a które tak silnie ogarnia duszę, że się staje niejako jej częścią, i bez bólu z niej wydrzeć się nie daje? Wzdy jest to objawienie tej przyszłości, z której uchylony rąbek ukazuje nam ją już z bliska; jest to Świętych obcowanie, powszechne braterstwo w wspólnej Ojczyźnie, jest jasnowiedzenie rzeczy, które tu na ziemi pragnie się pojąć; jest posiadanie piękności nadziemskiej, za którą tu tęsknimy; jest poczucie onej rozkosznej miłości, którą najbogatsza wyobraźnia w słabem chyba odbiciu nam przedstawić zdolna; jest to uczucie, które wyrwało z piersi Piotra świętego okrzyk: „Dobrze nam tu

być,“ — a Dawidowi te słowa pełne tęsknoty: „Żąda i ustaje dusza moja!... Serce moje i ciało moje rozweseliły się w Bogu żywym!...<sup>1)</sup> Kiedyż przyjdę a okażę się przed obliczem Bożem?...“<sup>2)</sup> Tak, to jest przecucie Wieczności, tęsknota za Bogiem, poczucie Nieskończoności, pociągającej i przykuwającej dusze w tych miejscach cudownych, które są dla nas jakoby przedsionkami nieba.

---

<sup>1)</sup> Ps. LXXXIII 1, 2.

<sup>2)</sup> Ps. XLI, 2.



## ROZDZIAŁ VII.

Jak Proboszcz z Ars kochał dusze. — Jego praca w parafii i po za parafią.

„A jać bardzo rad nałożę i nad zwyż się wydam sam za dusze waszo.“

(II Do Korynt. XII, 15).

„Bo cóż? By jedno wszelkim sposobem, bądź z okazji, bądź po prawdzie, Chrystus był opowiadany: i w tym się wesele i weselić będę... bo wiem, iż mi to wynidzie ku zbawieniu... według oczekiwania i nadzieje mojej, iż się w niczem nie zawstydzę ale z wszelakiem bezpieczeństwem jako zawsze tak i teraz wielce będzie wśławion Chrystus w ciele mojem... Albowiem mnić żyć jest Chrystus, a umrzeć zysk.“

(Do Filip., I, 18, 19, 20, 21).

Skreśliwszy główne rysy życia ks. Vianney z pierwszych lat jego pasterzowania, pozostaje nam jeszcze wzmianka o niektórych wypadkach, które urozmaiciły jego świętą jednostajność.

Choć kochał swoich parafian uczuciem ojcowskiem i nie szczędził dla nich trudu i starania, odpłaconego wzajemną ich miłością, która też była dla nich pobudką do poprawy i do unikania zgorszeń, żeby nimi proboszcza swego nie zasmucić, wszelako praca ta zaledwie nad kilkuset duszami nie wystarczała jego gorliwości. Dla kapłana, przejętego wielkością ceny Krwi Chrystusowej, jest to ból nad bóle widzieć dusze lejące w otchłań piekielną. Biskup, domyślając się, że nad tem boleje ksiądz Vianney, ofiarował mu parafią większą, w pięknej i żyznej okolicy, zamieszkałej przez lud miły, szczerzy i otwarty. Nasz Probosz po kilka razy wybierał się na swe nowe stanowisko: zawsze wylew rzeki Saony wstrzymywał jego wyjazd.

Arsanie cieszyli się z tój przeszkody, bo serca im się rozdzierały z żalu na myśl rozstania się z ukochanym plebanem. Ze łzami przedstawili mu teraz, że sam Bóg opiera się jego wyjazdowi, skoro takie przeciwności na drodze jego stawia, — z wdzięcznością wyliczali mu, wiele dobrego za jego rządów przybyło w parafii, wiele jeszcze do zrobienia dla chwały Bożej pozostaje; — błagali, aby ich nie opuszczał, że nikt tak ich do Boga nie zbliży, jak on, który serca ich całkiem pozyskał. Na odpowiedź księdza Vianney, że nie innego nie pragnie, tylko spełnić wolę Bożą, parafianie wysłali do Biskupa deputacyą, która wyjednana jego pozostanie w Ars.

Od tego czasu kapłan świątobliwy ściślej jeszcze połączył się ze swemi owieczkami, całym sercem dzieląc dołę i niedołę każdego z parafian. Ich cnoty stały się kwiatami jego wieńca chwały; ich dusze rolą jego do uprawy. Cały świat zamknął się odtąd dla niego w ciasnych granicach małej parafii: tu upływa całe jego tak bogate w zasługi życie. Jedyne odtąd cel jego: przysporzenie Bogu chwały i zbawienie tych dusz, jego pieczy powierzonych.

Ponieważ zbawienie dusz jest dziełem, w którym Bóg najwspaniałej i najpotężniej objawia moc doskonałości swoich, współpracownikiem przeto Chrystusowym, i niejako drugim Chrystusem się staje, kto nasamprzód w własnej, a potem w duszy bliźnich stara się udoskonalić to podobieństwo Boże, na jakie człowiek stworzon. Czemże są walki i trudy poniesione dla sławy wobec walk, trudów i zwycięstw Bogu poświęconych? Nie chodzi tu już o jednorazowe oddanie życia, o chwilowe narażenie go na niebezpieczeństwo przemijające: kapłan toczy bój nieustanny z nieśmiertelnym wrogiem, którego na chwilę cud tylko pokona, którego jedynie moc Boża zdoła ujarzmić i zwyciężyć.

Kto taki bój rozpocząć zechce, trza mu się wyniszczyć i zamrzeć sobie we wszystkim po wszystkie dni życia, aż do ostatniego tchnienia. Kapłaństwo już samo w sobie wyraża myśl ofiary; a pierwszą ofiarą, jaką kapłan złożył winien, jest ofiara z siebie samego. Pod tym tylko warunkiem jego służba Bogu przyniesie owoce. A jeśli go

Bóg skaże na próbę długiego życia, pochyli się nie tylko wiekiem, lecz i od twardej onęj pracy zamierania sobie, starga siły ciała, a nawet straci te uniesienia duszy z lat pierwszych pracy, które tyle powabu dodają trudom i poświęceniu. Ciężko wlec się będzie drogą zroszoną znojem młodości swojej, drogą, na której może ani jeden kwiat nie zakwitnął. Duszę jego zalegnie ona smętność, jaką się aż do śmierci smucił Boski Zbawiciel, którego nie widziano nigdy śmiejącego się, a który tylekroć płakał. Widząc ten lud swój, powracający ciągle do grzechów; rozpominając wszystkłą jego niewierność i niewdzięczność, i podłą słabość, grubą nieumiejętność a nawet zatwardziałość i przewrotność; lękając się w serdecznej też trwodze o to, że Krew Boskiego Zbawiciela napróżno dla wielu będzie wylana; smutne pochyli on czoło i we własnem sercu usłyszy odbrzmiewającą tę wieczną skargę Mistrza swego: Jeruzalem! Jeruzalem, które zabijasz proroki! Ilekroć chciałem zgromadzić syny twoje jak kokosz kurczęta swoje pod skrzydła zgromadza, a nie chciałość? <sup>1)</sup>)

Takim to powolnem a strasznem zamieraniem sobie jest życie kapłana Bożego. Na zwykły rozum wzięwszy, jest wcale niepojęte. I któż wytłómaczy, zkąd się zawsze biorą ludzie gotowi poświęcić się na tę walkę? ludzie tacy, których wewnętrzny pociąg nieraz już od dziecięctwa do niej porywał, którzy jęj z zamiłowaniem siły swe poświęcają? Jakaż to siła, co zwycięża w nich naturę? co w nich ucisza popędy serca nawet uprawnione? co im każe wyzuć się wszelkiej chęci używania ziemskich pociech, wyrzec się żądzy sławy i wyniesienia? O zaiste to wszystko jest dziełem i tryumfem łaski Bożej. „Gdybym ja był wiedział jaka to odpowiedzialność być proboszczem, — mawiał ks. Vianney, — byłbym do Trapistów uciekł!“ Nie uciekł przecież, choć po dwakroć miał pokusę usunąć się od pracy parafialnej. Bóg go powstrzymał, i utrzymał w tej pracy pasterzowania przez całe lat czterdzieści.

Po kilku latach jego pracy, Arsanie zmienili się do niepoznania. Ustały u nich tańce i karczemne zabawy

<sup>1)</sup> Mat. XXIII, 37.



i inne zgorzenia. Rzadkie tylko zdarzały się wypadki, świadczące o zaciętości i zaślepieniu. A te wielce trapiły biednego Proboszcza: swoim grzechom winę tej zatwardziałości cudzej przypisywał. Och! bo jego trawiła jedna żądza, żądza ożywiająca Świętych Bożych: pragnienie zbawienia dusz.

Jego świętość już w wielkich liniach zarysowała się w pierwszych latach jego powołania; lecz wyraz jęj był naówczas nieco ostry i surowy. Siła była jęj znamieniem naczelnem: to też twardy był dla siebie, lecz i surowy dla drugich. Z czasem łaska i doświadczenie, znajomość ułomności ludzkiej ścierają tę ostrość jego wrodzoną i łagodzą tak dalece, że ją nieomal całkiem już zakrywa słodycz nabyta a podyktowana uczuciem miłosierdzia. I cnoty mają swój rodowód, gdyż jedna z drugiej się rodzi: z energii i silnej woli ks. Vianney zrodziła się pokora, a za nią miłość, pobłażliwość, cierpliwość i słodycz. Powaga jego odtąd tem więcej nabywała przewagi, im mniej się narzucała siłą swoją.

Korzystał z każdej sposobności, by nakłonić parafian do zastanowienia się nad sobą, nieszczęścia winom ich przypisując, i wołanie Boże ukazując im w klęskach, jakie ich nawiedzały. Świadczy nam o tem list panny d'Ars nazajutrz po niepamiętanej burzy, jaka od razu zniszczyła całą żniw nadzieję.

„Święty Proboszcz powiedział nam dziś, abyśmy płakali nie nad stratami, lecz nad grzechami, które są ich przyczyną... Sprzątałiście, nie myśląc o Bogu, który wam dał te kłosy. I otóż Pan wam mówi: »Pokażę wam, że moje jest to żniwo, któreście zbierali, przepomniawszy o mnie. Ratujcie dusze wasze; spieszcie się, — bo wszystko zabiorę, bo wszystko zniszczę!«

Ks. Vianney często słuchaczom swym opowiadał o miłosierdziu i sprawiedliwości Boga; wszelkiemi sposobami chciał w nich obudzić bojaźń sądów Jego. Rozkrywał przed nimi straszliwe przepaści piekielne, ukazywał przerażające męczarnie grzeszników; to znów niewymowną piękność nieba i rozkosze wybranych opisywał z przedziwną wymową.

„Grzech, — mówił, — jest katem naprzeciw Bogu,



a mordercą dla duszy. On nas niebu wydziera, żeby nas strącić w piekło. A my szaleńcy kochamy grzechy swoje. Gdybyśmy się nad nimi dobrze zastanowili, obrzydzilibyśmy je sobie tyle, że nie byłibyśmy wcale zdolni ich spełniać.

„Ach! bracia moi, jakżeśmy niewdzięczni! Pan Bóg chce szczęścia naszego, prawo swe nadał nam na ten cel jedynie. To prawo Boże tak wielkie! Król Dawid rozkoszował się w niem, i widział w niem najdroższy skarb swój. Mawiał, że chadza przestronną drogą, bo we wszystkim szukał przykazania Pańskiego. Bóg chce zatem szczęścia naszego, ale my go nie chcemy! Odwracamy się od Niego, a oddajemy się szatanowi! Uciekamy od przyjaciela, a rzucamy się w objęcia kata!... Grzeszymy. grzeźniemy w blocku, a zagrzęźnawszy, wyjść zeń nie możemy. Gdyby to o majątek chodziło, toczyłbyśmy umieli wnet wybrnąć; ale że to tylko o duszę naszą chodzi, siedzimy spokojnie...

„Spowiadamy się, ale zajęci przedewszystkiem jesteśmy wstydem, jakiego przy tem doznamy. Oskarżamy się bez przejęcia, z pospiechem. Powiadają, że wiele ludzi się spowiada, a mało ich się nawraca. Bardzo temu wierzę, bo niewielu spowiada się ze łzami skruchy. Widzicie moi mili, całe nieszczęście w tem, że się niedość zastanawiamy nad sobą. Gdyby tak zapytać tych, co pracują w niedziele, lub młodej osoby, która duszę swą zgubi w tańcu, lub pijaka wychodzącego z karczmy: Coś teraz czynił? czy wiesz, że w tej samej chwili krzyżowałeś Pana Jezusa? zdziwiłby się, bo o tem zgoła nie pomyślał nigdy. Ach! niezawodnie zgrozą bylibyśmy przejęci, gdybyśmy się nad tem zastanawiali. Cóż nam to bowiem uczynił Bóg, że Go tak martwimy? cóż Boski Zbawiciel, który nas od piekła wybawił, że Go sobie sami, wedle słów Apostołów, na nowo krzyżujemy, katujemy grzechami swymi? Trzeba, żeby wszyscy grzesznicy, spieszący do swych grzesznych uciech, spotykali jak Piotr święty na swój drodze Pana Jezusa, któryby do nich przemówił: »Idę tam gdzie ty idziesz, żeby powtórnie dać się ukrzyżować.« — Możeby ich to przejęło.

„Święci pojmwali wielkość obrazy, jaką grzech za-

daje Bogu. Wielu z nich całe życie płakało nad swymi nieprawościami: święty Piotr, aż do śmierci oplakiwał zaprzaństwo swoje, a św. Bernard wołał: Panie mój! Panie! tom ja Cię do krzyża przybił.

„Nie jest to istne szaleństwo, żeby, mogąc zażywać już tu na ziemi niebiańskich rozkoszy przez złączenie się z Bogiem w miłości; pracować na piekło i łączyć się z szatanem?... Trudno pojąć taki nierozum, a zabrakłoby nam łez, żeby go należycie oplakać,

Mogłoby się zdawać, jakoby ci biedni grzesznicy nie chcieli czekać za wyrokiem skazującym ich na okropne towarzystwo ze złymi duchami, i jakoby sami na to się skazywali. Już tu na ziemi ma się przedsmak bądź nieba, bądź piekła, bądź czyścica: niebo mieści się w duszach doskonałych, złączonych z Chrystusem Panem; piekło w duszach niezbożników; czyściec w duszach nie wprost grzesznych, ale nieumartwionych, które nie zaparły się siebie, czego, jako powinności chrześcijańskiej Boski Zbawiciel od wszystkich żąda.

„Ten co w grzechu żyje, przybiera zwyczaj bydląt i staje się podobien bydlęciu bezrozumnemu, które we wszystkim idzie za swą chucią. I on nie rządzi się już rozumem, lecz pociągami, zachceniami swego cielska, tego trupa swego. Jedyna jego przyjemność: dobrze pić, dobrze zjeść, nasycać się próżnością tego świata, która z wiatrem ulata. Jakże mi żal tych biedaków, co za tym wiatrem gonią: zysk ich lichy, a tak drogo zań płacą; za nędzny dym tego świata oddają wieczność całą.

„Ciało nasze samo w sobie nosi zaród zepsucia; i nie jest nic więcej, jak śmierci i robactwa pastwą! A przecież jemu raczej staramy się dogodzić, a nie myślimy o tem, żeby ubogacić duszę swą, co tak wielka, że trudno nad nią większego coś sobie wyobrazić. Wszakżeż to Bóg w niezmierzonej miłości swojej nie stworzył nas na podobę zwierząt; stworzył nas na swój obraz i na swoje podobieństwo. O! jakaż to wielkość człowieka!

„Człowiek stworzony z miłości, żyć nie może bez miłości: albo kocha Boga, albo siebie i świat kocha. Wiedzicie bracia moi, brak nam wiary.... Kto wiary nie ma jest ślepy. Kto nie widzi, nie zna, a kto nie zna ten nie

kocha; kto zaś Boga nie kocha, kocha siebie i swoją dogodność. Ten przywiązuje serce swe do rzeczy jak dym przemijających. Nie może poznać prawdy, ani istotnego dobra, poznać może chyba kłamstwo, nie mając światła prawdy, chodząc w cieniach błędu. Gdyby miał światło, poznalby, że wszystko to, co on kocha, prowadzi do śmierci wiecznej: to jest przedsmak piekła.

„Prócz Boga, bracia moi, niema nic stałego, nic a nic! Patrzcie, życie mija! mienie się traci, zdrowie się psuje, dobre imię szarpią. Wszystko jak wichur, leci, pędzi gdzieś dalej a dalej, aż zginie do szczytu, zaprzepaści się. O mój dobry Bcze! jakże pożałowania godni ci, co się przywiązują do tych wszystkich rzeczy znikomych! Przywiązują się do nich, bo siebie do zbytku kochają; ale kochają siebie nieporządnie i nierozumnie. Bo kochając siebie i rzeczy stworzone więcej, niż Boga, nigdy nie mają pokoju, nigdy niezadowoleni, a zawsze wzburzeni, i goryczy pełni.

„A patrzcież, bracia moi, na dobrego chrześcianina. On przebywa drogę tego świata na wspaniałym wozie tryumfalnym, którym sam Chrystus Pan kieruje. — Tymczasem grzesznik wprzężony do żałobnego wozu, którym czart powozi, doskonale grzesznika smagając, aby szedł dalej.“

„Bracia drodzy, — mówił inną razą, — w tych trzech aktach wiary, nadziei i miłości, mieści się całe szczęście człowieka na tym świecie. Przez wiarę spodziewamy się wszystkich obietnic Bożych; wierzymy, że Go kiedyś ujrzemy, że Go posiadziemy, że z Nim na wieki cieszyć się będziemy w niebie. Przez nadzieję oczekujemy skutku Jego obietnic: spodziewamy się nagrody za wszystkie dobre nasze uczynki, dobre myśli i dobre pragnienia. Bo Bóg liczy nawet dobre pragnienia. I cóż nam więcej do szczęścia potrzeba?

„W niebie nie będzie już ani wiary, ani nadziei; bo rozproszą się te mgły, które nam dziś umysł zaciemniają. Rozum nasz będzie pojmował rzeczy, które tu mu są zakryte. Nie będziemy się potrzebowali niczego spodziewać, skoro wszystko posiadać będziemy.... Ale miłość! tą upojeni będziemy! zatoniemy w tym bezdennym oceanie Bożej miłości, rozplyniemy się w bezmierną miłość Serca

Jezusowego. „Ach! bracia moi, miłość przedsmakiem nieba! Gdybyśmy ją umieli zrozumieć, odczuć, rozradować się nią, jakżeż bylibyśmy szczęśliwi! Dla tego są ludzie nieszczęśliwi, że Boga nie kochają.

„Gdy mówimy: Panie mój, wierzę! wierzę mocno, czyli bez żadnej wątpliwości, bez wahania, czyż przenikamy na wskroś znaczenie tych wyrazów? — Wierzę mocno, żeś Panie i Boże mój, wszędzie obecny, że mnie widzisz, żeś wszędzie pod Twojem opatrzniem okiem, że kiedyś i ja Ciebie w jasności chwały oglądać będę, i zażywać będę rozkosze, jakieś mi obiecał!.. O mój Boże, ufam, że wynagrodzisz wszystko, cokolwiek uczynię z miłości ku Tobie. O mój Boże, kocham Cię, boś mi dał serce do kochania Ciebie!...

„Jakżeby nam taki akt wiary, będący zarazem miłości aktem, starczył za wszystko.

„Gdybyśmy pojmovali, jakie szczęście w tem, żeśmy zdolni kochać Boga, trwalibyśmy w zachwycie nieporuszeni.

„Gdyby jaki książę lub cesarz przywołał przed siebie poddanego i powiedział mu: »chcę cię uczynić szczęśliwym, zostań zemną, używaj mienia mojego; ale staraj się usilnie, żebyś nie robił nic takiego, co mi się niepodoba: z jakążże skwapliwością ów poddany starałby się we wszystkim zadowolić pana swojego! Aliści w taki to sposób Bóg nas uprzedza, a my o Jego przyjaźń nie dbamy; nie sobie nie ważymy obietnic Jego.“

Długi czas ks. Vianney pisywał kazania; a praca ta była najcięższą dla niego pokutą; bo, jak sam wyznawał, ułożenie ich przychodziło mu bardzo trudno. Układał je od razu, do siedmiu godzin w nocy trawiąc nad jednym, zamknięty w zakrystyi. Był zdania, że ksiądz, chcący być apostołem, w pocie czoła winien sposobić chleb nauki dla wiernych, aby zasługa usilnej jego pracy ściągnęła na posłannictwo jego błogosławieństwo Boże.

Gdy parafianie nie wzrastali w miłości Bożej wedle jego gorących pragnień, swojemu nieuctwu i grzechom swoim ich opieszalność przypisywał, i często udawał się o pomoc do innych księży sąsiednich. Rad miewał u siebie do pomocy jakiego księdza, którego, w swój pokorze, uwa-

żał za lepszego i rozumniejszego od siebie. Tym sposobem wielu okolicznych proboszczów przewodniczyło pobożnym ćwiczeniom w Ars; a owocem ich były nierzadkie nawrócenie grzeszników, a utwierdzenie dobrych w pobożności i w postępie ku doskonałości.

Katarzyna Lassagne w taki sposób w notatkach swoich wspomina o tych ćwiczeniach: „Zdaje mi się, że nikt pojąc nie zdoła, ile łask otrzymał ks. Proboszcz przez swe modły, a mianowicie przez Ofiarę Mszy św., którą przez cały tydzień w czasie jubileuszu odprawiał za zbawienie swych parafian. Tak się wówczas odnowiły serca, że nieomal wszystko zaczęło usilnie pracować nad pozbyciem się grzechów swoich. Wzgląd ludzki zmienił się na opak: zaczęto się aż wstydzić niedbalstwa w praktykach religijnych. Powaga i skupienie u wszystkich, widne u wszystkich dobre usposobienie. Choć ks. Proboszcz sprowadził obcego księdza do pomocy, prawie wszyscy spowiadali się przed własnym pasterzem. Ks. Proboszcz mógł w kazaniu powiedzianem na zakończenie ćwiczeń słusznie się wyrazić, wynurzając serdeczną swą radość: „O bracia moi, Ars już nie jest dawnem Ars. Od lat wielu takiej ono odmiany u siebie nie widziało, jak teraz. Byłem ci ja na wielu misjach i na wielu jubileuszach, a nie widziałem nigdzie tak dobrego usposobienia, jak tutaj.“ Prawdąć, dodaje Katarzyna, ostygło z czasem ono gorące uczucie gorliwości, ale sprawa Boga tu u nas zawsze góraż; i broń Boże, żeby tu kto u nas ośmielił się natrzęsać z religii i jej wyznawców.“

Głos wewnętrzny parł Świętego naszego do prac apostołskich: wszędzie i wszystkim dobrze czyniąc, pragnął pracować nie tylko na chwałę Bożą, lecz na większą chwałę Boga. Gdy tedy który z sąsiednich proboszczów zachorzał, z skwapliwością go zastępował; także zarządzał osieroconemi chwilowo parafiami.

Jeden z jego sąsiadów, ks. Ducreux, sędziwy i zacny starzec ośmdziesięcioletni, otoczył się młodymi chłopcami, których kształcił w śpiewie i obrzędach kościelnych, równocześnie udzielając im początków nauk chrześcijańskich. Ks. Vianney, odwiedzający go często dla pomocy w parafialnych posługach, stał się przedmiotem ciekawego bada-

nia dla młodych uczniów ks. Ducreux. Za niepospolitego uważając go człowieka, raczej za Świętego, ciekawi byli, jak Święty mówi, jak się porusza, jaki jest w obcowaniu. Jeden z nich opowiadał nam później, że prócz jego twarzy wyniszczonęj postem i umartwieniami, zdumiewała ich jego wstrzemięźliwość w używaniu pokarmów. Z wyjątkiem kawy, nie nigdy przyjąć nie chciał u ks. Ducreux.

Często powoływano go do chorych wśród nocy: spieszył do nich zawsze nie oglądając się na nic, na złe powietrze. Razu jednego tak był cierpiący, że pojechawszy do chorego, sam położyć się musiał do łóżka, i tak wyspowiadał umierającego.

Z rokiem 1823 nowe pole pracy otworzyło się dla czynnego i apostołskiego ducha ks. Vianney. Wezwano go do udziału w misyi, jaka się z niewypowiedzianą korzyścią dla dusz odbywała w Trévoux przez kilka tygodni. Gorliwy apostoł, nieszczędzący nigdy swych sił, gdy chodziło o chwałę Bożą i dobro dusz bliźnich, ruszał co tydzień pieszo do Trévoux pomimo zimowej pory; wieczorem w sobotę wracał do swojej parafii, by tu całą noc słuchać spowiedzi.

Zebrani księży żartowali niekiedy z jego ubrania, i raz nawet złożyli składkę, żeby sprawić mu najpotrzebniejsze rzeczy. Ksiądz Vianney przyjął je dobrotliwie; lecz nie doszedł jeszcze do Ars, a już za przykładem św. Marcina, zdjawszy z siebie, oddał je zziębłemu żebrakowi. Gdy następnie koledzy zapytali o darowane rzeczy, ze śmiechem odpowiedział im: Pożyczyłem ich na wieczne oddanie jakiemuś biedakowi.“

Następnęj niedzieli, gdy znów szedł do Trévoux na misyą, spotkał na spadzistej i ślizgiej drodze pochylonego wiekiem staruszka; bierze go pod ramię, podpierając drżące kroki jego; na barki swe wzięwszy nadto biesagi żebraka, które tuż pod miastem oddaje, żeby go kto na tym dobrym uczynku nie zdybał.

Powiadają, że w czasie tęg misyi takie tłumy cisnęły się dokoła jego konfesyonału, że razu jednego przewrócili go. Nie sam bowiem lud powziął do niego takie zaufanie; lecz i z wszystkich stanów, a nawet urzędnicy udawali się do niego z wielkiem zaufaniem. Podprefekt wy-



nosił jego poglądy, jego dar rady i łagodnej stanowczości w kierownictwie dusz; markotno mu trochę było, że potępiał bale i wieczorki w jego domu wyprawiane; ale „zresztą ma słuszość, — dodawał, — posłucham go.“

Ksiądz Vianney zawsze pierwszy przychodził do kościoła i ostatni wychodził z niego. Nieraz do północy i później konfesyonał jego otoczony był penitentami: przymocą musiano go zeń wyprowadzać, nieraz tak znużonego, że bez pomocy byłby upadł na ziemię. Pomimo to poposilku jeszcze przyjąć nie chciał: trzeba go było nękać do tego.

Cudowne owoce misyi w Trévoux rozniosły sławę Proboszcza z Ars; od tego czasu wszyscy księża zapraszali go do swoich parafii. W czasie jubileuszu roku 1826, wzywano go na misye do kilku miejsc. W Saint-Bernard on prawie sam przewodniczył ćwiczeniom, i od razu niemal zmienił mieszkańców wioski. Na pierwszy odgłos dzwonu, porzucali oni prace w polu i spieszyli słuchać słuchać Proboszcza z Ars.

Ksiądz Vianney pracując nieustannie dla dobra dusz, swojej własnej nie zaniedbywał. Uświęcał sam siebie, aby być tem więcej zdolnym uświęcać innych. Nie zapominał o owem wytechnieniu w modlitwie, jakie Chrystus Pan zalecał swym uczniom. Jak wszyscy mężowie apostołscy i on czynił ofiarę z pociech modlitwy, gdy było potrzeba dla bliźnich; a jak tylko mógł, znowu wracał do swych pobożnych ćwiczeń osobistych. Modlił się onem ciąglem wznośzeniem myśli i serca do Boga, przez które dusza podnosi się do nieba, jak płomień z ogniska swego wybucha. Wiele czasu poświęcał rozmyślaniu, nadto czytaniu żywotów Świętych, co ulubionem było jego zajęciem, i nawiedzeniom Najśw. Sakramentu. Nawiedzenia te nie były przelotne, pospieszne: godzinami klęczał pokornie pochyłony u stóp Chrystusa miłością w naszych ołtarzach uwięzionego. Praca była dlań dalszym ciągiem modlitwy: bo gdy nie mówił do Boga, mówił o Bogu; kochał Go, albo innych uczył Go kochać.

Parafia jego nigdy nie poniosła uszczerbku z powodu jego udziału w misyach; bo o tyle podejmował się pracy gdzieindziej, o ile mógł je pogodzić z własnymi obowią-



zkami pasterza. Podobnie jak pszczołka, co lata z kwiatu na kwiat, znosząc miód do ula własnego, i on miód łask i błogosławieństw apostołstwem zyskanych, swojej trzódce przynosił.

Wyjawszy konieczną potrzebę, nigdy po za domem nocy nie spędzał. Nikt nie pamięta, aby kiedykolwiek wyszedł dla własnej przyjemności. Świadczy nam o tem list, w którym ks. Vianney odpisuje lyońskiemu misyonarzowi księdzu Ballet, co go zapraszał na misyą do Villefranche :

Ars, 1 stycznia 1826.

Czcigodny Księżu Dobrodzieju !

Pozwól mi łaskawie wyrazić zdziwienie moje, że posuwasz dobroć Swą aż do ośmielania mnie, abym Ci, Księżu Dobrodzieju złożył najniższe me uszanowanie. Dwie rzeczy nie pozwoliły mi korzystać z tego szczęścia. Pierwszą z nich, że Ksiądz Dobrodziej, nie każąc na wieczór, zaledwie tę jedną chwilę wypoczynku miałeś: byłbym się bał obrazić Boga, gdybym był Ci wtedy przeszkodził. Drugą przyczyną, że czułem się prawie niegodzien znajdować się w tak szanownem towarzystwie. Otrzymawszy list Księdza Dobrodzieja, cieszyłem się naprzód miłą nadzieją przyłączenia się do innych za Twojem pozwoleniem we wtorek na uroczystości poświęcenia krzyża; lecz moi chorzy wyjechać mi nie dozwolili. Niech Bóg będzie we wszystkim pochwalony.

Skoroś szanowny Ks. Dobr. tak dobrotliwy i miłościw, że raczyłeś o mnie pomyśleć, pozwól, że Ci złożę życzenia świętego i długiego życia, abyś miał szczęście wiele dusz przywieść do Boga. Pozwól mi łaskawie wyrazić tu dla czcigodnego i najszanowniejszego Twego przełożonego uczucia szacunku i wdzięczności, na jakie się tylko serce moje zdobyć zdolne. Gdyby to nie było zbyt wielką śmiałością, prosiłbym Księdza Dobrodzieja, żebyś oświadczył księżom z Villefranche, aby raczyli w miłości chrześcijańskiej przyjąć najniższy wyraz uszanowania. — Ks. Chevallon wiele dobrego zrobił w mojej parafii. Wielu zastarzałych grzeszników nawróciło się do Boga. Choć mi bardzo miło pisać do Księdza Dobrodzieja kończę z obawy znudzenia Cię.

Ksiądz Vianney.

Mowa Świętych ma odrębne znamie: widoczne to piętno i w powyższym liście.

Święty nasz Proboszcz wszędzie roztaczał onę woń świętości. Jeden z sędziwych i wielce zasłużonych kapłanów zaświadczył to wkrótce po jego śmierci tem pisaniem: „Było to w r. 1820, a ja miałem lat dziesięć. W obszernym dziedzińcu szkólnym, ustawiono nas w szyki, w jakich mieliśmy na procesyi Bożego Ciała rzucać kwiaty przed Najświętszym Sakramentem, gdy spostrzegłem księdza bardzo skromnego, ubogiego i pokornego. Jeden z moich towarzyszków, pokazując mi go, szepnął: „To Święty, to Proboszcz z Ars, żyje tylko perkami.“ Przypatrywałem mu się zdumiony. Ktoś go zaczepił; zagadniony odpowiedział uprzejmie; a odwracając się do nas, rzekł: „Moje dzieci, gdy będziecie rzucać kwiaty przed Najś. Sakramentem, ukryjcie serca wasze pomiędzy róże i wraz z niemi rzucajcie je Panu Jezusowi.“ — Potem, nie wstępując do nikogo, minął dziedziniec i udał się wprost do kaplicy, aby tam nasamprzód oddać pokłon Panu w Najśw. Sakramencie. Wszystko zatarło mi się w pamięci: imiona moich towarzyszków z owego czasu i wszystko com wtedy widział i słyszał; tylko słowa tego kapłana, jego nawiedzenie Najś. Sakramentu i to, co mi o nim rówiennik mój powiedział, na zawsze się w niej wryły. Głównie zastanawiało mnie to, że on samą perką żyje. Domyślałem się w tem jakięś wyższości cudownej i zapewne to przekonanie wywarło na mnie wrażenie tak silne.

W dziesięć lat później, skutkiem zbiegu okoliczności, których opis świadczyłby o miłosierdziu Bożem nad duszą moją, byłem w seminaryum duchownem. Przyszedł mi znów na pamięć wtedy ten ksiądz umartwiony a tak przejęty nabożeństwem do Najś. Sakramentu. Przez ten lat dziesiątek już sława jego rozszerzyła się bardzo, jakkolwiek nie do tych rozmiarów jak w ostatnich piętnastu latach jego życia; wszelako dziwny ruch go otaczał. Ze wszech stron przybiegali doń sprawiedliwi, aby się nim budować; grzesznicy, aby u stóp konfesyonału służy Bożego złożyć ciężar nieprawości i zgryzoty swojej. Trudno wyrazić, jakim uwielbieniem przejmowało jego umartwienie. Nikt pojąć nie mógł, jak się wyżywił tak małą ilością pożywienia.“

## ROZDZIAŁ VIII.

### O skromnych początkach Ochronki w Ars i o cudownej pomocy, jaką Bóg zsyłał na jej utrzymanie.

A który dodaje nasienia siejącemu; doda też chleba ku jedzeniu i rozmnoży zasiewki wasze, i przysporzy przynnożenie urodzajów sprawiedliwości waszej. Abyście na wszystkim ubogaceni, obfitowali ku wszelakiej prostości, która przez nas sprawuje dzięki Bogu

(*I Do Korynt. IX, 10, 11*).

„Potem poznają was, że uczniami moimi jesteście, — są słowa Zbawiciela, — jeśli się wzajem miłować będziecie jak ja was umiłowałem.“ (Św. Jan XIII, 35). Apostoł miłości Jan św., podając nam „nowe to prawo Pańskie“, prawo miłości, wielokroć nam w listach swoich o nim mówi: „Najmilsi, miłujmy jedni drugich, gdyż miłość jest z Boga. I każdy, co miłuje, z Boga jest urodzony i zna Boga. Kto nie miłuje, nie zna Boga. Gdyż Bóg jest miłość. W tem się okazała miłość Boża w nas, iż Syna jednorodzonego przysłał na świat, abyśmy żyli przezeń.“ (List św. Jana IV, 7—9).

Jedyną chwałą, do jakiej ks. Vianney dążył, to, aby się stać podobnym do Tego, o którym powiedziano, że „przeszedł, czyniąc dobrze.“ Zapatrując się w bozki wzór swój, rósł coraz więcej w miłości Boga, a równocześnie czuł się porwany ku miłości bliźniego, bliźniego ukrzyżowanego, obnażonego, cierpiącego w ubogich, słabych i maluczkich. Bo i jakżeby nie miał kochać ten, którego serce tak żywo biło do wszystkiego, co wielkie i dobre? Dotychczas widzieliśmy, jak pałał żądzą wykonywania dzieł miłości Bożej. Miłość Boża jest pierwszą z miłości; ale ona za wielka, za wspaniała, żeby się mogła sama w sobie

ostać, żeby się nie miała wylewać i na bliźnich. Św. Jan w jednym z swych listów pisze: „Kto Boga miłuje, ten miłuje i bliźniego, a ktoby mówił, że miłuje Boga a brataby swego nie miłował, ten kłamcą jest. Bo jeśli nie miłuje brata swego, którego widzi, jakże może miłować Boga, którego nie widzi?“ Nasze „obcowanie ma być w niebiesiech“: a jest ono pełne pociechy; aliści wtedy szczególnież dusza czuje tę rozkosz, gdy wiele dobrego wyświadcza bliźnim. Wtedy pobożność cnotą podsycana, silniej się żarzy; wtedy dobry uczynek stawa niejako pomiędzy niebem a człowiekiem, jakoby magnesem, ściągając nań coraz nowe łaski. Żyje podług zakonu bożego sprawiedliwości i prawdy, kto oddaje duszę, serce, umysł i wszystkie swe siły na to, by ludzi przywieść do poprawy życia i szczęścia rzetelnego. I sercu Proboszcza z Ars potrzeba było dobrych uczynków na wielkie rozmiary. O tem marzył od pierwszej chwili objęcia parafii: widząc wkoło siebie tyle nędzy, byłby wszystkim chciał przynieść ulgę, a przynajmniej najgwałtowniejszym potrzebom zaradzić. Nasamprzód pomyślał o ochronie dla sierót, zamierzając tym sposobem żeby wziąć w opiekę młode dzieci, opuszczone i narażone na niebezpieczeństwo.

Jak wszystkie dzieła Boże, tak i to poczęło się ubogo. Za kościołem stał nowy dość schludny domek. „Gdyby on do mnie należał, — mawiał ks. Vianney, — urządziłbym w nim przytułek dla biednych, zaniedbanych dziewcząt. Z kościoła miałbym blisko do mojej dziatwy; tubym ją uczył, tubym się wreszcie stołował. Ochrona dawałaby mi chleb powszedni, jabym za to dawał słowo prawdy, pokarm dla duszy. Jakby to było pięknie.“

Choć mu ta myśl od dawna krążyła po głowie, zanim przystąpił do jakichkolwiek układów z właścicielem domu, radził się w modlitwie Pana, co czynić, i zalecił w parafii nowenny do Najśw. Panny, przeświadczon, że przyjdzie mu w pomoc Ta, która „Wspomożeniem jest wiernych“, a która mianowicie ubogimi się opiekuje jako umiłowańszymi Syna swego.

Skutkiem swęj dobroczynności wydawał codziennie do ostatniego szeląga, co tylko miał przy sobie; a nawet już naprzód wydawał wszystko, co pobierał na utrzymanie własne.

Na założenie Ochrony dochody jego zatem nie wystarczały: postanowił tedy cały swój majątek na ten cel obrócić i wziął z ojcowizny swój około dwudziestu tysięcy franków, sumę właśnie potrzebną na zapłacenie domu, ale na dalsze koszta już mu zbrakło pieniędzy, tak że nie miał nawet czem zapłacić za kontrakt kupna.

Wahał się komu powierzyć Ochronę swą, którą nazywał „Opatrznością“, czy Siostrom św. Józefa, czy św. Karola, dla których przechowywał serdeczną wdzięczność za przysposobienie go do pierwszój Komunii św. W końcu jednak umyślił powierzyć kierunek tego dzieła dwom swoim parafiankom, Benedykeie Lardet i Katarzynie Lassagne. Obie odznaczały się wielkim rozsądkiem, i wypróbowaną enotą. Na dokończenie wykształcenia wysłał je na rok do klasztoru, poczem pod swoją wziął je opiekę, a nie wiążąc ich wcale ślubami zakonnymi, ćwiczył je w zakonnem ubóstwie, posłuszeństwie, w pokorze, prostocie i zdaniu się zupełnem na Opatrzność Bożką. Ćwiczył je zatem w najwyższój doskonałości zakonněj; a pomimo, że chciał je mieć zakonnicami w duchu, nie kazał im przywdziewać sukni Oblubienic Chrystusowych.

Po niejakim czasie uznał je już za zdolne do swego dzieła. Nic rzewniejszego i prostszego nad to, jak się to dzieło rozpoczęło: ręka Boża tak tu widoczna, że we wszystkim przejawia się jēj działanie wbrew mądrości ludzkiej, w poniżeniu i pokorze. Katarzyna Lassagne najdokładniej to sama opisuje.

„Gdy dwie założycielki objęły dom, zastały całego zapasu żywności garnek masła i kilka zeschłych serów, które dobroczynna ręka tam złożyła. Przyniosły z sobą łóżka, bieliznę i najkonieczniejsze potrzeby; ale w pierwszy dzień nawet chleba nie miały. Uprzątnąwszy izbę domu, nie poszły do rodzin swych na obiad; powiedziały sobie: „Zostańmy, może Opatrzność o nas zaradzi“. Jakoż wkrótce matki obu założycielek przysłały im obiad; a nazajutrz upieczono chleba.“

W kilka dni potem dwie inne niewiasty przyłączyły się do pierwszych, i podjęły się grubej i ciężkiej roboty domowej: a tak do „głowy i serca“, jak ks. Vianney nazywał pierwsze swe ochroniarki, przyłączyło się „ramię“

silne a ochocze do posługi P. Jezusowi w osobie ubogich dzieci. Zaczął od tego ks. Vianney, że otworzył bezpłatną szkółkę dla ubogich i opuszczonych dziewcząt. Przyjmował ich tyle, ile ściany skromnego przytuliska pomieścić ich mogły; sam własnym kosztem żywił wiele z tych sierót, licząc zawsze na pomoc Bożą. Jakoż nigdy mu jęj nie zbrakło: kilka osób dobroczynnych żywy wzięło udział w jego staraniach, wedle sił mu dopomagając. Im więcej zaś przybywało środków, tem więcej przyjmowano dzieci; im więcej było powodzenia, tem goręcej pragniono rozszerzyć dzieło. Ktoś powiedział, że jest w miłości chrześcijańskiej siła rozrostu. Miłość bliźniego jest ziarnem; modlitwa rosą ożywiającą to ziarno: dobroczynność zjednoczona z modlitwą udzielają sobie wzajem żywotnych soków, coraz to obfitszych. Dobroczynność wpada na pomysły, modlitwa wyjednywa sposoby do wykonania; dobroczynność staje się coraz to zabieglawsza; modlitwa coraz to gorętsza widzi otwierające się źródła cudowne dochodów. Takie były i dzieje Ochronki w Ars. Zaledwo otworzona, już się powiększyć musiała. Uszczęśliwiony Proboszcz stał się wtedy budowniczym, malarzem i cieślą. Sam znosił budulec nie szcędząc się wcale; a przerywał tę ciężką pracę wtedy dopiero, kiedy potrzeba mu było pójść do konfesyonału.

W krótkim czasie, za pomocą kilku osób miłosiernych, za błogosławieństwem Bożem a opieką świętych rozszerzono przytułek na sześćdziesiąt dziewcząt, które znalazły nie tylko pomieszczenie i pożywienie, ale które, wyrwane z otchłani zgorszenia i niebezpieczeństwa, dostały się pod czulą opiekę w ustron, gdzie panuje sama miłość Chrystusowa. Każdą nową sierotę przyjmowano tu z największą miłością i upragnieniem, żeby ją pokierować ku dobremu, tak jak zwykło miłosierdzie chrześcijańskie przyjmować ubogich. W oczach świętego założyciela były to nietylko dzieci nieszczęśliwe, godne najwyższej litości: on w każdej z nich widział samego Zbawiciela, który w osobie tych dzieciętek przyjmuje dobrodziejstwa świadczone.

Ochrona Proboszcza z Ars stała się odtąd wzorem dla innych zakładów, jakie w krótkim czasie rozpowszechniły się po całej Francyi. Tak to Bóg zawsze dziełom swoim daje bardzo skromne początki, jak gdyby chciał po-



kazać: że wszech twórczą potęgą swoją najchętniej błogosławi tym, którzy doskonalej na Niego się zdając, ani na siebie, ani na rzeczy stworzone zgoła nie liczą. Prawdziwie wielkich i pożytecznych rzeczy na świecie dopatrzysz się jedynie, gdziekolwiek podjęto je z ufnością w Boga i w duchu iście ewangelicznym. Wielkie rzeczy są proste. Chrystus Pan powiedział, że: „Królestwo niebieskie podobne jest ziarnku gorczycznemu.“ Najmniejsze to z ziarenek, a gdy mu Bóg pobłogosławić raczy, w duże drzewo wyrasta. Szanujmy zatem ono gorczyczne ziarnko, gdziebądź je tu spotkamy, bo to królestwo Boże na ziemi, bo w nim mądrość, w nim potęga Boża spowite w nasieniu nieśmiertelnem.

Taki był początek ochrony w Ars: tak zaczynają się wszystkie dzieła Boże pokornie i ubożuchno: zdawałoby się, że to warunkiem ich istnienia i trwałości. Aliści jednego zasobu nigdy im nie brak: są nim ubodzy. Oni istotnem są bogactwem; bo tuż za nimi z pewnością Bóg wysłała zasoby na utrzymanie, jak gdyby rzeczywiście Opatrzność widomie towarzyszyła krokom nędzarza, przyjętego w dom w imię Jezusowe. Proboszcz z Ars nie posiadając nic, wydawał corocznie przez ówierć wieku do siedmiu tysięcy franków, i zawsze Opatrzność dostarczała mu pieniędzy.

Przychodziły też dlań czasy ciężkie, w których zdawało się, że szafarz niebieski umyka mu hojnej dłoni swojej. Aliści godzina ostatecznej biedy stawała się zawsze godziną zbawienia. „Bóg, — powiada Bossuet, — gdy chce okazać, że dzieło jakie jest jego dziełem, strąca wszystko w niemoc i zwątpienie: potem działa.“ Po dwa razy działanie Boże tak było tu jawne i doraźne, wpośród okoliczności tak przedziwnych i niewytłomaczonych, że niepodobna było nie uznać w nich cudu.

Razu jednego mąki w domu przybrało, nie było chleba na jutro, a przeszło ośmdziesiąt osób do niego zasiąść miało. Przełożone radzą tedy między sobą, co zrobić, zaledwo dwie kwarty mąki mając na tyle ludzi. Jedna z niewiast idzie po radę do Księdza Proboszcza. „Zacznij te dwie kwarty mąki, — odpowiada jęj tenże, — nakryj dzieżą i jutro zabierz się do robienia chleba, jakby nigdy



nic.“ Nazajutrz w dzieży urosło pod ręką jednej z ochroniarek ciasta tyle, że upieczono z niego dziesięć bochnów chleba po dwadzieścia przeszło funtów każdy. Pan, który rozmnożył chleby na pustyni, obiecał wszakżeż, że ci, co weń wierzą, te same cuda i większe jeszcze czynić będą.“

Inną razą nie było w domu ani mąki, ani zboża, ani pieniędzy... Wtedy już się biednemu Proboszczowi zdawało, że go Bóg opuścił: z wezbranem boleścią sercem wynurzał się przed przełożoną, że będą musieli wydalić z przytułku biedne sieroty. Ale nimby do tego przyszło, chciał się przekonać sam, czy na poddaszu rzeczywiście nie zboża nie znajdzie. Szedł powoli z uczuciem to nadziei, to obawy; drżącą ręką otworzył drzwi swego śpichlerza, i o cudo! cóż widzi? śpichlerz pełen zboża! Uradowany Proboszcz biegnie do swych sierót, opowiada im cudowne zdarzenie, dodając: „Widzicie, jam nie ufał Opatrzności, chciałem już was w świat puścić, moje biedne dzieci... Jak mnie to Pan Bóg zawstydził.“ To była jego zwyczajna uwaga, widoczne miłosierdzie Boże nad sobą miał za miłościwą karę na siebie za brak ufności.

Latwo sobie wystawić jak szybko wieść o cudownym wypadku rozniosła się po całej wiosce i jej okolicy; jak ciekawi byli ludzie oglądać ono zboże. Proboszcz z Ars często cud ten przypominał, przypisując go przyczynie św. Franciszka Regiusza, którego obrał za patrona swęj Ochronki i którego relikwie umieścił na śpichlerzu.

Gdy w kilka lat później, Biskup, wizytujący Ars, chciał wybadać ks. Vianney o tym cudzie, poszedł z nim na śpichlerz, i pokazując mu pewną wysokość na ścianie zapytał z nagłą: „Czy dotąd dochodziło to zboże?“ — »O nie, wyżéj« — z prostotą odparł zagadniony, znacząc ręką miejsce, do którego sięgało.

I w obec nas nieraz opowiadał w ten sposób: „Razu jednego, gdy już nic nie miałem na wyżywienie mych sierót, przyszło mi do głowy ukryć relikwie św. Franciszka Regiusza w resztki zboża. Nazajutrz byliśmy bardzo bogaci.“

Nie koniec podobnym cudom, raz wino w piwnicy się pomnożyło, inną razą pomnożyło się pieczywo, które hojną ręką rozdzielał sam Proboszcz swoim sierotom, to znów

o pieniądze Boga prosił na spłacenie wierzyciela. Prosił bardzo zakłopotany, za przyczyną Matki miłosierdzia i Matki ubogich. Zaledwo skończył modlitwę, alisci zbliża się do niego jakaś niewiasta, zapytując: „Czy to Proboszcz z Ars?“ — »A tak, czego to żądacie?« — Nic, przynoszę pieniądze, które mi Księdzu Proboszczowi oddać poruczono. — »Czy na Msze św.?« — Nie, darodawca poleca się tylko modlitwom Ks. Proboszcza.“ Wysypawszy w jego dłonie woreczek pieniędzy, poszła sobie dalej, nie nie mówiąc, kim jest i od kogo przychodzi.

Nie skończylibyśmy opowiadać, gdybyśmy wyliczać mieli wszystkie dowody miłosierdzia, jakimi Bóg obdarzał sługę, który się dla Niego i Jego ubogich ze wszystkiego wyzuwał. Ks. Vianney mimo swęj pokory musiał często wyznawać, że w Ars wszystko cudowne. A wtedy dodawał: „Prawda, jesteśmy pieśczochemi Pana Boga.“

Niepojętą rzeczą, jak szczupłe dochody wystarczały na tak wielkie potrzeby nietylko domu, ale wszystkich biednych, którzy się do świętego Proboszcza udawali. Jałmużny swęj nigdy on nie mierzył miarą możności swojej, lecz hojnie kazał im brać tyle, ile się w sakwę żebraczy zmieściło. I nigdy mu do tęj jałmużny nie zbrakło zasobów. Lecz będziemy się temu dziwili? wszakże Wielki jest Bóg, któremu służymy: może tedy małymi sposoby wielkie sprawić rzeczy; a zwykł pomagać tym, którzy co-bądź robią, robią dla Niego. Wyposaża nawet cudownym darem mnożenia tych, co działają w doskonałej intencji miłości Chrystusowej. Niedosyć temu Panu wspierać ich w sposób naturalny; nawet cudami im dopomaga. Pieniądze płynęły do szkatuły Opatrzności Arsańskiej w sposób tajemniczy, nieodgadniony. Ks. Vianney znajdował nieraz w kasie pieniądze, o których był pewien, że ich sam nie złożył. „Gdy myślę o tęj troskliwości Boga nademną, — mawiał, — gdy liczę wszystkie dowody Jego dobroci, miłosierdzia, tedy wdzięczność i radość tak przepełniają me serce, że sam niewiem, co się zemną dzieje... Ze wszech stron widzę przepaść miłości, w którą radbym się rzucić, by w niej zatonać... Mianowicie dwa razy w życiu tego doznałem. Gdym się uczył, wielkie miałem zmartwienie: (odnosił to zapewne do trudności, jakie miał

w naukach) sam nie wiedziałem co robić... Mam w oczach to miejsce... przechodziłem właśnie obok domu matki Bibot, i usłyszałem wyraźnie, jak gdyby mi kto był szepnął do ucha: Bądź spokojny, zostaniesz księdzem. Inną znów razą, gdym był bardzo pogiębion niepokojem i kłopotem, usłyszałem wyraźnie ten sam głos: Czegoś brakło ci do tego czasu? I w rzeczy saméj, na wszystko mi zawsze starczyło... Uważam, że ci, co mają dochody, skarżą się nieustannie, zawsze im czegoś jeszcze potrzeba. Ale ci co nic nie mają, zawsze bogaci... O! dobrze oddać się Boskiej Opatrzności na zawsze, we wszystkim i bez zastrzeżeń... Te nasze zastrzeżenia powstrzymują potok opatrnego miłosierdzia; a nasza nieufność powstrzymuje jój dobrodziejstwa... Nieraz sobie myślałem, że na nicby nam nie starczyło, gdybyśmy przestali być ubogimi... Żyjmy więc spokojni na łonie téj Opatrzności tak czulej na wszystkie nasze potrzeby. Bóg więcéj nas kocha niż ojciec, więcéj, niż matka najczulsza. Oddajmy się tylko jego woli z dziecięcą ufnością... Bóg ufności naszéj żąda przedewszystkiem. Skoro nań złożym troskę o potrzebach naszych, rzeczą Jego sprawiedliwości i miłosierdzia jest, przychodzić nam w pomoc.“

Podobnemi to rozmowami ks. Vianney krzepił na duchu przełożone przytułku, smutne nieraz i znękane troską o jutro. Nic im tak nie zalecał, jak żeby całkowicie rzuciły się w objęcia Opatrzności z wszystkimi kłopotami, obawami; o jedno się tylko troszcząc, o to, aby Boga kochały jak najdoskonalej, aby mu ze wszystkich sił służyły, i poświęciły się ubogim sierotom.



## ROZDZIAŁ IX.

### Jakie cnoty praktykowano w Opatrzności Arsańskiej.

„Cóż na świecie wznioślejszego, jak kształcić umysł i serce w młodzieży? Zaprawdę, ponad malarza i rzeźbiarza wyżej stawiam człowieka zdatnego do dzieła ukształcania dusz młodych.“

(*Św. Jan Chryz. Hom. LX.*)

„Ojczy, jak możesz mówić o skarbach tam, gdzie ubóstwo tak wielkie, że zbywa na rzeczach potrzebnych? — To właśnie uważam za skarb, gdy nic niema przygotowanego z przemyśleniem ludzkim, gdy wszystko mamy z ręki Opatrzności, jako i ten chleb jałmużny i ten stół, z którego go bierzemy... Dla tego to chcę, abyśmy prosili Boga o zamięłowanie skarbu naszego ubóstwa świętego, bo Bóg sam w nim jest ku usłudze i pomocy.“

(*Kwiateczki—słowa św. Fr. z Asyżu.*)

Celem ks. Vianney przy otwarciu Opatrzności było, jak wiemy, dać przytułek ubogim i zaniedbanym dzieciom. Z wyjątkiem krótkiego czasu w samych początkach, że pobierał jakąś skromną opłatę od zamożniejszych rodziców, zawsze tylko darmo przyjmował dzieci. Najwięcej litował się nad żebrzącymi po ulicach. Boć też to jest ten najsmutniejszy los ubożego dziecka, że w wieku, w którym nie ma jeszcze dokładnego rozpoznania pomiędzy dobrem a złem, już jest wystawione na wszelkie ponęty grzechu, na wszystkie niebezpieczeństwa złego towarzystwa, na zgorznienie z złych rozmów i złego przykładu, na zgubny wpływ zepsutych rówieśników, a niestety! nieraz i bezbożnych nauczycieli. Ks. Vianney płakał nad losem tych nieszczęśliwych istot, rosnących w nieznajomości Boga, kształcą-

ych się w szkole wszystkich występków, jakie się z nędzy rodzą, bez hamulca wstydlivości i bojaźni Bożej.

Nie ograniczał liczby swych uczennic, przyjmował zgłaszające się, o ile je mógł pomieścić; a co najwięcej zaniebane miawały pierwszeństwo przy wyborze. Przedewszystkiem rad przyjmował dziewczęta ubogie piętnasto-, ośmnaśto-, a nawet dwudziestoletnie, które do tego wieku rosły w kałuży złego, często w służbie zostawały u ludzi niegodziwych, nie dbających zgoła o ich duszę i cnotę. Z nich to doczekał się święty Kapłan najpiękniejszych owoców nawrócenia i wytrwania w dobrem. Nauki jego przenosiły je w inny świat. Prawie wszystkie, same z własnej woli, domagały się spowiedzi z całego życia, i zalewały się łzami szczerzej pokuty.

Młodsze przyjmowano w szóstym i siódmym roku, i nie puszczano ich z zakładu aż po pierwszej Komunii. Gdy przebyły ten kilkoletni nowicyat, odpowiednio do rozwoju ich serca i umysłu, wybierano im jaki zawód, pod opieką sumiennych i chrześcijańskich kierowników i panów. Najmłodsze szły w służbę na lato, a zimą wracały do Opatrzności na wypoczynek ciała, i odświeżenie i oczyszczenie ducha. Wreszcie, w dziewiętnastym roku oddawano je na dobre społeczeństwo. Chrześcijańskie rodziny, poszukujące uczciwych służących, wiedziały, gdzie się po nie udać. Wychowanki zaś Proboszcza, mając pozwolenie odwiedzania zakładu raz po raz, czerpały w jego zachętach do dobrego nowy zapas sił do wiernego spełniania swoich obowiązków.

Jeśli która z nich objawiała pragnienie poświęcenia się służbie Bożej, sam jęj wybierał odpowiedni klasztor, wyposazał ją i za drogę płacił. Te zaś, które miały powołanie do życia rodzinnego, umieszczał u uczciwych ludzi, troszcząc się o nie do końca uczuciem ojcowskiem. Gdy później wychodziły za mąż, dom ich urządzony według zasad świętego ich mistrza, stawał się wzorem dla drugih.

Gdzieindziej, przyznać należy, taka mieszanina dzieci różnego wieku, dzieci przychodnich i w domu pozostających, wywołałaby wiele nieporządku i niebezpieczeństw. Tymczasem tu, ta sama siła cnoty, która tak doskonale pokierowała przełożonemi, utrzymywała w karności i uczen-

nice. Kilka z nich zawiodło nadzieje ks. Vanney, zбочyło z drogi cnoty; wszakże były to tak nieliczne wyjątki, że sam zwykł był mawiać: „Dopiero na sądzie ostatecznym przekonamy się, ile dobrego z tego domu wyszło.“ Gdy chciał jaką łaskę otrzymać, kazał się całemu zgromadzeniu modlić, sam podwajając posty, pokuty i jałmużny i był pewien wtedy, że będą wysłuchani; bo, jak mawiał, przez ubogich Bóg najchętniej łask swych użycza.

Niepodobna nam tu wdawać się w szczegółowy opis składu i urządzenia *Opatrności* *Arsańskiej*: dość powiedzieć, że ona miała odrębne swe piętno, a była żywym odbiciem ducha *Proboszcza z Ars*.

Nie było tam sposobu nauk, jaki bywa w szkołach publicznych, a choćby w innych dobroczynnych zakładach: było to po prostu urządzone, tak jak bywa w ubogich ale na wskroś chrześcijańskich domach, gdzie wszystko dzieje się w duchu wiary, gdzie obecność Boża przenika wszystko i nad wszystkim góruje, gdzie myśl pozaziemska nie na tę chwilę krótką modlitwy rano i wieczór się ogranicza, ale się staje tłem życia całego.

*Opatrność* w *Ars* urzeczywistniała zdanie znakomitego męża *Stanu Guizota*, który o wychowaniu ludowem tak się wyraził: „Wychowanie powinno się udzielać i odbierać w duchu wiary, aby wrażenia i obyczaje religijne przenikały wszystko. Religia bowiem nie jest nauką ani ćwiczeniem, któreby można ograniczyć, naznaczając im miejsce i godziny osobne; religia jest wiarą, jest prawem, które bezustannie i wszędzie stósować się winno, i tylko pod tym warunkiem wywiera na duszę i na życie cały wpływ swój zbawienny.“<sup>1)</sup>

Uczono tam dzieci rzeczy potrzebnych w ich przyszłym życiu: czytania, pisania i robót ręcznych. Oswajano je z ubóstwem, jakiego nie byłby się zaparł sam św. *Franciszek Seraficki*; przyzwyczajano poprzestawać na tem, co najkorzystniejsze do utrzymania życia. Najmniejszy pozór zbytku tak był wstrętny *Proboszczowi z Ars*, że spostrzegłszy u swoich sierót zegar w kwiaty malowany, własną ręką

<sup>1)</sup> Guizot, „Mémoires pour servir à l'Histoire de mon temps.“ t. III.



zamazał je pędzlem. W ogródku zakładowym było kilka drzew owocowych: pozwolił na nie, póki nie spostrzegł, że się stają powodem pokusy dla dzieci; lecz za pierwszym objawem niebezpieczeństwa dla nich, w tej chwili kazał je poćcinać.

Tak to święty Proboszcz odbił na swoim dziele najulubieńszą swą cnotę. A trudno wyrazić do jakiego stopnia tak nauczycielki, jak uczennice umiały się oderwać od rzeczy doczesnych, i zatopić wszystkie swe troski w ufności Bożej. Nie chciały mieć innego opiekuna jak tylko Boga; wiedząc dobrze, że niczem więcej nie zniewolą Jego pomocy dla swych prac pobożnych, jak tą ufnością dziecięcą, ufnością bez granic.

Było coś rzewnego w pobożności tych sierót. Gdy ks. Vianney opowiadał im o Bogu, łzami się zalewały, i stanowcze czyniły postanowienia poprawy życia. W niedziele i czwartki, w dni poświęcone na Adoracye wynagradzające, uczennice odmieniały się co godzina przed N. Sakramentem, aby Pana Jezusa przeprosić za wszystkie zniewagi miłości Jego wyrządzone. A niech się tylko dowiedziano o jakim zgorszeniu, o zniewadze uczynionej Bogu, wnet starsze dziewczęta prosiły o pozwolenie spędzenia nocy na modlitwie, i kolejno wstawały na godzinę Adoracyi. Prócz tego martwiły swe zmysły, jak najdoskonalsze zakonnice. Kilka z nich umarło śmiercią tak piękną, wśród uczuć takiej radości i takiego uwielbienia Pana, z którym się niezadługo złączyć miały, że mogły być powtórzyć za bł. Henrykiem Suzo: „Z serca pełnego radości, śpiewam pieśń miłości.“

W Opatrzności to rozpoczęły się te sławne katechizacye Proboszcza z Ars, które mu tak głośne wyrobiły imię. Przeznaczone pierwotnie dla wychowanek zakładu, stały się z czasem nietylko pokarmem tych młodych dusz, ale i pielgrzymów z całego świata.

Codzień po Anioł Pański zasiadał Proboszcz w sali szkolnej i otoczony dziećmi, całą godzinę prawił im o pierwszych zasadach wiary, o szkaradzie złego, o bojaźni sądów Bożych itd. Często wykladał o złośliwości i pokusach czartów, którym wraz z wszystkimi Ojcami Kościoła św. przypisywał większą część złego, jakie świat gnębi.



Czasami przytaczał legendy tak straszne, że krew się w żyłach ścinała, słuchając go.

Codziennie wzrastała liczba słuchaczy ciekawych tego dziwnego kazania, którem silnie przejmował i podbijał serca. Ks. Vianney wykladał Ewangelią, przypowieści z Pisma św. w sposób jemu tylko właściwy; bo jednym słowem porywał do kontemplacyi dusze wzniosłe i najwięcej rozwinięte, a zarazem zapalał do uwielbienia Boga dusze najprostsze. Niepodobna prawie było powtórzyć jego słowa, tak myśl jego była wielką i świętą, a wyrażona w sposób tak odrębny i niezwykły. Każdy wychodził z tych nauk z przepelnionem sercem, i mocnem postanowieniem korzystać z nich jak najczęściej.

Sądzymy, że nie bez żywego zajęcia będą dla czytelnika poniższe okruchy tych nauk, które szczęśliwym sposobem nam się dostały z zapisków dawniej już wspomnianych Katarzyny Lassagne.



## ROZDZIAŁ X.

### Katechizacye Proboszcza z Ars.

„A ja, przyszedłszy do was, bracia, przyszedłem nie z wyniosłą mową albo mądrością, opowiadając wam świadectwo Chrystusowe. Albowiem nie miałem się za tego, żebym miał co umieć między wami jeno Jezusa Chrystusa.“

(*Do Korynt. II, 1.*)

„Słowo kapłana powinno być czyste, proste, jasne, słodkie i namaszczone.“

(*Św. Izydora op. lib. II, offic.*)

Proboszcz z Ars mówił zwykle o szczęściu w służbie Bożej, o piękności cnoty, o szkaradzie choćby najmniejszej winy, o unikaniu niebezpiecznych okazji, o odpieraniu pokus, o uczęszczaniu do Sakramentów św., o modlitwie, o godności duszy ludzkiej, o marności rzeczy ziemskich, o miłości bliźniego, o miłosierdziu względem ubogich. Choć niby mówił wyłącznie do młodzieży, wszystkim podawał naukę.

Głównie starał się obrzydzić swym wychowankom grzech, który splamił ich młodość, i który w przyszłości mógł być dla nich niebezpieczny. Mówił:

„Aby zrozumieć jak okropny i obrzydliwy jest grzech, do którego szatani nas kuszą, choć go sami nie popełniają, trzeba zrozumieć czem jest chrześcjanin. Chrześcjanin, na obraz Boga stworzony, krwią Boga odkupiony! chrześcjanin, to dziecię Boga, to brat Boga, to dziedzic Boga!... chrześcjanin, przedmiotem miłości trzech Osób w Trójcy Przenajświętszej; ciało chrześcjanina jest świątynią Ducha św. A otóż tę goiność grzech plami, bezczęści.

„Na to jesteśmy stworzeni, abyśmy kiedyś królowali w niebie: aliści grzesząc stajemy się łupem szatanów. Chrystus Pan

powiedział, że nic nieczystego nie wnijdzie do Jego królestwa. Jakoż chcielibyście aby dusza skalana brudami mogła stanąć przed Bogiem najczystszy, najświętszym?

„Są dusze tak martwe, tak zgniłe, że ani wiedzą o tem, jak głęboko zagrzęzły w obrzydliwościach, i wyjść z nich nie umieją. Wszystko jest im okazyą do grzechu, wszystko grzech im przypomina, nawet najświętsze rzeczy; te szkaradzieństwa mają nieustannie na oczach; podobne są do tego zwierzęcia co tak nawykło do mierzwy, że z upodobaniem tarza się w niej, zasypia w niej i dyszy w tem błocku i za tem błockiem... ach! takie osoby są obrzydłością w oczach Boga i świętych aniołów.

„Patrzcie moje dzieci: Chrystus Pan dał się cierniową koroną ukoronować za naszą pychę; ale za ten grzech przeklęty pozwolił się ubiczować, i całe Ciało swoje tak poszarpać, że, jak przez proroka powiada, policzyć było można wszystkie kości Jego. O moje dzieci! gdyby tu i owdzie nie było dusz czystych dla zadosyć uczynienia Bogu i dla rozbrojenia Jego sprawiedliwości, dopierobyśmy widzieli, jakie to kary spadałyby na nas!... Bo aż dreszcz przenika, jak grzech ten pospolity jest teraz na świecie.

„Można powiedzieć, dzieci moje, że jak dym bucha z kominu, tak piekło bucha obrzydliwościami swemi na biedny nasz świat. Szatan robi co tylko może, by zbrukać duszę naszą, a przecież dusze nasze, to wszystko nasze... ciało tylko garścią zgnilizny. Idźcie na cmentarz i przypatrzcie się, co kocha ten, kto ciało swe pieści i kocha.

„Jak wam to już nieraz powiadałem, nie brzydszego nad nieczystą duszę. Pewien święty prosił raz Boga, aby mu taką pokazał: i ujrzał ją biedną zwaną, jak zdechłe bydlę, przez tydzień włóczone na ulicy po skwarze.

„Ci, co stracili niewinność, są jak ta sztuka sukna zmoczonego olejem — pierz, susz je, plama zawsze wychodzić będzie. Cudu potrzeba, by z grzechu nieczystości obmyć duszę.“

Tak silnie wystąpiwszy przeciw występкови, przedstawiał znów obraz szczęścia duszy czystej.

„O! nic piękniejszego nad duszę czystą!... Ktoby to pojął, niepodobna, żeby się nieczystością jeszcze kalał. Czysta dusza wyzwolona z ziemi, z samej siebie... Dla tego to święci tak trapiли swe ciało, dla tego zaspakajali tylko najkonieczniejsze jego

potrzeby, nie pozwalali sobie nawet opóźnić wstania o pięć minut, ugrzać się, zjeść coś dla przyjemności... Ale otóż to! co ciało traci, to dusza zyskuje i odwrotnie, zysk ciała stratą jest duszy.

„Czystość jest darem nieba: trzeba o nią Boga prosić. A skoro o nią będziem prosić, otrzymamy ją z pewnością. Otrzymawszy, strzeżmy, aby jej nie stracić; — zamknijmy uszy na podszepty pychy, zmysłowości, i innych namiętności,... jak gdybyśmy przed złodziejami zamykali okna.

„Jakaż to radość anioła Stróża, gdy prowadzi duszę czystą! O dzieci moje, całe niebo z miłością spogląda na nią!...

„Czyste dusze obstąpią kołem Pana Jezusa, a im która czystsza była na ziemi, tem bliżej Niego stać będzie.

„Gdy serce jest czyste, nie obroni się miłości; boć znalazło już źródło miłości, Boga samego. »Błogosławieni czystego serca,—powiedział Chrystus Pan — albowiem oni Boga oglądają.«

„O dzieci moje! niepodobna pojać, jaką władzę dusza czysta ma nad Bogiem. Moznaby prawie powiedzieć, że nie ona czyni wolą Jego, lecz On czyni jej wolą. Patrzcie na Mojżesza, tego męża czystego. Gdy Bóg chciał lud żydowski ukarać, mówił mu: »Nie proś mnie, bo gniew mój musi spaść na ten lud.« — Pomimo to Mojżesz się modlił, a Bóg oszczędzał swój lud, dawał się ubłagać, nie mógł się oprzeć modlitwie tej czystej duszy. O moje dzieci, dusza niezmazana tym przekłętym grzechem, otrzymuje wszystko u Boga.

„Trzy są sposoby żeby zachować św. czystość: ciągle pamiętać na obecność Bożą, modlić się, uczęszczać do Sakramentów św. Po za tem jest jeszcze czytanie pobożnych książek, które są pokarmem dla duszy.“

Pycha była też jedną z tych namiętności, przeciwko której najczęściej występował, mówiąc o niej z głęboką znajomością serca ludzkiego.

„Pycha to ten przekłety grzech, który aniołów z nieba do piekła strącił. Grzech ten stary jak świat.

„W różny sposób grzeszy się pychą. Jedni pyszną się ze sukien, z mowy, z ruchów a nawet z chodu. Są osoby, które, gdy idą ulicą, zdają się mówić każdem poruszeniem: »Patrzcie, jakam ja duża, jakam ja prosta, jakam ja zręczna!« Inne nie mogą się dość naopowiadać, gdy im się udało coś dobrego zrobić; a mar-

twią się, niewiem jak, gdy im się co nie uda: tak je korci myśl, co o nich ludzie sądzić będą... Inne znów wstydzą się, jeśli je kto znajomy z ubogimi spotka; a za towarzystwem bogatych ubiegają się... Jeśli się zdarzy, że ich jaki wielki pan lub wielka pani przyjmą, nie mogą się dość nachwalić: tak im to bardzo pochlebia. Inni pyszni są w mowie. Gdy mają mówić z możnymi tego świata, układają sobie naprzód wyszukane słówka; a jeśli im się które nie uda, trapią się obawą, aby ich nie wyśmiano. W pokornym człowieku nic z tego nie znajdziemy, moje dzieci. Jemu wszystko jedno, czy go wyśmiewają, czy go szanują, czy go chwala, czy go gania, czy go uczczą, czy nim pogardzą, czy go poważają, czy o nim zapominają: wszystko mu jedno.

„Są nadto ludzie, co wielkie czynią jałmużny na to, aby ich szanowano... Biedni oni, żadnego owocu nie zbiorą ze swego uczynku, a w miarę złej intencji, owszem w grzech im się odmieni.

„Moje dzieci, my do wszystkiego musimy użyć tej pychy, jakoby soli. Miło nam, gdy ludzie wiedzą o naszych dobrych uczynkach. Cieszy nas gdy widzą cnoty nasze, a smuci, gdy wady nasze wykrywają. Niepokoiśmy się, gdy nam co mówią. Nie takimi byli święci; im przykro było, gdy ludzie spostrzegali ich cnoty, a radzi byli gdy się ułomności ich wydały. Szatan zapisuje wszystkie nasze grzechy, anioł Stróż wszystkie nasze zasługi.

„Moje dzieci, osoba pyszna myśli, że cokolwiek zrobi, to już dobrze zrobione: chce wszystkimi rządzić, chce zawsze mieć słusność; zawsze jej się zdaje, że jej zdanie najlepsze... Nie tak osoba pokorna i rozumna. Zapyta ją kto o zdanie, wypowie je prosto i słuca, co inni powiedzą; a czy mają słusność, czy niesłusność, już się więcej nie wtrąca.“

Rzecz o grzechu, o oplakanych jego skutkach była nieustającym przedmiotem jego nauk.

„Patrzcie dzieci moje jak grzech poniża człowieka! Z anioła stworzonego do wiecznej miłości Boga, czyni szatana, który Go po wszystkie wieki przeklinać będzie... Ach! jakże bylibyśmy szczęśliwymi, gdyby Adam nie był zgrzeszył, gdybyśmy nie grzeszyli codziennie!... Bylibyśmy tak szczęśliwi, jak święci w niebie. Na ziemi nie byłoby już bólu i cierpienia. Ach! jakby to było pięknie!...

„Takci jest, dzieci moje, nic innego jak grzech ściąga na nas te wszystkie klęski, nieszczęścia, wojny i zaraziwe choroby, głód, trzęsienie ziemi, pożary, mrozy, grady, burze i wszystko to co trapi, co nas unieszczęśliwia.

„Patrzcie moje dzieci na osobę w stanie grzechu: ona zawsze smutna. Niech robi co chce, zawsze się czuje znudzona. zniechęcona,... podczas gdy osoba, mająca spokojne sumienie, zawsze jest zadowolona, zawsze swobodna... O! piękne to życie!... i śmierć piękna!...

„Moje dzieci, nic dziwnego, że się śmierci lękamy! To grzech przyczyną tego strachu, bo grzech czyni śmierć straszniejszą, okropną!... Grzech przeraża złego człowieka w godzinę straszliwego przejścia. O mój Boże! jest też czego się obawiać... Na samą myśl, że się będzie potępionym!... potępionym od Boga!... aż dreszcz przenika. Potępionym, przeklętym od Boga! i za co? Przez co i dlaczego ludzie narażają się na tę klątwę Boga? Błuznierstwem, złą myślą, butelką wina, czasem krótkotrwałą niegodziwą rozkoszą. Oto za jak nędzne, podłe rzeczy tracą swą duszę na wieki, tracą niebo na zawsze!... Widzisz idących do nieba ojca, matkę, siostrę, sąsiada, tych którzy żyli z nami, których przykładem pogardzaliśmy, a samemu iść do piekła na wieczny ogień, na pastwę szatanów, którzy nas męczyć będą za to, żeśmy ich zawsze słuchali, to okropnie!...

„Moje dzieci, co byście myśleli o człowieku, który układa-  
jąc wielki stós drzewa, powiedziałby wam, że układa sobie drzewo, na którym ma się spalić... I dalej co byście o nim powiedzieli, gdyby on człowiek zapalił sam stós i rzucił się nań, by spłonąć?.. A jednak, grzesząc, tak samo postępujemy. Nie Bóg wrzuca nas w ogień piekielny, ale my sami przez grzechy nasze. Potępiony powie sobie: »Utraciłem Boga, nieb., zatri-  
ciłem duszę mą z własnej winy, z wielkiej winy!...« Podniesie się po nad płomienie, i znów w nie zapadnie. Będzie wiecznie czuł potrzebę podnosić się, boć dla Boga był stworzony Najwyższego,—jako ten ptak, co leci pod powagę i spada na ziemię:—  
sprawiedliwość Bozka jest tą powagą, o którą się potępie-  
niec rozbija.

„Zbyteczna dowodzić, że piekło jest. Chrystus Pan sam o niem mówił, opowiadając historią bogacza, który wołał: »Łazarzu, Łazarzu!« Wiemy więc dobrze, że jest piekło; ale żyjemy tak, jak gdyby go nie było. Przedajemy duszę za kilka



pieniążków. Nawrócenie odkładamy do śmierci; a kto nam zapewni, że będziemy mieli czas i siły w tej strasznej godzinie, przed którą święci drżeli, w której całe piekło się wysila na ostatni najazd straszliwy. Wielu, straciwszy wiarę, widzą dopiero piekło, gdy do niego wchodzi. Udziela im się ostatnich Sakramentów, ale gdy ich zapytać, czy nie popełnili takiego a takiego grzechu, odpowiadają: »Zrób z tem, co chcesz!...«

„Są ludzie, którzy co chwila obrażają Boga: ich serce istnem mrowiskiem grzechów, podobne do kawała mięsa robactwem roztoczonego...”

„Doprawdy, gdyby grzesznicy pomyśleli o wieczności, o tem straszliwym z a w s z e!... natychmiastby się nawrócili... Kain od sześciu tysięcy lat jest w piekle, a zaszedł tak daleko w swej pokucie, jak gdyby ją dopiero co zaczął.“

Gdy mówił o Najśw. Sakramencie, serce mu się roz-  
pływało.

„Czemuż, dzieci moje, w innych religiach nie ma Sakramentów świętych? Otóż dla tego, że w nich nie ma zbawienia. W naszej wierze, w której jedynie jest zbawienie, mamy też Sakramenta św. Dziękujmy za nie Bogu, bo one są źródłem zbawienia.

„O! gdybyśmy zrozumieć mogli wielką cenę Komunii św., unikalibyśmy i najmniejszych win, ażeby ją móżdż jak najczęściej przyjmować; zachowywalibyśmy duszę naszą w największej czystości. I tak naprzykład, moi mili, dajmy na to, dzisiaj jesteście u spowiedzi; czuwacie nad sobą, ciesząc się na to, że jutro Boga przyjmiecie;... jutro tem mniej będziecie zdolni obrazić Boga, gdy dusza wasza będzie wszystka woniejąca przenajdroższą Krwią Pana naszego... O co to za życie cudne, przebłogosławione.

„Ach! dzieci moje, jakże na wieki piękna będzie dusza, która często i godnie przyjmowała Ciało Pańskie. Majestat Ciała Jezusowego jaśnieć będzie w naszym ciełe uwielbionem. Jakież to tam czyste i doskonałe będzie jej szczęście!... Moje dzieci, gdy dusza wierna, która przyjęła P. Jezusa w Komunii św., wchodzi do raju, powiększa wesele nieba. Aniołowie z Królową swoją na czele wychodzą naprzeciw Nięj, bo poznają w Nięj mieszkającego Syna Bożego. Wtedyto dopiero dusza ona bierze nagrodę za wszystkie ofiary, umartwienia i przykrości poniesione za życia.

„Nie trudno poznać czy dusza godnie przyjmuje Komunią św. Tak ona zatopiona w miłości, tak nią przemieniona, wcale inna, niż dawniej i w czynie i słowie... staje się pokorna, łagodna, umartwiona, miłosierna, skromna, z wszystkimi zgodna, zdolna do ofiar największych: jednym słowem jest wcale nie do poznania.

Wszystkie dobre uczynki, razem wzięte, nie wyrównają jednej ofierze Mszy św., bo uczynki są dziełem ludzkim, Msza św. dziełem Boga-Człowieka. Nawet męczeństwo jest niczem w porównaniu ze Mszą św. Męczeństwo jest ofiarą z życia jaką człowiek dla Boga ponosi: Msza św. jest ofiarą Ciała i Krwi samego Syna Bożkiego złożona za człowieka. A kapłan, jakże on wielki! Gdyby mógł doskonale pojąć wielką godność swoją, umarłby z radości... Bóg posłuszny: na jego słowo Chrystus Pan zstępuje z nieba i pozostaje utajony w tej Hostyi drobnej. Bóg spogląda na ołtarz: tu Syn Jego miły, w którym sobie upodobał. Zasługom tej fiary niczego odmówić nie może. Ktoby miał wiarę doskonałą, widziałby Boga działającego w osobie kapłana, jak światło widne za szkłem, jak wino zmięszane z wodą.

„Powinniśmy się starać o to, aby sobie zasłużyć na codzienne przyjmowanie Pana Jezusa. Jeśli nie możemy komunikać sakramentalnie, komunikujmy przynajmniej duchowo: a możemy to każdej chwili czynić, bo na to potrzeba jedynie mieć gorące pragnienie łączenia się z Bogiem choć przez łaskę Jego świętą. Komunia św. tak rozżarza duszę, jak silny powiew co podnieca płomień gasnący. Gdy po przyjęciu Sakramentów św. miłość Boża w nas stygnie, coprędzej bierzmy w pomoc komunią duchowną!... Nie możemy iść do kościoła? zwróćmy się w duchu do ołtarzy pańskich; Pana Boga żaden mur od nas nie zdolen przedzielić; odmówmy pięć Ojcze nasz, pięć Zdrowaś gwoli komunii duchownej... Ciała Pańskiego nie możemy więcej razy na dzień przyjmować: otóż dusza gorejąca miłością, wynagradza sobie to gorącym pragnieniem przyjmować Go co chwilę.

„Człowieku, jakżeś ty wielki!... karmion, pojony Ciałem i Krwią Boga!... Jakież to słodkie życie w połączeniu z Bogiem! Toćto raj na ziemi! wobec niego za nic już wszystkie przykrości i krzyże! Nieprawdaż, że po Komunii przez czas niejaki czujecie radość i woń błogości w sercu!... Czyste serca trwają ciągle

w tem uczuciu; to też ta łączność ich z Bogiem jest ich siłą i szczęściem tu na ziemi.“

Niekiedy znów mawiał o rzeczywistej obecności Boga w Najśw. Sakramencie.

„Pan Jezus tu utajony czeka, póki nie przyjdziem do Niego, póki Mu prósb naszych nie złożymy. Jakże On dobry! jak On się zniża do naszej nędzy!... W niebie, gdy będziemy otoczeni chwałą, widzieć to będziem w niezmiernym Jego Majestacie; gdyby nam się tu tak ukazał, nie śmielibyśmy zbliżyć się do Niego. Ukrywa się jakoby w więzieniu, z którego mówi do nas: »Mniejsza o to, że mnie nie widzicie; proście mnie, o co chcecie, a ja was wysłucham.« W tym Sakramencie Miłości wzdycha i prosi nieustannie Ojca Swojego za grzesznikami. O! jak miła Mu chwila urwana od zajęć naszych, może od próżnostek, a Jemu poświęcona żeby Go prosić, żeby Go pocieszyć za wszystkie zniewagi Mu wyrządzone. Z uśmiechem radości widzi spieszące doń dusze czyste.

„On to jest jako ofiara: bardzo tedy miłą Bogu modlitwą prosić Najśw. Pannę, aby Ojcu Przedwiecznemu ofiarowała za grzeszników Syna Swego, krwią oblanego; najlepsza to modlitwa, kiedy prósy nasze zanosząc, kończymy wszystkie: »przez zasługi Pana naszego, Jezusa Chrystusa.«

„Gdy jesteśmy przed Najśw. Sakramentem, zamiast się oglądać dokoła, zamknijmy oczy i usta, a otwórzmy serce: Bóg nam Swoje otworzy. Pójdziem do Niego, On do nas przyjdzie: my z prośbą, On z darem Swoim. O jak to słodko zapomnieć o sobie, by znaleźć Boga! Święci zaparli się siebie, i samego tylko Boga pragnęli widzieć, dla Niego samego tylko pracować; zapominali o wszelkiej rzeczy stworzonej, aby Jego jednego znaleźć. Tak zdobywa się niebo!“

Inną razą przypominał dobrodziejstwa Sakramentu Pokuty i trafne podawał nauki.

„Moje dzieci! z najmniejszą plamką na duszy trzeba tak postąpić, jak ona osoba, która dba o czystość kryształowego puharu. Zaledwo pyłek na nim usiedzie, zaraz gąbką go wyciera: dla tego puhar ten lśni cały. I wy dzieci moje, gdy spostrzeżecie plamkę na duszy swojej, przeżegnajcie się święconą wodą. wypełnijcie jaki dobry uczynek, przez co gładzi się grzech powszedni, jaką jałmużnę, uczynicie pokłon przed Najśw. Sakramentem, wysłuchajcie Mszy św.

„Z grzechem lekkim to tak jak z lekką chorobą: można się samemu wyleczyć, bez pomocy lekarskiej. Jeśli głowa zaboli, dość spocząć trochę; gdy głód dokuczy, dość pożywić się. Ale gdy kto ciężko chory, gdy rana niebezpieczna, już niezbędnie lekarz potrzebny a potem i lekarstwa... Toż gdy się ma ciężki grzech na sercu, trzeba się uciec do lekarza duszy, kapłana, i do lekarstwa dusznego, do Sakramentów św.

„Aż trudno pojąć wielkość miłości Boga dla nas w tem, że ustanowił ten wielki Sakrament. Chociażbyśmy mieli prosić Chrystusa Pana o łaskę najwyższą, ani na myśl nie przyszłoby nam o tę i tak wielką łaskę prosić. Aliści On przewidział słabość nasze, chwiejność w dobrem: a Jego miłość była Mu pobudką, że uczynił dla nas to, o cobyśmy sami nie śmieli wcale Go prosić.“

Wstrzemięźliwość polecał bardzo, i dawał pod względem umartwienia rady, na własnem doświadczeniu oparte.

„Trzecią cnotą kardynalną jest wstrzemięźliwość. Jest wstrzemięźliwość wyobraźni, aby nie rozpędzała się za lada pościąganiem wewnętrznym lub ponętą zewnętrzną; jest wstrzemięźliwość oczu, wstrzemięźliwość języka i smaku; są bowiem i tacy, co muszą ciągle mieć coś słodkiego, przyjemnego w ustach. Jest wstrzemięźliwość uszu nie pozwalająca im słuchać niektórych piosnek, rozmów niepotrzebnych. Jest wstrzemięźliwość powonienia: niektórzy tak się zlewają wonnościami, że aż mdławo się od nich robi. Jest wstrzemięźliwość ręku: są tacy, co się nieustannie myją w czasie gorąca, którzy pieścą się czemś miłym w dotknięciu. Jest wreszcie wstrzemięźliwość ciała całego, nie pozwalająca mu rozhuścić się, jak koń rozbiegany bez wędzidła i wodzy, powstrzymująca je na uwięzi. Są, którzy się zgubili w własnem łożku, w lubości i miękkości. Nie tak czynili święci. Ani wiem, jak my tam wyglądać będziemy przy nich... A jeśli się do nieba dostaniem, to chyba po bardzo długiej pokucie w czyszc, kiedy oni w jednej chwili uniosą się do nieba by oglądać Boga wiecznie. Św. Karol Boromeusz, ów wielki święty, miał w mieszkaniu swoim piękne łożko kardynalskie, które wszyscy widzieli; na uboczu w ukryciu było właściwe jego łoże, z kilku polan drzewa. Nigdy się nie grzał, a gdy kto do niego przychodził, uważano, że tak stawał, aby nie czuć ognia. Takimi byli święci. Żyli dla nieba, nie dla ziemi; byli całkiem niebiańskimi, — my całkiem jesteśmy ziemskimi.

Ach! jak ja lubię te drobne umartwienia, których nikt nie widzi, jak np. wstać kwadransik wcześniej, wstać na chwilkę modlitwy w nocy; aleć wielu jest takich, co tylko o spaniu myślą.

„Błogosławiony Andrzej Żurawek, pustelnik zbudował sobie osobliwy pałac królewski w olbrzymim pniu dębu. Wyłożył go cierniem wewnątrz; po nad głową zawiesił trzy kamienie: aby go kolce kłuły, gdy się wesprze; a kamienie uderzały po głowie, gdy się wyprostuje. A my? my marzymy tylko o wygodnym łóżku, na które nam się najsmaczniej spało.

„Można się obyć bez grzania się; można nie szukać wygody, jeśli źle się siedzi; można odmówić sobie owocu, na który ochota bierze, gdy go się widzi, chodząc po ogrodzie; można sobie odmówić jakiego przysmaku nastęrczającego się w obejściu gospodarskiem; można się wstrzymać od przypatrywania się ładnym przedmiotom, mianowicie na ulicy... Ale niejedna głowa ciągle się obraca na tę lub ową stronę; niejedne oczy nieustannie za czemś ścigają... Gdy idziemy ulicą, utkwijmy wzrok nasz w Chrystusa Pana, dźwigającego krzyż swój przed nami; na Matkę Jego, która na nas patrzy; na naszego Anioła stróża, stojącego tuż przy nas. Jakże piękne takie życie wewnętrzne!... ono nas łączy z Bogiem!... To też szatan bardzo przeszkadza duszy dążącej do umartwienia; sili się odwieść ją od niego tysiącami urojeniami. Dobry chrześcjanin nie zważa na te pokusy, ale postępuje coraz dalej na drodze doskonałości, jak ryba co na samo dno morskie się zanurza. My niestety!... wlecemy się jak pijawki w błocie.

„Dwaj święci na pustyni poobwijali się cierniem: a my gonimy tylko za wygodami. Chcielibyśmy i my dojść do nieba, ale z wszelaką wygodą, bez żadnego cierpienia. Oj nie tak czynili święci! Umartwiali się wszelkimi sposobami i rozmiłowali się w najokrutniejszych cierpieniach. O szczęśliwi, szczęśliwi ci, co Boga kochają i nie tracą i najmniejszej sposobności do dobrego. Jak chciwi starają się wszelkimi sposobami zgromadzić skarby, tak oni ubiegają się o zaskarbienie sobie nieba... Aż się zdziwimy w dzień ostateczny, jakie to będą bogate niektóre dusze...“

Nie zapominał uczyć o marności. eh świata i tak raz mówił w przeddzień Popielca:

„Moje dzieci, Kościół powie nam jutro rzecz bardzo dla nas upokarzająca: »Pamiętaj, żeś z prochu powstał — w proch.

się obrócisz.« — Powiem to sobie najpierw, a potem i wam to powtórzę.

„Prochem więc człowiek, który się tyle natrapi, nakłopoce, nahałasuje, który tak do panowania, do znaczenia dąży, który ma się za coś wielkiego i nieledwie słońcu radby nakazać, aby mu się z drogi usunęło i jemu przyświecać dozwoliło światu. Kiedyś tego dumnego człowieka obróconego w garść prochu rozniosą fale z jednej rzeki w drugą, aż na dno morskie wyrzucą.

„Często tak sobie myślę moje dzieci, żeśmy podobni do tych małych zamieci piasku, które wiatr usypie i znów rozwieje za chwilę... Bracia, siostry nasze, co pomarły, czyż oni wszyscy nie są dziś tą garścią prochu, o jakim wam mówię..“

W tem bardzo niedokładnem powtórzeniu niektórych myśli Proboszcza z Ars, choć nie zawsze językiem dwor-  
nym wyrażonych, staraliśmy się dać próbkę téj jego przedziwnéj prostoty, tryskającej siłą ducha bożego.

---



# KSIĘGA TRZECIA.

## Heroiczne życie księdza Vianney

od założenia przytułku w Ars aż do jego zniesienia.

(1825—1847).

---

### ROZDZIAŁ I.

Ks. Vianney staje się świętym przez pokutę i zaparcie się.

„Szczerze miłujący Boga umartwia ciało postami, czuwaniem i modlitwą, wyniszcza w sobie pychę odzieżą zawsze ubogą: unika pochwał i zaszczytów, gorąco miłuje dusze; ani siebie, ani bliźniego, ani Boga nie kocha dla siebie, ale wszystko miłuje dla Boga samego; nie troszczy się ani o życie, ani o śmierć, ani o pracę, ani o przykrości, jakie ma znosić, szuka jedynie chwały Prawdy przedwiecznej.... To jest znamię prawdziwego sługi Bożego.  
(*Sw. Katarzyna. List XXIX*).

„Wypróbuję się w twardym zakonie. Próba okaże czylim z miedzi, czy z blachy. — Idę na wielki bój, na wielki trud i mozół... O Chryste Panie, wspomóż mnie mocą Twoją, abym zwyciężył! — Miłością ukocham krzyż, którego gorącość już mnie zapala, i prosić będę pokornie, aby mnie szafem miłości przeni knął. (*Jacopone de Todi. Poezye duchowne I. 1*).

Przyszlśmy do chwili w życiu Świętego naszego, gdzie promienie niebieskie łask i cudów żywym blaskiem świecić poczynają; gdzie to, co z początku wydawało się tylko czemś niezwykłym, już wyraźnie bierze piętno nadprzyrodzonej mocy.

Cudowne życie Proboszcza z Ars rozpoczyna się z chwilą założenia ochrony „Opatrzności,” gdy sława jego świętości pierwsze gromady pobożnych do niego ściągała. Do tego czasu widziano w nim księdza pobożnego, oddanego pokucie, cichego, pokornego i miłosiernego; nikt w nim nie zauważył jeszcze tego dziwnego, niewymownego wyrazu świętości.

Fenelon powiedział: że Bóg pozostawia w duszach doskonałych drobne ich ułomności na świadectwo, z jakiej nędzy ich podźwignął. Jako rzemieślnik, który poleruje marmury, granity, pozostawia też maleńkie odrobiny kamienia chropawego na znak, ile tu ręka ludzka pracą swą głaz ten ugładziła, uzacniła.

Otóż nawet to świadectwo nędzy zatarło się już w księdzu Vianney. Wykończone i doskonałe dzieło ręki Boga podziwiali w nim ci, którzy go pod koniec życia poznali: gdy już świętość stała się niejako drugą jego naturą, gdy się tak zrosł z najheroicznymi enotami, że je wykonywał bez wysiłku woli, nie potrzebując zadawać sobie wcale gwałtu; gdy zjednoczon i przemienion w Tego, który jest Drogą, Prawdą i Żywotem, stał się jedno z Nim, miłując, co on miłuje, nienawidząc, co on nienawidzi, nieodmieniając się w jakichbądź przygodach; a idąc zawsze w ślady Pana i Mistrza swego. Ale nie sądzmy, że Proboszcz z Ars doszedł do świętości bez walk i trudów, przez które Święci wszyscy przechodzić muszą. -- Jeden z starców w Objawieniu świętego Jana zapytuje tych, co w białych szatach i z palmami w ręku otaczają tron Baranka: zkad idą? a oni mu odpowiadają, że przychodzą z wielkiego utrapienia.

Ucisk i cierpienie jest prawem powszechnem, z pod którego i nasz święty nie był wyjęty: i jemu nie było dano inaczej połączyć i zjednoczyć się z Tym, który jest Świętym Świętych.

Gdy się patrzy na walki i ciężkie krzyże, przez jakie przechodzić musiał, by wstąpić na te wyżyny, na których go podziwialiśmy, nasuwa się na myśl to, co napisała św. Katarzyna, że „taka wola Pana naszego, iżby nie wielkiego się nie stało od początku świata, i do końca się nie działo: bez cierpienia!”

Świętość jest owocem ofiary: jest to zamarcie i odrodzenie, zamarcie starego człowieka, odrodzenie nowego w Chrystusie Jezusie. Niema zaś ni śmierci, ni narodzenia bez boleści.

Ksiądz Vianney do rozpaczyny doprowadzał poczciwe niewiasty, które się podjęły gospodarstwa w jego domu. Gdy gospodarować nie miały w czem. bo wszelkie zapasy spiżarniane w jednej chwili przechodziły w ręce ubogich, u parafian starały się dla niego o żywność, której przyjąć nie chciał, na ciągle a najsurowsze skazując się posty.

Drugim niemniejszym ich kłopotem było utrzymanie jego sprzętów domowych i bielizny. Cokolwiek posiadał stawało się wnet własnością ubogich. Jedna z jego opiekunek zakradała się do pokoju w czasie jego niebytności, by go uprzętnąć i łóżko mu posłać. Pewnego poranku zastała materace powyrzucane z łóżka: domyśliła się nowej pokuty Świętego, łzami się zalała, i pokładła wszystko na swoje miejsce. Powtarzało się to samo dni kilka, aż wreszcie ksiądz Vianney ubił spór, oddając swe materace i poduszki ubogiemu. Pozostała sama słoma w łóżku; aż i na tój było mu za wygodnie, kładł się na deskach. Wkrótce i tego było mało dla jego żądzy umartwienia: porzucił pokój sypialny i kładł się na kamieniu, na poddaszu plebanii. Dowiedziano się o tem w ten sposób:

Proboszcz, mając dużo włoskich orzechów dokoła kościoła, umyślił wyciskać z nich olej na światło przed Najświętszy Sakrament. W tym celu zapraszał sobie do roboty w czasie zimowych wieczorów liczną gromadkę, której uprzejmem słowem i ujmującym opowiadaniem wynagradzał za pracę. — Razu jednego posmutniała cała ta rzesza robotników, gdy im Proboszcz oznajmił, że się czuje zanadto strudzony i musi udać się na spoczynek. — Po chwili narady, wysłano do niego posła dla przekonania się, czy mu czego nie potrzeba. Ale poseł na próżno do drzwi jego puka; zatrwożona gromadka przypuszczeniem nagłej śmierci, przemocą wdiera się do pokoju, atoli nie zastaje nikogo: łóżko nietknięte. Szuka go po całym domu, i dopiero zaszedłszy na poddasze, słyszy wołanie Proboszcza: „Dajcie pokój, nie wchódźcie, mnie nic nie potrzeba!“ Ustano więc w dalszem śledztwie; ale wypadek

ten mocno podrażnił ciekawość jednej dziewczynki, także onego wieczora przy orzechach zajętej. Ponieważ mieszkała w sąsiednim domu, z którego mogła podpatrywać ks. Vianney, wstawała w nocy na czaty i wkrótce doszła tej pewności, że każdą noc spędzał na poddaszu, a nadto słyszała, jak co rano posuwał coś tak ciężkiego, że to nie mogło być nic innego, jak kamień, który kładł pod głowę.

Ksiądz Vianney z niezmiernem wzruszeniem wyczytał w żywocie św. Franciszki Rzymianki, że jadła czarny i wyschły chleb, który zabierała żebrakom, dając im swój w zamian.

W pierwszych więc latach swego kapłaństwa wykupywał od żebraków wszystek chleb, jaki mieli w torbie i składał go sobie w koszyku. Wstrętny był sam jego pozór, lecz święty kapłan jadł go z rozkoszą, bo mu był zaprawny umartwieniem, ubóstwem i miłością chrześcijańską.

Ks. Renard opisuje w swoich wspomnieniach, że ekliwemu się robiło, gdy patrzył na to, jak ksiądz Vianney raczył się tą biesiadą królewską, na co Proboszcz, śmiejąc się częstował go tym chlebem i mówił: „Cieszmy się mój drogi, gdy nam dano jeść chleb ubogich, bo oni są przyjaciółmi Chrystusa. Mam uczucie, jak gdybym do Jego stołu zasiadał!“

Kilka jałowych perek dopełniało jego pożywienie, a i na tych mu nieraz zbywało: nieraz widywano go, jak z garneczkiem obchodził parafian, żebrząc dla siebie na tygodniowy zapas. Perki kazał sobie od razu ugotować, i spożywał je przez cały tydzień, póki ich w garneczku starczyło. Nieraz pleśń już osadzała się na nich: nie zważając na to, zjadał ze dwie perki, wypijał kubek wody, i to była cała jego wieczerza.

Biorąc dosłownie upomnienie Chrystusa Pana, aby się o jutro nie troszczyć, do tyła o jutrze nigdy sam dla siebie nie myślał, jak gdyby go nie miał wcale dożyć. Wszystko zdawał na Opatrzność Bożą. Nigdy myśl o osobistych potrzebach nie ograniczała jego dobroczynności. Cokolwiekbądź dostał na własne utrzymanie, bez zwłoki oddawał ubogim.

Zdaje się, że zasadą jego życia było wyniszczenie sa-

mego siebie całkowite i zupełne. Już wówczas, niekiedy tak jak później, gdy już lata go pochyliły, włókł się raczej, niż szedł, chwytając się ściany i ławek w kościele swoim. Po długich postach, gdy już głód mu bardzo dokuczył, brał trochę mąki, którą zaczął samą wodą, i piekł sobie placek na popiele.

„Jakżeż byłem szczęśliwy z początku! — mawiał nieraz do Katarzyny, nie miałem tylu ludzi na głowie; byłem sam. Gdym chciał zjeść obiad, nie tracąc czasu, upiekłem sobie trzy placki na popiele: jedząc pierwszy, piekłem drugi; pożywałem drugi, gdy trzeci się dopiekał; i kończyłem jedzenie, poprawiając w piecu; na to wypilem trochę wody i miałem tego dosyć na dwa lub trzy dni.“

Gdy chciał wielką łaskę jaką uprosić, jak nawrócenie jakiego wielkiego grzesznika; gdy chciał jaką zmianę zabienną zaprowadzić w swojej parafii, lub wynagrodzić Bogu za przestępcę jakiego, nieraz nie nie jadał przez kilka dni.

Pytano go raz o radę, jaką zadawać pokutę wielkim grzesznikom, aby ich wielkością jej nie zrażać, a iżby jednak była odpowiednia ciężkości ich grzechów. „Powieć wam mój sposób na to, odpowiedział. Zadaję im małą pokutę, a resztę sam za nich odprawiam.“

W poście widział potężny sposób, jak najłacniej przebłagać sprawiedliwość Bożą a pokonać szatana. „Szatan, mawiał, drwi sobie z dyscypliny i innych narzędzi pokuty; a choć i nie drwi, nie bardzo się o nie troszczy i umie się jeszcze pobratać z tymi, co ich używają. Ale co jego szyki miesza? to post i czuwanie. Niczego innego się tak nie boi, jak tych dwu rzeczy, a nie nad nie Bogu miłszego. Wieleż ja razy doświadczyłem tego na sobie, gdy przez pięć czy sześć lat będąc sam, mogłem dowoli iść za pociąganiem duszy, nie zwracając niczyjej uwagi! O! co łask mi wówczas Pan udzielał! Otrzymywałem od Niego wszystko, co tylko chciałem.

Kiedyś ksiądz pewien zapytał go: „Mówiono mi, że Proboszcz łatwo obywa się bez jadała i cały tydzień? — „O nie, mój przyjacielu, — odpowiedział z prostotą, — co najwyżej, mogłem tydzień cały przepędzić o trójrazowym posiłku.“

Przy innych okolicznościach przyznawał, że się wstrzymywał od pokarmu przez cały dzień, czasami przez czterdzieści ośm godzin. Ale, jak sam powiadał, z wielkiego osłabienia musiał nieraz posilić się w nocy, aby nie umrzeć z głodu.

Sprawdzono, że w czasie Wielkiego Postu nie zjadł dwu funtów chleba. Raz nawet pokusił się żywić trawą. Opiekunka jego domu Klaudyna Renard zdybała go, gdy całą garść trawy kładł do ust. Później wyznał swojemu wikaryuszowi: „Widać, że inaczej jesteśmy stworzeni jak bydłeta. Chciałem kiedyś, jak one żyć trawą, ale zupełnie z sił opadł. Widocznie chleb potrzebny jest człowiekowi.“

Raz, gdy go namawiano, aby jadł dla utrzymania sił swoich, odparł: „Chrystus Pan powiedział: »Mój pokarm jest, czynić wolę Ojca mojego niebieskiego.« Zresztą cielecko moje twarde, wytrzymam wiele. Byle co zjem i prześpię ze dwie godziny, a mogę znów pracować. Wszak i koń, byle mu dać coś obroku, kłusuje dalej, jak gdyby nigdy nic; a koń nawet nigdy się nie kładzie.“

Zdarzało się przecież, że był tak osłabiony, iż sam to uznawał: „Czasami mówić już nie mogę, szczególnie o siódmej z rana i o siódmej na wieczór; ale gdy trzeba mówić o Bogu, siły wracają.“

Głównie przy wieczornym pacierzu widoczne było jego osłabienie; odmawiał go głosem tak cichym, że go zaledwie można było dosłyszeć. Gdy go pytano, czem się dzieje, że każe tak głośno, a modli się tak cichuteńko, odpowiedział: „Gdy każę, mówię często do głuchych i śpiących, a gdy się modlę, mówię do Boga, który głuchy nie jest.“

Panna d'Ars niepokoiła się bardzo surowością życia swego kochanego Proboszcza, błagała go, aby sobie pofolgował; wreszcie groziła, że go przed władzą jego duchowną oskarży. Ale i przełożeni lękali się o jego zdrowie. Wikaryusz generalny dyecezyi, osobisty przyjaciel księdza Balley, dobroczyńcy naszego Proboszcza, kazał go raz przez jednego księdza pozdrowić i polecić mu, żeby się żywił lepiej, że przecież nieba nie zdobywa się głodem.



Ksiądz Vianney podziękował za życzliwość, ale sposobu życia nie odmienił.

Jedynie z miłości chrześcijańskiej łagodził nieco surowość swych zwyczajów, gdy mu przyszło ugościć jakiego księdza. W tych razach udawał się do panny d'Arś, która mu przyzwoity posyłała obiad. A jeśli gość w obiadową przybywał godzinę, a więc za późno, żeby posłać do pałacu, Klaudyna Renard przyspasabiiała jedzenie skromne, ale wystawne w porównaniu ze zwyczajnymi obiadami ks. Vianney.

Sędziwy jeden kapłan w te słowa opisał przyjęcie jego: „Ksiądz Vianney z uprzejmością kazał nam podać obiad, niewiem, gdzie przyrządzony, bo w jego kuchni nigdy ognia niema. Składał się on z omletu, kawałka sera i butelki zwyczajnego wina; może i z polewki, czego już nie pamiętam. Ale się w ten dzień nie czuło potrzeb ciała! byłem zanadto przejęty Proboszczem z Ars. Chcąc nas ugościć, jadł z wszystkiego jednym zębem... Ale ogniście jego słowa i łzy miłości płynęły potokiem przez cały czas obiadu. Czasami wstawał i mówił z takim zapałem o sprawach Bożych, jak człowiek całkiem w Bogu zatopiony.“

Również łagodził surowość swych umartwień, gdy go rodzina odwiedzała. Wtedy siadał do stołu, co mu się zazwyczaj nigdy nie zdarzało; sam rozdzielał porce, nalewał wino, zachęcał do jedzenia i sam jadł bez przymusu. Wypytywał ich o dawnych znajomych, wyrażał się o nich z życzliwością i rad wspominał czasy młodości swojej.

Dwie kobiety, które mu dostarczały wszystkich potrzeb domowych, domawiały mu się, potrosze z ciekawości, aby za wszystkie ich usługi zaprosił je też do stołu. Ot pewnego wieczora, gdy nabierał sobie spory zapas chleba od żebraków, zaprosił je na wieczerzę! „Siadajcie, siadajcie, — wołał do wchodzących, — uraczymy się wspólnie. Otóż chleb ubogich, przyjaciół Pana Jezusa, otóż i woda wyborna Pana Boga, najemy się, napijemy: toż dość będzie dla ciała. A dla duszy co? przeczytamy sobie żywot którego z tych Świętych, co się tak umartwiali.“ — Błogosławiąc zaś chleb podawał każdój po kawałku. Zmię-

szane kobiety, rade nie rade, jadły chleb żebraków przez grzeszność dla Proboszcza.

Scena ta przypomina ustęp z życia św. Franciszka z Asyżu. Święta Klara, którą często odwiedzał, udziela-  
jąc jej świętych nauk, prosiła go bardzo, aby jej kiedy  
pozwoił jeść przy jednym z nim stole. Odmawiał jej  
długo tej niewinnój przyjemności, aż wreszcie towarzysze  
jego przedstawili mu, że podobna surowość nie odpowiada  
miłości Bożej, i że tak świętej a Bogu miłej dziewicy nie  
powinien takiej drobnostki odmawiać. „Skoro tak sądzi-  
cie, — odpowiedział im Ojciec, — toć się z wami godzę.  
Ale ku jej większej radości, niechże ta uczta wyprawiona  
będzie u Najśw. Panny Anielskiej, gdzie złożyła śluby za-  
konne; tam uczestniczyć jej będziemy w imię Boże.“

W oznaczonym dniu święty Franciszek kazał podać  
jedzenie na ziemi, jak to było jego zwyczajem, i wraz z  
świętą Klarą, jej towarzyszką i swoim towarzyszem zasie-  
dli. Na pierwsze danie zaczął Święty mówić o Bogu tak  
wzniośle, tak cudownie, że łaska Boża na nich obficie  
spłynęła i wszyscy w zachwyty wpadli. Po dłuższej chwili,  
gdy oprzytomnieli, tak byli i na ciele pokrzepieni tym po-  
karmem duchownym, że już o innym nie pomyśleli wcale,  
i tak się skończyła ta uczta, z której św. Klara wielce  
była uszczęśliwiona.

Ksiądz Vianney tak mało troszczył się o potrzeby  
życia dla siebie, że nieraz byłby mógł z głodu umrzeć,  
gdyby nie cudowna Opatrzność Boża. Nikogo nie miał  
do usługi, a pomimo to znalazła się zawsze pobożna jaka  
niewiasta, która z radością radziła o jego kuchni i bieli-  
źnie. — Szczęśliwe, jeśli zechciał przyjąć potrawy, jakie  
mu przygotowały. Ale ta ich radość, nieraz w smutek  
się obracała, gdy Proboszcz, zamiast sam się posilić, za-  
bierał potrawę przyrządzoną i oddawał ją ubogiemu. Nie-  
raz cały półmisek zabierał i biegł z nim do chorego. —  
Po większej części ukrywał się z swą jałmużną, chował  
ją pod rewerendę; a gdy od razu nie mógł znaleźć ubo-  
giego, którego chciał obdarzyć, składał swój dar gdzie  
w kącie i po całej wsi biegał, szukając jakiego „z przy-  
jaciół Jezusa.“

Najchętniej zanosił obiady swoje biednej niewidomój

dla tego, że nie widziała, kto jej jałmużnę składa. Zbliżył się do niej po cichuteńku, i złożywszy dar swój na kolana, uciekał, śmiejąc się serdecznie, gdy ona, biorąc go za sąsiadkę, wołała za nim: „Bóg ci zapłać pocziwoto, serce moje.“ Nie dość mu było zanosić jej swe obiady, płacił za nią komorne i na inne jej potrzeby łożył.

Wiele osób, znając jego skłonność do dawania jałmużny, obiecywało mu pieniądze dla ubogich pod warunkiem, że lepiej się będzie żywił. Raz rzeczywiście zjadł kawałek kurczęcia za dziesięć franków: ale też tylko ten jeden raz poszedł na lep obietnic.

Często wracał z kościoła tak znużony i osłabiony postem, że nogi się pod nim chwiały. Cieszył się naówczas, jak gdyby go wielkie szczęście spotykało. Śmiał się z siebie serdecznie i żartował ze starego Adama swego, jak nazywał ciało swoje. „Nuże stój prosto biedny Kolonie (Colon), mawiał do siebie, przymierzając się do nałogowego pijaka tego imienia, który podobnież upominał się, gdy już nie mógł na nogach się utrzymać.

Razu jednego tak zesłabł w konfesyonale, że zebrawszy wszystkie swe siły, zaledwie dowlókl się do Opatrzności prosić o kolońską wodę. Był śmiertelnie blady, a pomimo to jakieś wewnętrzne wesele oblewało twarz jego; — zdawało się, jakoby z wielkiego wracał zwyciężkiego boju. Śmiał się z siebie, i oprócz kolońskiej wody nie przyjąwszy, zaledwo lepiej mu się zrobiło, podążył na katechizm do dzieci.

Po skończonej lekcyi z dziećmi, zastawiał na ognisku swój garnczek mleka rozmąconego z czekoladą, które zabierał z sobą na plebania, niosąc je przez ulicę, jak lada żebrak.

Pewien ksiądz młody, przybywszy do Ars z ciekawości, spotkał go, niosącego ten osobliwy obiad. Czy Ksiądz jest Proboszczem z Ars, o którym wszyscy mówią? — zapytał go. — A tak, to ja jestem tym biednym Proboszczem z Ars, — odpowiedział. — A tego już za wiele, pomruknął sobie zdumiony ksiądz. Myślałem, że zastanę kapłana poważnego, z dobrem wzięciem, a to mi sobie jakieś proboszczysko, bez poczucia godności swojej, je z garnka

na ulicy, jak ostatni żebrak! to chyba chciano mię w polewywieść.

Słowa te powtórzono Świętemu, który się niemi bardzo ubawił; opowiadając nieraz o tem wydarzeniu, dodawał: „To się biedak zawiódł, myślał coś ciekawego zobaczyć w Ars i nie zobaczył.“

Dodać nam należy, że młody ów ksiądz, przy powtórnem widzeniu się z Proboszczem uległ równie jak inni urokowi jego uprzejmej rozmowy, i powziąwszy do niego zaufanie, odprawił rekolekcyę w Ars i zachwycony wrócił do domu.

Tak to ksiądz Vianney uświęcił się w najwyższej kontemplacyi i w praktyce pokuty najsurowszej, za przykładem Bożkiego swego Mistrza, i tych wielkich mężów, jakimi się szczyła pierwsze wieki chrześcijaństwa, z owego czasu, gdy Kościół święty, ona Oblubienica Chrystusowa świeżo wyszła z ran Zbawiciela, cała Krwią najświętszą zlaną, rodziła Oblubieńcowi swemu te niezliczone zastępy Apostołów, Męczenników i Wyznawców. — Tak nasz Święty zaczął spełniać pierwszy warunek stawiony uczniom Chrystusowym, zaparł się sam siebie, zamierał sobie, aby mógł powtórzyć za Apostołem: „Żyję już nie ja, lecz żyje we Chrystus.“

Do tego zamarcia sobie doszedł przez to, że nie szczenił siebie w niczem, przykładając ostrze żelaza do wszelkich uczuć i pożądań ziemskich, nieustannie krzyżując siebie z pożądliwościami swymi.

Śmierć taka dla natury przykra, ale za to jakie odrodzenie błogie, szczęśliwe!

Dusza, nieżyjąca już sobie, żyjąca w Bogu, przechodzi z poziomu, w którym tak ciemno i duszno nieraz, gdzie senne i tęskne wlokło się życie, przechodzi do krainy światła, czystych i świeżych uczuć, otrząsa się z nędzy ducha własnego, przerywa ono jednostajne kołowanie myśli biednej około pożytku osobistego, wybiega po za ciasne granice osobistego widnokągu, który im dalej w lata przechodzi, tem więcej nam się ścieśnia, i swobodnie rzuca się w bezmiar nieskończoności!.... Do takiego stanu doszła była dusza ks. Vianney w czasie, do którego doprowadziliśmy nasz opis. Zwyciężywszy w sobie wszelkie po-

ruszenia miłości własnej, nie miał już przeszkody więcej, by pójść za natchnieniem Ducha św. Wszakżeż on już pozrywał wszelkie więzy, jakie do ziemi przykuwały serce; więc pozrywał wszystko, co mu było zawadą w oddaniu się wyłącznem Najwyższemu Dobru. Wola jego rozplywała się w woli Bożej; jego poglądy, dążenia, pragnienia i przywiązania były co się zowie, zbożne, tj. w Boga myśl i wolą przemienione; serce jego miłością Bożą rozszerzone, obejmowało świat cały w braterskim uścisku. I niczego już nie pragnął, krom Królestwa Bożego na ziemi, uświęcenia dusz, ażeby wola Ojca święciła się jako w niebie tak i na ziemi. Mógł słusznie powiedzieć za Pawłem ś.: „Żyje we mnie Chrystus.“<sup>1)</sup>

---

<sup>1)</sup> Do Filip. V, 21.

## ROZDZIAŁ II.

### Ks. Vianney trapiiony przez szatanów.

„I rzekł Pan do szatana: A przypatrzysz się słudze memu Jobowi, że mu nie masz podobnego na ziemi, mąż szczerzy i prosty a bojący się Boga, i odstępujący od złego, a jeszcze zachowujący niewinność? A tyś mię pobudził przeciwko jemu? żebym go trapił bez przyczyny. Oto w ręce twojej jest a wszakoż zachowaj duszę jego.“  
(*Job II, 3*).

„Szatan pokonany gdy karcim ciało nasze; skoro cierpimy dla sprawiedliwości, on w walce jeńcem; a kaźń spada na niego, kiedy złość przeciwko nam knuje.“  
(*Hom. św. Chryzost. 25 list 2 do Korynt.*)

„Wzywając nieustannie Ciebie, o Chryste, Królu miłosierny! sprawiedliwy ten zdeptał zasadzki szatańskie.“  
(*Brev. Rom. Hym. Conf.*).

Bossuet w swęj Mowie o czartach wyraził się trafnie, że zyskiem dla ducha jest wszelkie udręczenie ciała. „Post wzmacnia i karmi duszę; i im więcej ciało umartwione pokutą, tem słabsze siły nieprzyjaciela naszego. Nic tak bardzo szatana nie rozwściekla, jak pokuta nasza; bo go zawieść pali. Widzi, że choć niżsi od niego według natury, przez łaskę nadeń górujemy; niemoże znieść tego, żebyśmy, cośmy podlegli śmierci, za łaską Bożą dostąpić mieli czystości szczerych duchów niebieskich.“<sup>1)</sup>

Życie ks. Vianney w sposób widoczny potwierdza tę naukę; bo zdaje się, że im więcej zwycięztw nad czartem

---

<sup>1)</sup> Bossuet, Kazania o szatanach, na pierwszą niedzielę Postu.

odnosił, tem więcęj go przeciw sobie rozjątrzał. Tak też pisze Tertulian: „Zwyciężając go, nie łamiesz jego zuchwalości, raczëj zapalasz jego wściekłość.“ Pyszny ten duch, który pokusił się dorównać Bogu, nie wierzy nigdy, aby nędzne stworzenie mogło mu się oprzeć; i otóż im więcęj mężna dusza usiłuje ująć jego władzy, tem straszliwsze sidła pod stopy jëj kładzie. Przeto że Boga samego dosięgnąć nie może, całą swą złość piekielną wywiera na obraz Jego, na człowieka.

Ztąd ta zacięta walka nieustanna świętych przeciw czartom: piekielne potęgi, co jedynie narzędziem są Opatrzności, poniewolnie przyczyniają się do udoskonalenia wybranych Bożych, kiedy każda pokusa przysparza wieńców zwycięstwa i zasługi i chwały.

Może uśmiech litości wywoła opowieść moja u niejednego czytelnika, któremu dzieciństwem zda się wierzyć, że czart jest. Ależ wierni chrześciance wdzięczni mi będą za to, że nie ulegnę względom światowym i śmiało prawdę wypowiem.

Zresztą co się działo przed niedawnemi laty, to już świadczy o istnieniu i sprawach szatana w sposób widoczny, prawie dotykalny, jakkolwiek przerażający... Wszakżeżto w naszych oczach wywoływano objawy potęgi duchów ciemności za pomocą tyle rozpowszechnionych stolików i innych narzędzi<sup>1)</sup>. Któż może zaprzeczyć, że tu działały wyższe potęgi, potęgi złości? a czyż działanie ich może inny mieć cel nad zepsowanie dusz ludzkich?

<sup>1)</sup> Zobacz książkę p. de Mirville: *Des esprits et de leurs manifestations fluidiques*, albo dzieło p. des Mousseaux: *La Magie au XIX siècle, ses agents, ses vérités ses mensonges*.

Magia, mesmeryzm, magnetyzm, spirytyzm itd. powiedział p. Ventura, to poprostu biesów sprawa (szatanizm).

Ks. Bouvier zaś w okólniku z 14 lutego 1854 r. pisał, że z początku, zjawiska przypisywane wirującym stołom zdały mu się tak głupie, iż im wcale wiary nie dawał; ale że później przekonał się o nich tak dowodnie, iż chyba o wszystkim zwątpić musiał, gdyby ich rzeczywistości miał przeczyć; że to, co się przez one stoliki działo, widocznie działo się siłą wyższą nad tę, która jest i może być w materji; że te zjawiska przez to samo, iż noszą na sobie piętno duchowe, okazują szatańskie swe pochodzenie, gdyż niegodne są



Sześć lat Proboszcz z Ars rządził swoją parafią, gdy po otwarciu Przytułku dla sierót, pierwszy raz zaczął dziwny hałas przerywać mu sen i nocną ciszę na plebanii. Sam w ten sposób o tem opowiadał: „Była dziesiąta godzina; właśnie kładłem się do łóżka, gdy po raz pierwszy czart począł mnie dręczyć. Najpierw po trzy razy uderzył tak silnie w bramę podwórza, jak gdyby kto chciał ją wielkim toporem rozrąbać. Otworzyłem okno, zapytałem: »kto tam?« a, niewidząc nikogo, spokojnie się położyłem, poleciwszy się Bogu, Najśw. Pannie i Aniołowi Stróżowi. Zaledwo zasnąłem, gdy znów uderzył we drzwi mego domu tak silnie, że m zadrżał cały. Wstałem, otworzyłem okno i znów zapytałem: »kto tam?« Nikt nie odpowiedział. Przyszło mi na myśl, że to może złodzieje zakradają się na bogate aparata, które hrabia d'Ars był sprawił, więc uprosiłem sobie dwu odważnych ludzi, aby nocowali na plebanii i w razie potrzeby pomogli mi odstraszyć złodziei. Spędzili ze mną kilka nocy, słyszeli hałas, ale niespostrzegłszy nikogo wynieśli przekonanie, że w tem nie była sprawa ludzi niegodziwych. I jam się wkrótce o tem przekonał, gdy zimową porą znów trzy silne uderzenia rozległy się wśród nocnej ciszy. Coprędzej wyskoczyłem z łóżka, i żeby pochwycić złoczyńcę, oknem spuściłem się na podwórze; tym-

Boga, niegodne aniołów; że sprawcą ich jest ów Wielki kusiciel świata i niezliczone zastępy jego.

Wreszcie jest księga, której nikt, kto jeszcze nie zaparł się wiary, odmówić powagi w tych sprawach nie może, to Rytułał rzymski, najpoważniejszy organ nieskażonej nauki prawdziwej, najwiarogodniejszy pomnik podania apostolskiego. Tu, nie tylko uznane na każdej stronnicy istnienie szatanów, ale i wyliczone ich podstępny, ich kręte wybiegi, i straszliwe najazdy przeciw ludziom.

Przy egzorcyzmie wody powiedziano tam: „Panie, wodzie, co służy do tajemnic Twoich. daj moc wypędzania szatanów!... Gdziekolwiek padnie, niechaj ucieka duch nieczysty, niech wszelki wybryk, wszelki podstęp, wszelka złość piekielna pierzeha!..

W W. Sobotę w Prefacyi jaką Kościół śpiewa przy święceniu wody, wymienione są różne działania złego ducha: „niech złość dyabelskiego podstępu znika bez śladu“, tota nequitia diabolice fraudis absistat; niech w tej wodzie nie zostaje żadna moc nieprzyjacielska: nihil hic loci habeat contra ricoe virtutis admixtio...

czasem nietylko nikogom nie spostrzegł, ale i śladu stopy ludzkiej nie było na śniegu... Naonczas nie wątpiłem już, że to czart chciał mnie straszyć. Zdałem się na wolę Boga, prosząc, aby On mi był obrońcą i stróżem, i aby był mi ku pomocy z Aniołami Swymi, gdy duch przeklęty znów przyjdzie mnie dręczyć.“

Z początku, gdy nieznaną jeszcze był powód tego tajemniczego hasła, powtarzającego się co noc przez kilka godzin, ks. Vianney umierał ze strachu. Wszystkie nerwy się w nim kurczyły; szczekotał zębami, jak w największej febrze: krew mu w żyłach prawie się ścinała i wszystkie członki sztywniały. Tak silne wrażenia i noce bezsenne oddziaływały bardzo szkodliwie na jego zdrowie, chudł i nikał w oczach. Kilku młodych ludzi litując się nad nim, ofiarowało mu się spać w sąsiednim pokoju, a inni stanęli na czatach przy dzwonnicy, aby od wszelkiego napastnika obronić plebanią.

Samiż strażnicy nieraz okropnie się wystraszyli. Jeden z nich zasiadł z fuzją w rękę w jednej z izb plebani, gdy w tem, z uderzeniem dwunastej godziny z północy, tak straszliwy hałas powstał, że mu się zdawało, jakoby wszystkie sprzęty roztrzaskiwały się pod jakimiś potężnymi ciosami. Przetrząsnięto wszystkie kąty, wszystko daremnie.

Gdy się Proboszcz przekonał, że w tych objawach nadziemska jest siła, odprawił wszystkich stróżów, postanowił sam znosić ten hałas, mniej się już nim trwożył a z czasem wcale się z nim oswoił.

Opowiadał, że przed tą walką zewnętrzną, przeszedł wewnętrzną, niemniej dręczącą i okropną. Widział nieustannie piekło roztwarte pod stopami swymi i miejsce dla siebie tam przeznaczone. Obawa przed potępieniem dręczyła go dniem i nocą. Po tej strasznej walce łatwiej znieść mu było tę zewnętrzną. Ale jakiejże siły ducha, jakiej wytrwałości było mu na to potrzeba!... Męczeństwo to trwało bowiem nie kilka nocy ani kilka tygodni, lecz przez trzydzieści pięć lat, z różnymi odmianami, ale bez przerwy.

Zazwyczaj o północy trzy potężne uderzenia w bramę oznajmiały Proboszczowi obecność wroga; następnie ude-

rzenia te powtarzały się kolejno u wszystkich drzwi; czart wchodził do sypialni, chwycił się firanek nad łóżkiem, trząsł niemi tak wściekle, jak gdyby je chciał pozrywać... Biedny Ksiądz myślał nieraz, że ani szmat z nich nie pozostanie, aliści rano ni śladu nie było po tój okropnej burzy.

Czasami zły duch udawał zwykłe pukanie do drzwi, wchodził do pokoju, nie otwierając wcale i zaczynał swą gospodarkę: jednego krzesła nie pominął, wszystkie poruszył, przewrócił, szyderczym głosem wywołując: Vianney! Vianney! Ty zjadaczu truflii. Już my cię zdobędziemy! Będziesz nasz! już cię mamy!... Inną razą rżał na podwórzu i po długich wywoływaniach i wyzwiskach, odchodził z tententem jakoby całego szwadronu nacierającej jazdy, albo z wraskiem jakoby wojska, lecącego do ataku. To znów gwoździe w podłogę wbijał, straszliwym tłukąc młotem, to heblował deski, pilował, jak gdyby cieśla w najlepsze rozłożył się z robotą. To znów świdrował całą noc, tak że zdawało się ks. Vianney, iż z rana zastanie sufit swój cały podziurawiony; czasami jakoby na bębnie wybijał marsze na stole, na kominie, na garnku, wybierając najchętniej przedmioty wydające lepszy odgłos.

Nieraz słyszał Proboszcz na sali pod swoim pokojem jak gdyby rozhukany koń rozbijał się o ściany, jakoby się wspinał aż pod powalę i spadał ciężko na ziemię wszystkimi czterema kopyty. To znów słyszał jakoby żandarm pałaszem i ostrogami uderzał i dzwonił o kamienne wschody. Albo cała trzoda owiec beczała mu całą noc po nad głową, że i oka nie zmrużył. Razu jednego, gdy mu szatan bardzo dokuczył, ks. Vianney zaczął się modlić w te słowa: „O mój Boże, chętnie Ci ofiaruję te kilka godzin spoczynku za nawrócenie grzeszników.“ Zaledwo słów tych domówił, ustała piekielna wrzawa i biedny Proboszcz mógł zasnąć na chwilę.

Przez kilka nocy z rzędu słyszał takie krzyki i pogroźki na podwórzu, że drżał z przestachu. Była to wrzawa jakoby kłótnia i swar tak wielu języków obcych, że mu na pamięć przyszedł świeży najazd różnojęzycznej armii austriackiej; na chwilę zdawało mu się, że biesy sejm u niego odbywali. Łatwo sobie wystawić, jak wieść

stugębna o tych zjawiskach obiegała całą okolicę i dalej, i jak różne o tem wydawano sądy. Ani przypuścić podobna żeby ks. Vianney sam się mylił, lub żeby chciał kogo w błąd uwieść, on, któryby wolał raczej życie oddać niż skłamać. Snowidzem ani łatwowiernym nie był; a posiadał wszelkie przymioty dobrego świadka, sąd trzeźwy, oczy i słuch doskonale. Zjawiska, o których mowa, powtarzały się nie dziesięć razy, lecz tysiąckrotnie przez przeszło trzydzieści lat, przez niegoż samego bardzo często potwierdzone, bo chętnie o nich opowiadał.

Katarzyna Lassagne opisywała wiernie te jego poufne zwierzenia: podajemy niektóre z nich dosłownie z notatek jej odpisane.

„Ks. Proboszcz powtórzył nam kilka razy w tych dniach: »Niewiem, czy to szczury, czy to Grappin, — tak zwykł był złego ducha nazywać, — ale całą trzodą przychodzą na poddasze i aż na moje łóżko schodzą jakby stado owiec. Spać mi nie dają, nieraz biorę kij i uderzam w podłogę, aby je uciszyć, ale to im wcale nie przeszkadza.«“

Dalej znów: „Dziś w nocy, gdym już zasypiał, mój (hak) Grappin zaczął tak hałasować, jak gdyby kto żelaznemi obręczami beczkę obijał.“

„Dnia 2 lipca 1825 r. Ks. Proboszcz powiedział nam: »Niewiem czy to szczury piszczą, czy śpiewają, ale coś mi ciągle śpiewa w pokoju; skrobie mi się na łóżko a śpiewa.«“

„Dnia 18 sierpnia. Ks. Proboszcz powiedział nam wczoraj, że mu biś jak słowik śpiewa w kominie.“

Zdumiewające to podobieństwo wypadków z zjawiskami opisanymi w historii mistyki dyabelskiej uczonego Görresa. Ciekawe szczególnież zestawienie naszego opowiadania z XXI i XXII rozdziałem V księgi, gdzie mowa o duchu, który do drzwi skrobał, śpiewał w kominie, cisnął się do łóżka lub pod poszewkę od poduszki, naśladował skrzek, pisk dzikich zwierząt itp. Ale przytaczamy jeszcze z zapisków Katarzyny.

„W październiku. Ks. Proboszcz kazał nam rozszerzyć swój siennik, bo go biś z łóżka wyrzuca. »Niewiedziałem go, — dodał, — ale mnie pochwycił kilka razy i z łóżka mnie wyrzucił.«“

„Dnia 18 października. Ks. Proboszcz powiedział nam wczoraj, że biés chciał go zabić.“

„Raz na wieczór przyszedł do nas odwiedzić chorego i powiedział mi: „Lubisz wiadomości, więc ci opowiem najświeższą; posłuchaj, co mi cię stało dziś z rana. „Coś — ty wiesz co, leżało u mnie na stole; — (mówił tu o dyscyplinie, którą niegdyś Katarzyna odkryła pod jego łóżkiem, bez jego przecież wiedzy). — Nagle zaczęła się wic na stole jak wąż!... Złakłem się trochę; ale wiesz, jest tam sznur na końcu; skoro ją znów położyłem na stół, zaczęła się poruszać, i to aż do trzech razy. — Może ks. Proboszcz poruszyłeś stołem, — zauważyła jedna z obecnych nauczycielek. — Nie, — odparł Proboszcz, — nie dotknąłem się go.“

Pomimo tych jasnych i wiarogodnych świadectw samego Proboszcza, wielu wierzyć mu nie chciało. Szczególniej księży odmawiali wiary tym opowiadaniom, księży, których mylnie ludzie uważają za łatwowiernych. Łatwowierność jest sprzecznością wiary. Nic dziwnego że ci, co nie mają tego daru Bożego, są łatwowierni; bo człowiek potrzebuje wierzyć cokolwiek bądź. Ta potrzeba tak jest silna, że człowiek woli zanadto wierzyć i wierzyć we wszystko, aniżeli w nic niewierzyć; łatwiej zbyć się rozumowi, niż wyrzec się całkiem wiary.

Kto zatem nie wierzy w Boga, łatwiej uwierzy w szatana. Ale rozum poddany Boskiej nauce wiary, w cóż wierzyć potrzebuje innego nad to, co Bóg objawił i Kościół naucza?

Spółbracia duchowni Proboszcza z Ars niebardzo byli skłonni dawać wiarę tym wszystkim sprawkom szatańskim; zjawiska, o jakich mówił, raczej naturalnym i fizycznym przypisywali przyczynom, twierdząc, że są tworem rozbujaléj wyobraźni, osłabionych postami i czuwaniem nerwów. „Gdyby ks. Vianney spał i jadł tyle, ile mu potrzeba, — mawiali oni, — gorączkowość jego uspokoiłaby się, widma przestałyby dręczyć jego umysł, i pierzechłyby od razu te wszystkie piekielne majaki.“

Tak zwykle rozumuje się, przesądając o wszystkim wedle raz powziętych przekonań. Tak cały wiek ośmnasty rozumował; i dziś wielu ludzi nie inaczej sądzi. Pojęcie

nasze o rzeczach nadziemskich tak słabe, że trudno nam uwierzyć w zjawiska wychodzące po za zwykły zakres naszych wyobrażeń. Wolimy im raczej zaprzeczyć, wolimy przypisać je chorobliwości umysłu lub poprostu oszustwu, niż zadać sobie pracę, żeby zbadać je poważnie, a tak spotkać się oko w oko z jakąś wyższą siłą niewidzialną, której pojawienie się już nas mimowoli przeraża. Radzibyśmy poznali cudowne nadprzyrodzone zjawisko, ale spotkać się z nim lękamy.

Kiedy tak wszyscy byli uprzedzeni do opowiadań Proboszcza z Ars, w r. 1826 zacny proboszcz Granger z Saint-Trivier, urządziwszy misyą w swojej parafii, zaprosił go z pomocą braterską. Ks. Vianney przez trzy tygodnie bawił na tej misyi; tedy owedy kazał i dużo spowiadał. Tu w chwilach wytchnienia często stawał się przedmiotem dowcipów i żartów zgromadzonych tam księży, którzy one biesowe sprawy mieli za urojenie. „Żyj, jak inni, — mawiali mu, — najadaj się do sytości, a pozbędziesz się tych dyabelstw.“

Jednego mianowicie wieczoru uwzięli się wszyscy na świętego, rozwodząc się szeroko, że to wszystko marzenie, gorączka, majaczenie itp. Zarzucali mu nadto, że jego plebania jest istnem śmieciem, gdzie szczury wojują dzień i noc; a on je za dyabła bierze. Biedny Proboszcz nie na te twierdzenia nie odpowiadał, ciesząc się owszem z doznanego upokorzenia. Gdy się wszyscy udali na spoczynek, nagle o północy budzi ich nawałnica tak okropna, że się zdawało, jakoby cały dom w kawalki się rozlatywał. Drzwi trzaskały, szyby w oknach trzęsły się i brzęczały, ściany się chwiały, wszystkie wiązania domu trzeszczały straszliwie. W jednej chwili wszyscy powstawali, przypominając sobie, że Proboszcz z Ars im powiedział, aby się nie dziwili, jeśli może w nocy usłyszą hałas... Biegną więc do jego pokoju: on sobie spokojnie leżał. „Wstawajże, — wołają na niego, — plebania się wali!“ — »Znane mi to rzeczy, — odparł im z uśmiechem. — Połóżcie się i bądźcie spokojni.« Wreszcie hałas ustaje, ale nienadługo, po godzinie ciszy dzwonek się porusza. Ks. Vianney wstaje i zastaje u drzwi swojego człowieka, który o kilka mil przyszedł do niego do spowiedzi. Bez zwłoki idzie do kościoła



i po Mszy świętej słucha czekającą na niego gromadę ludzi.

Jeden z obecnych temu zajściu misjonarzy, ks. Chevalon, dawny żołnierz napoleoński, postanowił sobie odtąd nigdy nie żartować z podobnych zjawisk, a o Proboszczu z Ars nabrał przekonania, że jest święty.

Nie było to nic rzadkiego, że święty Proboszcz po nocy tak straszliwej zastawał u drzwi swoich grzeszników z dalekich stron, którzy przychodzili doń po rozgrzeszenie. Owszem, zdarzało się to tak często, że aż nawykł te biesowsze psoty uważać za zapowiedź, iż Pan Bóg jakiego wielkiego grzesznika doń prowadzi. Ztąd poszło, że się nawet z tej wściekłości piekła radował, i przyjmował ją za znak zmiłowania Bożego nad duszą jaką grzechem utrapioną. Zły duch urozmaicał swe zaczepki; niezawsze hałasował w sposób opisany powyżej; często z pod łóżka Proboszcza lub z pod jego poduszki wydawał piski, jęki, żalotne westchnienia, sapania, i całą noc go niemi dręczył; niekiedy znów udawał chrapanie konającego.

„Przebiegły jest szatan, — mówił raz ks. Vianney w nauce katechizmu, — ale nie jest mocny. Już przed znakiem krzyża św. ucieka. Niedaléj jak trzy dni temu, nahałasował się nad moją głową, jak gdyby wszystkie powozy z Lyonu jeździły po moim pokoju... Wczoraj zaś cały oddział szatanów wstrząsał memi drzwiami, rozmawiali ni byto austriacy żołnierze, a jam ani słówka z ich szwargotu nie rozumiał. Przeżegnałem się i wszyscy pierzchli.“

Jednej nocy obudził się nagle, czując się w powietrze urdiesiony. „O włos nie wypadłem z łóżka, — opowiadał, — czempredź więc przeżegnałem się, a Grappin poszedł sobie.“

Innej znów nocy szatan przeobraził się w mięką i miłą poduszkę, w której się głowa biednego Proboszcza z rozkoszą zanurzała; ale równocześnie wyszedł z niej jęk żalotny. Teraz przeraził się Proboszcz na dobre, gdyż zdawało mu się, że ten złośliwy podstęp duszy jego zagraża. Wezwał Boga na pomoc, a złudzenie przepadło.

Ks. Vianney pojechał na misję do Montmerle. Szatan podążył za nim na to żniwne pole, na którym tyle dobrego święty kapłan miał zdziałać. W pierwszą noc wy-



rzucił go z łóżka i włożył dokoła pokoju, i całą noc nie dał mu oka zmrzyć. Nazajutrz, gdy był otoczony tłumem penitentów, konfesyonałem jego wstrząsał, jak łodzią miotającą morskie bałwany.

Nieraz opowiadał o tem zdarzeniu ks. Toccanier, ówczesnemu wikaryuszowi z Montmerle a późniejszemu swemu towarzyszkowi i przyjacielowi. „Miłe ja miałem spotkanie z Grappinem, — mawiał, — gdym raz u was misyą odprawiał. W nocy bawił się obwożeniem mnie po pokoju w łóżku na kółkach.“

Wyżej wspomniane zjawiska okazują, że szatani igrzyska sobie wyprawiają. Zjawiska ich, jak pisze uczony Görres są nieraz osobliwe, dziwaczne, a niekiedy zakrawają na pustotę. Zdawałoby się, że ich to bawi, przybierać taką postawę śmieszłą i przypatrzyć się temu z bliska, jak biedni śmiertelnicy puszą się w powadze przybranęj i jak nadymają się pychą z onęj czężej oświaty, co niewierzy ale drży. Widocznie bawi ich to, żeby niejako w przystępie dobrego humoru zbliżać się do ludzi i z nich sobie podrwić. Wszelako widać, że i boją się tych, co z nimi nie żartują. Szyderstwo ma jakoweś powinowactwo z duchem złym. Komika ich jest niezmiernie przykra, i z poza tych żartów ich nieraz błysnął nam jakiś zagadkowy odblask płomienia z pożerającego ich ognia <sup>1)</sup>.

Proboszcz z Ars skarżył się, że szatan chciał go zabić. Szedł sam pieszo na misyą do St. Trivier, odmawiając koronkę: w około migotały jakieś straszne światelka, powietrze było duszące, krzewina z obu stron drogi zdawała mu się goreć w płomieniach. Oczywiście szatan, trawiony ogniem zazdrości, a widząc, wiele dusz miał Proboszcz uratować od potępienia, silił się na to, żeby go ustraszyć i zniechęcić. On przecież szedł dalej spokojny i ufny w opiekę Matki Najświętszój i Anioła Stróża, którym się nieustannie polecał, ze sprawek nieprzyjacielskich przeczuwając nowe błogosławieństwo dla swęj pracy. Jakoż się przeczucie jego sprawdziło, bo kazania jego obfitą łaskę w duszach zrodziły.

Jedno z najdziwniejszych wydarzeń, które okazuje całą

<sup>1)</sup> Mystique 2 partie liv. V c. XXIII.

szkaradę złości szatana, jest owo z obrazem Najśw. Panny. W sieni Proboszcza, na ścianie, na której i dziś znajduje się zwyczajny obraz Matki Bożkiej, był obraz Zwiastowania, który do duszy Proboszcza żywo przemawiał i rozrzewniał, przywołując mu na pamięć błogosławioną tajemnicę łaski i zmiłowania Bożego.

Grappin, (nazwijmy go nadanym mu przez świętego kapłana imieniem), codziennie obrzucał ten obraz błotem i różnemi obrzydliwościami. Obmywano go codziennie i zawsze nazajutrz zawałany zastawano. Te zniewagi zmusiły Proboszcza zdjąć obraz; działały się zaś w oczach wielu, bo wszyscy widzieli ślady ich na obrazie.

Wypadek to niezaprzewidywany, i nieraz sam Proboszcz mówił o nim publicznie; jak to sobie niezawodnie ówcześni słuchacze jego dziś jeszcze przypominają.

Nie skończylibyśmy, gdybyśmy mieli wyliczać wszystkie prześladowania, jakich nasz święty doznawał od złego ducha, i wszystkie jego z nim walki do końca życia. Sam opowiadał o nich chętnie, często nawet nie czekając pytania, wesoło opisywał ostatnie z Grappinem zajścia.

Gdy się pytano, czy go to pokutowanie nie przeraża, odpowiadał: „Nie, wiem że Grappin dokazuje i jestem spokojny. Od tak dawna mamy do czynienia ze sobą, że się już znamy: on moim towarzyszem..” Zresztą dobroć Pana Boga przewyższa złość szatana; Bóg czuwa nademną; a pod dobrą opieką jest ten, co jest pod opieką Bożą.“

Wieleż to razy w krótkich poobiednich rozmowach, gdy nam było dano z bliska świętości jego się przypatrywać, ks. Vianney wesoło nam opowiadał tym cichym i miłym swym głosem, który mi jeszcze brzmi w uszach: „Dzisiaj Grappin skrobał do mych drzwi, spać mi nie dał...“; albo „dzisiaj był zły, dobry to znak, sapał jak wół!“ Mówiąc to, naśladował go.

Pod koniec życia Proboszcza rzadsze i słabsze były te najazdy szatańskie, a w ostatnich sześciu miesiącach życia zupełnie ustąpiły. W ogóle zaś coraz to nieśmieliej czart występował, jako wróg cofający się po utracie wszelkiej nadziei zwycięstwa. W nocy przestał go dręczyć; przeszkadzał mu tylko w poobiednim spoczynku, którego Proboszcz bardzo potrzebował. To skomlał, to ryczał, to szcze-

kał pod jego drzwiami, a czasami zuchwale wykrzykiwał: »Vianney, Vianney, pójźże!« udając, że moc penitentów na niego czeka. To znów wpadał do pokoju i w twarz mu parskął; inną razą zdawało się Proboszczowi, że mu szczur jakiś po twarzy chodzi. Opowiadał nam, jak się raz zmięszał, gdy Grappin zdjął kropielniczkę ze ściany i w oczach jego zdruzgotał ją na drobne kawałki.

Zamówiona przez pewną parafią figura św. Filomeny, stała w dolnej sali plebanii, dopóki jej ks. Vianney nie poświęcił. W dzień poświęcenia powiedział do kilku osób obecnych; „Szatan wyprawiał swoje sztuczki cały czas, kiedy figura św. Filomeny tu stała... Zawadzała mu ogromnie; dokazywał jak mógł, ale na próżno.“

Po tylu dowodach i niezaprzeczonych świadectwach skłonniejsi będziemy do uwierzenia, że pożar łóżka księdza Vianney na trzy lata przed jego śmiercią był sprawką szatana <sup>1)</sup>.

Jako naoczny świadek tego wypadku, mogę go jak najdokładniej opisać; zastępowałem bowiem w owym czasie wikaryusza w Ars, który był na misją do Massigneux wyjechał, a okoliczność, że miał sposobność przypatrywać się z bliska temu świętemu życiu przez dwa miesiące, wielką mi dziś pomocą do spisania niniejszego żywota.

Było to w same ostatki: po raz pierwszy odprawiało się w Ars czterdziestogodzinne nabożeństwo. Niezliczone tłumy pobożnych zbiegły się na nie; a działanie Boże w duszach było jawniejsze i głębsze, niż kiedykolwiek. Wychoząc bardzo rano z pokoju, by pójść do kościoła, uczulem czad tak nieznośny, że o mało nie zemdlałem. Ale spieszę do kościoła, gdzie Msza św., katechizacya i spowiedź zatrzymują mnie do siódmej; wreszcie wracam na plebanją i widzę ją otoczoną zbiegowiskiem ludu rozśmieszonego czemś niezwykłym.

„Cóż to?, — zapytałem zbliżając się do gromady. — Jakto, niewie ksiądz, że Grappin podpalił dziś łóżko ks. Proboszcza?“ Wtem spostrzegam kilku ludzi wynoszących

<sup>1)</sup> Görres w swęj *Mystique diabolique* 2 p. liv. V c. XXVIII podaje kilka przykładów podobnych pożarów za sprawą szatana.

z plebanii szczątki na pół spalonego łóżka. W pokoju ks. Vianney uderzył mnie nieład i ślady świeżo gaszonego pożaru. Na ścianach popalone były wszystkie obrazy, do których miał jakieś pobożne przywiązanie, nawet kilka obrazów na szkle malowanych, o których się krótko przed tem wyraził, że „ci kochani święci są jedynym przedmiotem na ziemi, do których ma jakieś przywiązanie, i nie może przenieść tego na sobie, żeby je sprzedać, gdyż chciałby zostawić je w spuściźnie misyonarzom.“ Rzecz osobliwa, ogień zatrzymał się przed relikwiarzem św. Filomeny i zostawił jakoby prostą linią, nakreśloną z dokładnością geometry, przed którą wszystko zniszczył, a po za którą ani na włos dalej nie postąpił. Niemniej dziwna rzecz, że ogień, spaliwszy firanki do szczytu, nie zajął podłogi, choć okopcił ją i powinno by była od żaru jak słoma spłonąć. Proboszcz wszedł do mieszkania w czasie, gdy wynoszono popalone sprzęty, jakoby nie widział, co się dookoła dzieje. Minął zajętych przy tem ludzi, nie nie mówiąc. W zakrystyi potrafiłem o wypadek; machnął ręką, jako na rzecz całkiem obojętną. Dopiero po Mszy św. przy podpisywaniu obrazków, nagle sobie przerwał, i patrząc na mnie, powiedział: „Od dawna prosilem Boga o tę łaskę, i dał mi ją nareszcie... I teraz mam nadzieję że jestem najuboższym z parafii; bo wszyscy mają łóżko, a ja, Bogu dzięki, nie mam go...“ I dalej zaczął podpisywać obrazki, które mu ludzie podawali.

„Biedny księżu Proboszczu! — zawołałem z uwielbieniem, a nie z politowaniem jak on to rozumiał, gdy mi odpowiedział: »Najmniejszy grzech powszedni większem byłby nieszczęściem.«“

W południe, gdy do mnie przyszedł, mówiliśmy obszerniej o wypadku. Pytałem go się, czy i on jest tego powszechnego zdania, że ten ogień był wszczęty przez złego ducha. Odpowiedział mi na to stanowczo i rozważnie: „Toćto rzecz widoczna, mój drogi! Gdy człowieka nie mógł spalić, spalił przynajmniej jego łóżko... Jest zły, ale to dobry znak: zapewne przyjdą nam pieniądze i grzesznicy.“

Dorzucił przy tój sposobności tę piękną i głęboką myśl: „Nic tak szatana nie rozwściekła, jak kiedy widzi,

że tych pieniędzy, którymi on psuje i gubi tyle dusz, używamy na ich zbawienie.“

W rzeczy samej w ciągu tygodnia: odebrał znaczną sumę pieniędzy na misye, i przez kilka dni niezwykle był napływ pielgrzymów do Ars.

Mówił mi wtenczas o wielkiej doniosłości czterdziestogodzinnego nabożeństwa, i o radości, jaką serce pielgrzymów przejmuje widok wystawionego Najśw. Sakramentu. Gdy to mówił, pałał niezwykle gorącością, a w oczach miał pełno łez. „I to płomień, i to pożar, — wołał, — żar innego rodzaju. To żar miłości!..

Ciekawa rzecz, czy się szatan przyobleka w ciało, by dręczyć ofiarę swoją i czy jęć się na jawie pokazuje. Dwa zdarzenia odpowiadają nam na to, że tak jest. Ks. Vianney bowiem widział raz na cmentarzu o trzeciój z rana dużego czarnego psa, z iskrzącymi oczyma, z najeżonym włosiem, drapiącego ziemię w miejscu, gdzie przed kilku tygodniami pochowano człowieka, który umarł bez spowiedzi. Widok tego psa przeraził go bardzo, przeczuł w nim złego ducha, i czempędzj pospieszył do konfesyonału.

W legendzie o św. Stanisławie Kostce czytamy, że w czasie choroby, na którą zapadł skutkiem wielkich umartwień, szatan ukazywał mu się również pod postacią dużego psa, rzucającego się, aby go pożreć. Widzenie to trzykrotne młodzieniaszek święty zawsze znakiem krzyża świętego odpędzał.

Ks. Vianney opowiadał nadto, że szatan ukazał mu się pod postacią nietoperzy, których pełen był pokój; ściany od nich czerniały, i wszystkie padały na jego łóżko.

Czytelnik bezwątpienia zada sobie pytanie: czy ksiądz Vianney sam jeden słyszał te hałasy? czy także kto inny bywał świadkiem tych nadprzyrodzonych zjawisk? Owszem, przytoczyć możemy kilka takich przykładów, nie mówiąc o tych, o których już się wzmiankowało.

I tak w r. 1829, w czasie najzawziętszej walki szatana, ks. Bibost, o którym wspomnieliśmy w początku tej pracy, przybył do Ars odprawić rekolekcyę pod kierunkiem dawnego swego przewodnika, który nie szczędził mu zachęty i wskazówek w początkach życia kapłańskiego. Nalegany przez ks. Renard, przyznał, że mieszkając na ple-

banii w Ars, „słyszy co noc dzikie i przykre głosy, jak gdyby dzikich zwierząt; słyszy jak szatan targa firanki ks. Proboszcza i wywołuje go po imieniu: Vianney! Vianney! co ty tu robisz! Idź precz ztąd!...“ »To pokutowanie zapewne cię przeraża? — zapytał go dalej ksiądz Renard. — To nie! Nie jestem tchórzem, a wreszcie obecność ks. Vianney dodaje mi odwagi. Polecam się Aniołowi Stróżowi i zasypiam. Ale mi serdecznie żal biednego Proboszcza; nie chciałbym z nim zawsze mieszkać. — „Mówiłeś z nim co o tem? — Miałem wprawdzie ochotę pytać go nieraz, ale bałem się przykrość mu sprawić. Biedny Proboszcz! biedny, święty człowiek!.., Jak on może żyć w takim hałasie!“

W r. 1842 przybył do Ars brygadyer żandarmeryi, i wraz z innymi o północy czekał na Proboszcza u wrót kościoła. Gdy się Proboszcz opóźniał, człowiek ten, by przezwyciężyć senność i roztrzeźwić się, zaczął obchodzić dookoła plebanii. Smutno mu było na sercu po świeżej stracie bolesnej; dręczył go dziwny niepokój i bojaźń religijna, z której sam sobie nie umiał zdać sprawy. To uczucie pchało go w objęcia Boga; a u stóp konfesyonau jeszcze się wahał. Prawda Boża ku sobie go pociągała, ale i przerażała trwogą: Niejednej duszy znana ta walka wewnętrzna. Żeby go skłonić do kroku stanowczego, potrzeba było wcale innej potęgi nad siłę rozpamiętywań własnych, wspartą przez uroczystą ciszę nocy. I otóż Bóg daje mu i tę łaskę.

Nagle jakiś hałas wychodzący z plebanii przerywa jego rozmyślenia. Wyraźnie słyszy, jak głos szorstki i okropny po kilkakroć woła: „Vianney! Vianney! pójźże!...“ Ten głos krew w nim ścina. Ucieka do kościoła, dziwnie wzruszony. Właśnie pierwsza godzina biła na zegarze, i niebawem z latarką w ręku ukazuje się ksiądz Vianney. Zastaje żołnierza jeszcze pomięszanego i wzruszonego niezmiernie, pociesza go, wprowadza do kościoła; a zanim ten zdołał mu opowiedzieć smutne dzieje swęj duszy, zdumiony słyszy te słowa Proboszcza: „Masz zmartwienie, mój przyjacielu, żona ci umarła w połogu. Ale ufaj, Bóg ci dopomoże... Uporządkuj nasamprzód sumienie, a łatwiej ci będzie uporządkować sprawy twe doczesne.“



„Nie opierałem mu się, — mówił żandarm, — padłem na kolana jak dziecko i zacząłem mą spowiedź. Byłem tak zmieszany, że trudno mi było zebrać myśli; ale poczciwy Proboszcz dopomógł mi. Przeniknął mą duszę i wyczytał w niej takie rzeczy, o których nie wiedzieć zkądinąd nie mógł. Nie przypuszczałem nigdy, żeby tak można czytać w duszy człowieka.“

W Opatrzności, wedle zeznań Katarzyny i innych nauczycielek, słyszano w nocy jakieś chodzenie po wschodach i sypialniach. Śledzono, dociekano, ale na próżno. Przez niejakiś czas w dni postne znajdowano kawałki mięsa w zupie. Nieraz kucharka wylewała z garnka zastawioną zupę i świeżą wodą nalewała, a zawsze mięso od spodu wypływało. Dnia jednego przekonywano się o tem do trzech razy: w końcu Marya Filliat poszła z zapytaniem do Proboszcza: „Podajcie zupę, — odparł — i jedzcie ją jakby nigdy nic. To sprawka Grappina, wyśmiejcie go.“

„Tak byłyśmy przyzwyczajone do tych sprawek, — dodają te pobożne dziewczyny, — żeśmy im się już nie dziwiły. Od czasu, gdyśmy się zastósowały do rady ks. Proboszcza, mięso w garnku przestało się pojawiać; ale szatan znów inne sztuczki płatał.“

W r. 1857 pewien misyonarz z Ars, nie mogąc spać z wielkiego bólu, gdyż złożony był chorobą, słyszał mocne uderzenia w ścianę od strony alkowy, w której nikogo nie było. Zakonnica, pielęgnująca go, również je słyszała.

Z pomiędzy tylu nieszczęśliwych dusz, które znalazły pokój w Ars, wiemy o dwu, które w przeddzień nawrócenia się ostatecznego przez wyznanie swych grzechów na spowiedzi, słyszały całą noc uderzania i straszne hałasy w pokoju, gdzie się ich konwersya odbyła. Chwila to była ważna i uroczysta, bo rozstrzygała o ich wieczności.

Moglibyśmy wiele innych jeszcze przytoczyć zdarzeń, o których prawdziwości jesteśmy głęboko przekonani, gdyby nie obawa, żeby nie przedłużać tego i tak długiego rozdziału. Trudno atoli przemilczeć nam o osobach opętanych, jakie z różnych miejsc i w różnych czasach przybywały do Ars. Dwie z nich, mężczyzna i kobieta na zawsze pamiętni będą Arsanom; wracali po kilka razy do świętego

Proboszcza, czerpiąc u niego ulgę i pociechę w strasznem nawiedzeniu.

Pokora i roztropność nie pozwalały ks. Vianney egzer-cyzmować otwarcie; ale, skoro ci ludzie zgłaszali się do niego w konfesyjone, niósł im pomoc, jednemu jakoby ciało tylko było opętane, drugiemu jakoby i dusza i ciało były w mocy złego ducha. Widzieliśmy wraz z innymi spółbraćmi duchownymi, jak w najgwałtowniejszych napa-dach uspakajali się w jednej chwili pod błogosławieństwem świątobliwego kapłana. Moglibyśmy opisywać zajścia zdu-miewające i powtórzyć dziwne rzeczy tu słyszane, ale do rozstrzygnięcia o nich i ich wyjaśnienia nie posiadamy ani władzy, ani odpowiedniego światła. Przecież trudno nam się oprzeć pokusie, żeby czytelników naszych zapoznać z bardzo ciekawym i wiarogodnym rękopismem, noszącym tytuł: Rozmowa pomiędzy opętana z okolicy du Puy a Proboszczem z Ars. Rzecz działa się 23 sty-cznia 1840 r. w kaplicy św. Jana Chrzciciela, w obecności Genowefy Filliat, Maryi Boyat i sześciu innych osób. Oto jej osnowa, jak spisać ją kazał sam Proboszcz.

Opętana: Jestem nieśmiertelną.

Proboszcz: Toś ty jedyna na świecie osoba, która nie umrze?

Opętana: Jam tylko jeden grzech w życiu popeł-niła i tym pięknym owocem dzielę się z każdym, co tylko zechce. Podnieś rękę i rozgrzesz mnie; i tak nieraz ją dla mnie podnosisz.

Proboszcz po łacinie: Tu qui es? (ktoś ty?)

Opętana w tymże języku: Magister caput. (Mistrz i głowa) a dalej po francuzku: Ty obrzydliwa ropucho czarna! co ja cierpię dla ciebie! Wypowiedzieliśmy sobie wzajemnie wojnę: kto kogo zwycięży? jakkolwiek bądź i to-bie przychodzi nieraz dla mnie pracować; myślisz że twój ludźki dobrze usposobiony, a tak nie jest. Poco ty badasz sumienie twych penitentów? Czyż rachunek, jaki ja im pod-suwam, nie jest dostateczny?

Proboszcz: Powiadasz, że roztrząsas sumienie mych penitentów, oni przecież Boga o pomoc proszą, o światło do rachunku sumienia.

Opętana: Tak, niby proszą — wargami. A ja ci

powiadam, że ja ich sumienie roztrząsam. Częściej ja jestem w twój kaplicy aniżeli ty myślisz. Ciało moje z niej wychodzi, ale duch mój tam pozostaje. Cięższą się, gdy tu ludzie rozmawiają... Nie wszyscy, co tu przychodzą, będą zbawieni... Jesteś chciwiec!

Proboszcz: Trudno mi być chciwym, bo posiadam mało, i to, co posiadam, chętnie drugim oddaję.

Opętana: O innej ja mówię chciwości. Tyś chciwy dusz, wydierasz mi ich, ile tylko możesz; ja się jednak o nie postaram. Wydarłeś mi czarną sukienkę — o! ja ci jej nie dam... Tyś kłamca. Dawno już odgrązasz się, że ztąd sobie pójdiesz, a zawsze zostajesz. Pocóż tu siedzisz? tyle innych usuwa się na spoczynek! Czemu nie idziesz za nimi? Dość się już napracowałeś. Chciałeś iść do Lyonu. (W owym czasie ks. Vianney marzył o usunięciu się do Fourvières). W Lyonie byłbyś równie chciwym jak tu. Chciałeś się usunąć na samotność. (I to była prawda, bo walczył z sobą, czy się udać do Fourvières, czy wstąpić do Trapistów). Czemużes tego nie wykonał?“

Proboszcz: Cóż więc masz mi do zarzucenia?

Opętana: Dosty ci nagadałam w niedzielę przy Mszy, pamiętasz? (Było to w drugą niedzielę po Trzech Królach, ks. Vianney wyznał, że jakiś niespokój wewnętrzny dręczył go do Ewangelii). Twoja suknia fioletowa (biskup Devie z Belley) pisał do ciebie; ale takem się koło niego krzątała, że najważniejszej rzeczy zapomniał, co go bardzo zniecierpliwilo. (W rzeczy samej tegoż dnia ks. Vianney odebrał list od biskupa).

Proboszcz: Czy mi biskup pozwoli wyjechać?

Opętana: On cię zanadto kocha. Gdyby nie ta... (tu nazwała Najśw. Pannę takim imieniem, że przez uszanowanie powtórzyć go nie możemy), jużby cię tu nie było. Pracowaliśmy, ileśmy zdołali nad fioletową suknią, aby cię ztąd wypędzić i nie udało nam się dla... (Najśw. Panny). Twoja fioletowa suknia takoz chciwa jak ty; dla niej również dużo cierpię. Ale mniejsza o to; zamknęliśmy mu uszy na jedno nadużycie w jego dyecezyi... Fioletowa suknia z Puy (biskup Bonald), późniejszy arcybiskup lyoński a potem kardynał) też mnie ogromnie

dręczy... Dalejże, podnieś nademną rękę, jak ją nad tyłu innymi podnosisz! Myślisz, że ich wszystkich nawrócisz: tak nie jest. Nawracają się na chwilę ale na dobre ich przecież nie puścizam. I twoich parafian mam na moim spisie.

Proboszcz: A co sądzisz o tym a tym? (o księdzu rzetelnej enoty).

Opętana: Nie cierpię go! — wypowiedziała to z wściekłością i ze zgrzytaniem zębów).

Proboszcz: A o tym?

Opętana: O! ten to co innego! Zezwala nam na wszystko. Przyprowadziłeś go trochę do porządku, ale nie na długo... Powiedz mi, czemu ty tak nie żyjesz jak inni?

Proboszcz: Jakże inni żyją?

Opętana: Biesiadują sobie.

Proboszcz: Niemam na to czasu.

Opętana: Wszak go inni mają. Są czarne ropuchy, które mnie tak nie dręczą, jak ty. Usługuję im do Mszy; oni ją za mnie odprawiają...

Proboszcz: Czy do mojej także służysz?

Opętana: Nudzisz mnie... O! gdyby nie opieka tej... (Najśw. Panny). Ale cierpliwości! i silniejsi od ciebie upadli!... Jeszcześ nie umarł. Czemu ty tak rano wstajesz?... Nie słuchasz fioletowej sukni, która kazała ci się ochraniać... Czemu tak proste miewasz kazania? Mają cię za głupiego. Czemu nie miewasz szumnych kazań, jakie po wielkich miastach bywają? Ja tak lubię te piękne kazania, które nikomu w drogę nie wchodzą; które każdemu pozwalają żyć, jak mu się podoba. Podczas twoich katechizacyi wielu śpi, ale innych do głębi porusza prostota twój mowy.

Proboszcz: Co sądzisz o tańcu?

Opętana: Tańczących okrążam wkoło, jak mur opasuje ogród.

Inna znów opętana powiedziała raz ks. Vianney: „Ach, jak ja cierpię dla ciebie! Gdyby było trzech takich jak ty, skończyłoby się panowanie moje na ziemi... Wydarłeś mi przeszło ośmdziesiąt tysięcy dusz.“ — Proboszcz odwrócił się do córki nieszczęśliwej kobiety: „Rozpocznij dziś jeszcze nowennę do św. Filomeny, a jutro przyprowadź

matkę do zakrystyi: wysłucham ją zaraz po Mszy św. Tymczasem niech uklęknie, udziele jej błogosławieństwa.“ Biedne dziewczę błagało go, aby uwolnił matkę od złego ducha; on się wymawiał i zasłaniał tem, że nie miał do tego upoważnienia.

Nazajutrz córka chorej kłopotowała się, że przynajmniej będzie potrzeba siedmiu ludzi, żeby matkę zanieśli do kościoła; lecz jej na to odpowiedziano: „Skoro ci Proboszcz powiedział, abys matkę przyprowadziła, to się nie kłopot o resztę; obejdzie się bez pomocy! Jakoż opętana, jak baranek potulna, bez oporu pozwoliła się prowadzić.

Bawiła w Ars dziesięć dni, odbyła generalną spowiedź, przyjęła Komunię św. i o wiele spokojniejsza wróciła do domu. Razu jednego, w napadzie złego ducha powiedziała w obec kilku osób: „Co to za brudny kraj, to wasze Ars! jakie tu brzydkie wyziewy! tu wszystkich czuć stęchlizną. R o t o n d a!... to mi to miejsce!... (Znane w Lyonie miejsce zabawy); tamto wonięją róże, gwoździki i jaśminy!...“ A odwracając się do otaczających ją: „O! gdyby tu potępieni przyjść mogli, więcejby od was wszystkich skorzystali!...“

Ktoś ją zapytał: „Za czyją sprawą poruszają się stolicy?“ — »Za moją, — odpowiedziała, — ja się posługuję i magnetyzmem i somnambulizmem.«

Sprawy, jakie w naszych oczach się działy, tych tylko zadziwiać mogą, którzy systematycznie przeczą wszystkiemu, co wychodzi po za zakres praw natury; znać nie chcą świętości na tym świecie. W legendach brewiarza pełno takich wypadków: niema prawie żywota świętego, w którymby nie zachodziły.

Wspomnienie o pokusach nasuwa na myśl całą Tebaidę i onego ojca pustelni i zakonów wszystkich, św. Antoniego. Pokusy, jakie on przechodził, już w przysłowie weszły. Gdy go odwiedzali pielgrzymi na górze Kolsim, gdzie żył długie lata, kilka pokoleń ćwicząc w życiu pokutnym, zawsze słyszeli dokoła niego straszliwy zamęt różnorodnych głosów, szczęku broni i rzenie koni, jak gdyby niewidzialne wojsko go oblegało.

Św. Hilarion zaledwie rozpoczynał modlitwę, aliści dokoła niego rozlegało się szczekanie psów, ryczenie wołów,

syczenie wężów i inne przeraźliwe krzyki. Szatan takie wyprawiał harce dokoła celi św. Pachomiusza, że zdawało się, iż ją w drobne kawały zdruzgoce. Św. Abrahamowi ukazywał się z siekierą w ręku, zagrażając jego domkowi, albo mu podpałał słomiankę, na której klęczał.

Podobne rysy napotykamy również w tylu innych żywotach, jako: św. Benedykta, św. Franciszka z Asyżu, św. Antoniego Padewskiego, św. Jana Bożego, św. Wincentego Fereryusza, św. Piotra z Alkantary, św. Mikołaja z Tolentino, św. Magdaleny Pazzis, św. Katarzyny Genueńskiej, św. Małgorzaty z Krotony, św. Franciszki Rzymianki, św. Róży z Limy, św. Jadwigi, św. Lidwiny, św. Teresy, i późniejszych, św. Jana z Kastylii, św. Sebastyana del Campo, Jezuitów. Św. Dominika od Jezusa i Maryi, Karmelity bosego; św. Krescencyi z Kaufbeyern, Krystyny Przedziwnej; pustelnicy wśród skał, Benedykty pasterki z Laus; wreszcie Maryi Moerl tyrolskiej dziewicy, słynnej z ekstazy, zachwycenia niebiańskiego <sup>1)</sup>.

Sprawy te dziwne nie są jedynie zabytkiem wieków ubiegłych: powtarzają się owszem we wszystkich czasach i wiekach. Dalekoć liczniejsze i głośniejsze były one w czasach wiary żywej i pobożności rzewnej; rzadziej się wydarzają i mniej są głośne za dni naszych w czasach zubożenia; ale nie giną nigdy.

Duch nowoczesny, nieuznający żadnej siły wyższej nad światem, uważać będzie te sprawy za wypływ, urojenie rozgorączkowanego umysłu. Niejedni zarzucą nam może, że przekraczamy poprostu granice roztropności, o nich się rozpisyjąc. Mieliby słusność, gdybyśmy pisali o rzeczach, które się mieszczą w ciasnych granicach rozumu; ależ zjawiska tego rodzaju przerastają ciasne ramy rozumu. Czyż dla tego że ich rozumem nie zdolamy zgłębić, wytłomaczyć, mamy je odrzucić? Niewierzyć rzeczom, na które tylu świadków wiarogodnych patrzyło, to tyle znaczy, co świadectwu własnego rozumu przestać wierzyć.

<sup>1)</sup> Zobacz legendy Rzymskiego Breviarza, Surius, Bolandyści, Papebroch, Ribadaneira, Mistyka Görresa, ks. V r. XXV do XXVII.



## ROZDZIAŁ III.

### Ks. Vianney prześladowany od ludzi.

„Wyście o mnie złe myśleli: ale Bóg obrócił to w dobre, aby mię wywyższył, tak jako teraz widzicie, ażeby wiele ludu zachował.“ *Gen. I. 20).*

„Jan, zapytany jakiejby nagrody żądał za tyle trudów, odpowiedział: Panie, cierpieć i być wzgardzonym dla Ciebie.“ (*Brew. Rzym. legenda o św. Janie od Krzyża*).

„Już mi nic na świecie podobać się nie może, jak tylko krzyż mego Bożkiego Mistrza; ale krzyż taki sam, jak Jego. — równie ciężki, równie hańbiący, bez żadnej osłody, bez pociechy, bez ulgi“

(*Bł. Małgorzata Marya Alacoque*).

Cnota, niedoświadczona w ogniu utrapienia i prześladowania, nigdy najwyższego nie dojdzie szczybla doskonałości. Cnota księdza Vianney była niezwykła; przyszło jęj tedy niezwykłego doznać prześladowania. Spadały na niego kolejno: wzgarda, zniewaga, oszczerstwa, podejrzenia, oskarżenia i groźby. Doznał wszelakiej niesprawiedliwości i nienawiści; ścigano szyderstwem, okrzyczaną z niesławą cierpienia jego, jego ubóstwo, jego gorliwość, jego uczynki miłosierne; wdzierano się zuchwałym sądem w najskrytsze pobudki serca jego, w pobudki cnót pokornie ukrywanych, a to bez litości i względu na jego słodycz, na jego dobroć i prostotę.

Z obawą zabieraliśmy się do tej części żywota Proszcza z Ars, ażeby poniewolne oburzenie nie pozbawiło nas trzeźwego sądu pełnego spokoju i żeby do słów naszych nie przybłąkała się gorycz jaka; ale kiedyśmy sobie wspomnieli, jakie to uczucia przejmowały serce ks. Vian-

ney w tój dobie jego życia i do naszego umysłu spłynął spokój myśli.

Ufamy, że wraz z ks. Vianney będziemy mogli, za łaską Bożą patrzeć na te sprawy okiem wiary i miłości, które nie dopuszczają goryczy do serca, ani pozwalają się zbłąkać wyobraźni; ufamy, że będziemy mogli ubolewać jedynie nad ułomnością natury ludzkiej i nad jej opaczniemi sądami, wielbiąc zarazem Przedwieczną Mądrość, że nawet te nędze umie obrócić na duchowny pożytek swych wybranych. Święty Paweł wyznał już tę prawdę, gdy powiedział: „Wiemy, że tym, którzy miłują Boga, wszystko dopomaga ku dobremu, tym, którzy są wezwani podług postanowienia święci.“ (Do Rzym. VIII, 28).

Któżby myślał, że cnota tak niepokalana a tak skromna, że działanie tak dobroczynne, a podtrzymywane zupełnem zaparciem się siebie, nie dbaniem o chwałę własną, znajdzie jednak przeciwników? A jeszcze prawie trudniej uwierzyć, że pierwsi przeciw niej wystąpili z szeregów duchowieństwa. Bóg to dopuścił, aby pokazać, że z Jego ręki bez przyczynienia się ludzi urosła cudowność Ars; kiedy nawet ci, którym na tem zależeć było powinno, żeby szerzył się ów zbawienny ruch ku odrodzeniu całej okolicy, wysilali się raczej na to, żeby go zwalczać i stłumić.

Spółbracia duchowni ks. Vianney sarkali na onę z każdym dniem wzrastającą sławę, która do stop jego tysiące sprowadzała pielgrzymów. Niejeden z nich podejrywał sztukę kierowania duszami tego prostego księżyny, któremu tak mało zdolności przypisywano. Nie jednego uraziło i to, że te tłumy ludu, napływające do Ars, w tak wymowny sposób ubogiemu Proboszczowi pierwszeństwo przed innymi przyznawały. I wielu, mimowoli może, może nie zdając sobie dostatecznie z tego sprawy, zaniepokoiło się, aby jego kierownictwo nie obalamuciło ich owieczek; za czem nie taili się z gorzką krytyką i nieprzychylnością. Nie zadziwi to nikogo, kto zna, ile w najlepszych duszach pozostaje jeszcze do zwalczenia drażliwości i poruszeń miłości własnej.

Inni, i tych może było najwięcej, trwożyli się tym dziwnym urokiem, jaki ksiadz Vianney wywierał na wszy-

stkich. Odwykli widoku tych cudów, przez jakie świętość dawnymi czasy działała w pośród ludów, dziwili się, nierozumieli, niedowierzając głowami chwiali; zdawało się, jakoby się bali wrażenia, jakieby wyrzucić mogło na niewierny i szyderyczy wiek pojawienie się nagle potęgi dawno zapomnianej i której już nikt wiary nie dawał. Pamiętać należy, że się to działo za czasów Restauracyi, kiedy duch niewiary panował we Francyi.

Jednym z powodów złęgo dlań usposobienia wpośród duchowieństwa był i ten, że konfesynał naszego Świętego obłączony był przez ów rodzaj zbłąkanych w pobożności osób, które jakoby uwzięły się, żeby doświadczyć jego wielkiej cierpliwości. Biedne to zaiste i litości godne dusze; nie wprowadzone na jedynie bezpieczną drogę posłuszeństwa, szukają zawsze siebie, i wyłącznie siebie, a nie Boga; kochają one Boga, ale głową, nie sercem całem; za dopuszczeniem Bożem, które w nich bądź leczy, bądź karze utajoną pychę, marzą dla siebie o jakichś ideałach doskonałości, któreby je na wysokim świeczniku cnót postawiły; pełnią dobre uczynki, pełnią nawet nieraz heroiczne cnoty; a nie zbierają nigdy owoców sprawiedliwości i prawdy w pokoju.

Te ofiary, mniej lub więcej dobrowolne, sumienia obalamuconego i pobożności zbłąkanej obnoszą swe nieuleczone cierpienia duszy po wszystkich odpustach i miejscach cudownych, od spowiednika do spowiednika, dokąd bądź ich zaniesie duch zmienności; łudzą się nadzieją, nie że znajdą gdzieś słowo pełne dla siebie pociechy, które ich uspokoi; łudzą się, że doczekają się gdzieś rozstrzygnięcia, któreby uświęciło ich plan życia i potwierdziło ich wyobrażenia o doskonałości, usprawiedliwiło ich trwogi sumienia i pozwoliło im swobodnie i nadal drzeć i lękać się.

Ars stało się wnet zbiorowiskiem tych utrapionych dusz, i celem ich pielgrzymek niespokojnych. Łatwo więc pojąć, że osoby podobne ściągaly na ks. Vianney ostre zarzuty i chłostę sądów ludzkich, dopóki świętości jego dostatecznie nie poznano.

Gdy one pątnice wracały z Ars, głosiły wszędy zdania Proboszcza, nakręcając je do swoich przekonań opa-

cznych. Wobec zwykłych swych spowiedników powoływały się na słowa Proboszcza z Ars, nieraz wprost kłamliwie, przytaczały jego zdania źle zrozumiane, jego odpowiedzi źle tłumaczone. Za czem poszło, że i najlepsi, pod wrażeniem powszechnych plotek, choć nawet nie podejrzewali czystości pobudek ks. Vianney, występowali jednak przeciw niemu, oskarżając go o nieumiarkowaną gorliwość, nieroztropną radę i nierozsądne kierownictwo dusz.

Uważali go wprost za głupca, co on pierwszy uznawał; za obłudnika, o co on sam się oskarżał, mówiąc: „Jestem we wszystkim obłudny; ludzie sądzą, że sypiam niewygodnie, co wcale tak nie jest.“ Miano go za dziwaka, za marzyciela; boć nigdy inaczey nie nazywali Świętych ci, co ich zrozumieć nie umieli, i nie mieli odwagi ich naśladować.

Niektórzy Proboszczowie, pod karą zatrzymania rozgrzeszenia, zakazywali swym parafianom spowiadać się w Ars. Inni tak gorąco wzięli się do obrony czci, religii i pokoju sumień, że aż z kazalnicy potępiali pielgrzymki i wyliczali nadużycia, jakie się w nich działy.

„W owym czasie, — mówił raz Proboszcz żartobliwie, — odkładano Ewangelią, a wszystkie kazania obrały się około biednego Proboszcza z Ars.“

Wcale to nie źli byli księża ci, co tak występowali: im się zdawało, że dla chwały Bożej powinni byli zwalczać przesąd i bronić wiary od niebezpiecznych naleciałości i od zapałów nieroztropnych. Właśnie to przesładowanie dobrych, którzy łączą się z złościami, a działają w dobrej wierze, sprowadza do duszy Królestwo Chrystusa cierpiącego. Niemniej atoli przykre były te zaczepki dla ks. Vianney, im z większych wyżyn spadały nań, tem boleśniej je uczuwał: widać, mocne było to serce, że nie pękło pod takimi ciosami.

Gdyśmy raz z nim mówili o tej bolesnej dobie jego życia, pytaliśmy go, czy wśród tych przeciwności nie utracił pokoju wewnętrznego. „Co! — zawołał z zapalem, — Krzyż miałby pozbawiać pokoju! Wszakżeż to on dał światu pokój; on ma go wnieść do serc naszych. Wszystkie nasze nędze ztąd pochodzą, że go nie miłujemy. Obawa przed krzyżem, cięższym go nam czyni. Krzyż,

dźwigany z prostotą, bez zwrotów miłości własnej na siebie samych, co obciąża nam tę przykrość, już przestaje być Krzyżem. Cierpienie spokojne przestaje być cierpieniem. Skarżymy się, gdy co cierpieć przyjdzie; a przecież raczej skarżyćbyśmy się powinni, gdy nic do znoszenia nie mamy; bo nic nas nie czyni tyle podobnymi Chrystusowi, jak Krzyż! Nie pojmuję tego, jak chrześcjanin może nie kochać Krzyża i uciekać od niego! Czyż przez to samo nie ucieka od tego, który z miłości ku nam dał się nań przybić?“

Inną razą mówił: „Przeciwności stawiają nas u stóp Krzyża, Krzyż zaś u wrót nieba. Chcąc dojść do niego, trzeba nam dać się zdeptać, wzgardzić, zetrzeć... Szczęśliwi na tym świecie są tylko ci, którzy zachowują pokój w duszy wpośród przykrości tego życia: ci zażywają wesela dzieci Bożych... Słodkie są cierpienia, gdy się je łączy z cierpieniami Chrystusa Pana!... Wielkaż rzecz cierpieć — wszakże to trwa tylko chwilkę. Gdybyśmy mogli wejść do nieba choć na tydzień, zrozumielibyśmy, ile warta ta jedna chwilka cierpienia. Żaden krzyż nie byłby nam dostatecznie ciężki, żadna przykrość dostatecznie gorzka. Krzyżem obdarza Bóg przyjaciół swoje.

„Jakże to miło oddawać się co rano Bogu w ofierze, i przyjmować wszystko jako pokutę za grzechy swoje! Trzeba prosić o zamilowanie krzyża: wtedy staje się on słodki. Sam tego doświadczałem przez cztery czy pięć lat. Wygadywano i wymyślano na mnie.... O! tak ciężki wtedy był mój krzyż!... żem go za ledwie udźwignąć zdołał! Zacząłem tedy prosić o zamilowanie Krzyża.... i byłem szczęśliwy. I powiedziałem sobie: naprawdę, szczęście nasze tylko pod krzyżem.... Nie oglądajmy się, z kąd i od kogo pochodzi; boć zawsze Bóg go daje. Bóg go daje, a z nim sposób, jak możemy mu miłość naszą okazać.“

Łatwo pojąć, że w takim usposobieniu ks. Vianney zachował pokój wewnętrzny wpośród szalejącej dokoła niego burzy. Bądź jak bądź, dusza ociążała przez jakąkolwiek namiętność nie wzbije się nigdy na ów promienny szczebel, na który święta dostaje się dusza. Najwyższa mądrość ludzka nie jest zdolna człowieka natchnąć cierpliwością i stałą pogodą duszy: Duch święty to sprawia

w niej łaską swoją, że nawet raduje się z cierpienia. Ksiądz Vianney z pobożnem weselem witał cierpienia. Czerpał z nich pocieszającą pewność, że one są mu niechybną zapowiedzią wielkich darów, jakie mu Bóg w miłosierdziu swoim gotował. „O! jakże w dzień sądu ostatecznego będziemy szczęśliwi z naszych udręczeń, dumni z naszych upokorzeń, bogaci z powodu naszych ofiar.“

Cieszył się z nich z innego jeszcze względu. Zwolniły one go z nieustannie dręczącej obawy, że jest obludnikiem, kiedy do tak nędznego i niedołęznego, za jakiego miał sam siebie, cisnęły się tłumy. „Przynajmniej, — mawiał, — nie wszystkich oszukuję. Są i tacy, co się na mnie poznają; — co mnie nie przeceniają. Jakżeż im za to jestem wdzięczny! Oni mi dopomagają poznać samego siebie.“

Proboszcz z Ars mówił to szczerze; bo się cieszył, że nieprzyjaciele jego mówią o nim tak, jak sam o sobie sądził.

Obok pokory posiadał i najczystszą miłość bliźniego, którą jakiś Święty tak scharakteryzował: Ze kocham brata mego, poznam, jeśli go również kochać będę, gdy on mnie obrazi.“

Mówiąc raz o osobie, od której bardzo wiele ucierpiał, powiedział: „Jestem jej bardzo wdzięczny, bo bez niej nie byłbym wiedział, czy choć trochę kocham Boga.“

Jednego dnia otrzymał list, w którym mu napisano: „Kto tak mało zna teologią, jak Ksiądz Proboszcz, ten nigdy nie powinien siadać w konfesjonale...“ Dalszy ciąg listu był odpowiedni początkowi. — Ks. Vianney, który nigdy nie miał czasu, by odpowiadać na setki listów, w których się codziennie radzono jego doświadczenia i polecano jego świętości, nie mógł się powstrzymać, żeby temu korespondentowi nie wyrazić wdzięczności i radości z tego, że go przecież ktoś uznaje takim, jakim jest rzeczywiście. — Bez zwłoki skreślił następujące wyrazy: „Jakże Cię kocham, drogi i szanowny bracie, — był to duchowny, który wkrótce potem z szczerą skruchą przeprosił Świętego. — Tyś jedyny, któryś mnie dobrze poznał. Skoro zaś tak dobry i miłosierny jesteś, że raczysz się troszczyć o duszę moją, dopomóż mi uży-



skąć łaskę, o którą od dawna proszę, aby mnie kto inny zastąpił na tem stanowisku, którego nie jestem godzien, już dla tego, że umysł mój tak ograniczony, — i abym mógł się usunąć w jakie zacisze, gdziebym dowoli opłakiwał grzechy mego żywota... Ileż pokut, zadosyćuczynienia i łez żalu należy się odemnie Bogu!...”

Słowa uwielbienia zamierają na ustach wobec tak głębokiej, tak prawdziwej pokory. Wprawdzie mściwa ironia nie byłaby mogła dobrać słów więcej morderczych dla przeciwnika; ależ ironia, to krzyk zranionej miłości własnej, podczas kiedy w tem pokornem wyznaniu sprawiedliwego, który zna swą nicość i szczerze o sobie mówi, święci się tryumf łaski i wzniosłość cnoty. Tym listem Proboszcz z Ars najdoskonalej sam się odmałował. Jestże w ludzkiej mowie pochwała, któraby dorównała tym prostym wyrazom, płynącym z jego serca i pochodzącym z natchnienia Ducha św.? Jakże one jasno nam pokazują, że we wszystkich poruszeniach duszy jego wyrażała się i objawiała świętość rzetelna.

W tymże czasie, jeden z okolicznych proboszczów zwołał do siebie księży na naradę, na której po długich rozmyślach i rozprawach uchwalono napisać list do nowego Biskupa z Belley, uwiadamiający go o nieroztropnej i zgubnej gorliwości Proboszcza z Ars, któremu, że jest i ciasnego umysłu i małej nauki, przystałoby postępować tem roztropniej. Nadto jeden z członków tego zebrania uważał sobie za obowiązek uprzedzić o tem ks. Vianney pismem bardzo przykrem, w którym mu nie szczędził zarzutów i wyrazu oburzenia swego.

Nie pierwszy to raz spotykało go takie zagrożenie niełaską i karą wyższej władzy; a że on sam uznawał, iż na nie zasługuje, wyczekiwał, że lada dzień przyjdą go sromotnie wypędzić z probostwa. Mawiał sam o tem: „Sądziłem, że lada chwilę kijami za drzwi mnie wyrzucą; że mnie zawieszają w urzędzie i skażą na dożywotne więzienie. Zdawało mi się, że mnie wszyscy powinni byli palcem wytykać za to, żeś śmiało pozostać tak długo w parafii, gdzieś tylko mógł przeszkadzać dobremu.“

Jeden z takich oskarżających go listów wpadł w jego ręce, posłał go władzy, przypisując się na nim sam osobiście.

„Teraz, — mówił, — mogą być pewni, że im się uda, kiedy nawet mój podpis mają.“

W tym czasie stolicę Belejską objął świeżo Biskup Devie, w którym jaśniały cnoty i zdolności najświetniejszych jego poprzedników: potężny umysł Biskupa Camus, i wielkie serce św. Franciszka Salezego. Miał on rzadki dar poznawania ludzi, i kierowania nimi. Każde jego słowo z serca płynęło, a sama nawet nagana z ust jego prawie miłsza bywała, niż innych niezgrabna nieraz pochwała. Jako doskonały administrator, niezmordowany pasterz, przez częste wizytacje dyecezyi, i piękne listy pasterskie, pełne światła Bożego, ożywiał dyecezyą swoją. Łagodził uprzedzenia, nie napadając na nie z góry, lecz łagodnie i z wielką wyrozumiałością, wskazując ich zgubność, i na pozór zostawiając każdemu wolność postępowania.

Był przyjacielem, ojcem księży, wzorem i mistrzem wszystkich. Silną, choć miękką dłonią dźwigał i kościoły i dusze z upadku; nigdy szorstkością nie ranił, a wszystkie rany miłościwem sercem leczył.

Taki mąż, jak Biskup Devie nie bardzo skłonny był zważać na niegodne skargi. Jak tylko poznał ks. Vianney, pokochał go od razu: pokochał jego prostotę, umartwienie, ubóstwo. Sam ubogi i rozumiejący życie doskonałe według praktyki Świętych, złączony z Bogiem jak najdoskonalej, gorliwości anielskiej do najpóźniejszych lat starości, ukochał też nadewszystko jego pobożność: nie widział w niej ani przesady, ani śmieszności, ani dziwactwa. Przy każdej sposobności brał go w obronę. „Życzę wam moi panowie, — rzekł raz w kole duchownych, których drwinkom położył tem koniec. — życzę wam, trochę tego szaleństwa, z którego się wysmiewacie; nie zawadziłoby ono waszój mądrości.“

Inną razą, mówiąc o Proboszczu z Ars z wyrazem najgłębszej czci, dodał nieomal surowo: „Tak moi Panowie, jest to Święty, którego powinniśmy podziwiać i naśladować.“

Raz, snać by usta zamknąć oszczercom, wysłał do Ars wikaryuszów generalnych, którzyby się z bliska życiu Świętego przypatrzyli. Ten zaś, zbyt pokorny, aby się

tłómaczyć i usprawiedliwiać, z prostotą przedłożył im wszystkie swoje czynności, prosząc o uwolnienie od zbyt wielkiego na jego barki brzemienia. „Radbym się w jamę jaką ukrył, aby tam oplakiwać grzechy mego żywota,“ — dodawał zawsze.

Później Biskup Devie doradził mu, aby oddawał pod rozstrzygnięcie wyższej władzy trudne sprawy, jakie mu się nasuną. Proboszcz chętnie się temu poddał. „Przyśłał nam przeszło dwieście spraw do rozsądzenia, — opowiadał uczony Dostojnik, i wyjąwszy dwu, które byłbym inaczey rozstrzygnął, zawsze decyzje jego były słuszne, praktyki doskonałe.“

Mówiono raz Biskupowi, że ks. Vianney niema ani nauki, ani powagi do rozstrzygania skrupułów sumienia. „Niewiem czy ma naukę, — odparł żywo, — ale wiem, że jest oświecony.“

Jest zatem pewna, że Biskup kochał Proboszcza z Ars i cenił go.

Proboszcz również wysoko cenił Biskupa Devie, a odziedziczywszy po jego śmierci komżą po nim, nigdy przez uszanowanie nosić jej nie chciał. Ofiarował ją raz na jakąś uroczystość przełożonemu Misyonarzy, dodając: „Dziwi mnie, że Biskup Devie cudów nie czyni.“

Ci dwaj ludzie wzajemnie uwielbiali cnoty swoje; a te cnoty tak ich podobnymi czyniły do siebie, że słusznie ktoś powiedział, widząc ich razem: „Zaiste to prawdziwy Biskup Proboszcza z Ars.“

Ale wracamy do rozpoczętego przedmiotu. Ks. Vianney długo z niezmienną słodyczą i odwagą znosił wszystkie zarzuty i zniewagi, jakie gradem na niego spadały. Z ową wzniosłą niezależnością, która duszę uwalnia od wszelkiej niewolniczej obawy przed względami ludzkiemi, wszystko znosił w milczeniu, wszystko własnym przypisując grzechom, na wszystko odpowiadając pokornie i łagodnie. A wszystko, choć i najbardziej gorzkie piołuny, z ręki Boga przyjmował, prosząc, aby mu dał siłę wychylić kielich swój do dna. Niebawem też gorycz do goryczy przydaną mu była, gdy za przykładem księży i świeccy poczęli go prześladować. A jeśli przykre są zarzuty od osób pobożnych, które przynajmniej same są cnotliwe i miarę

cnoty, tak jak ją rozumieją, przykładają do żywota innych, o ileż straszliwszą i dotkliwszą krytyka ludzi światowych, którzy sami nie mając cnoty rzetelnej, niedowierzają cnotcie żadnej, każdą podejrzewają o obłudę, a nawet sprawiedliwość, w której pozostał choćby odcień ułomności ludzkiej, sądzą surowo, jakoby występki rzeczywiste.

Tęj nienawiści świata doznaje każdy Święty: naszemu Proboszczowi potrzeba było w tej nienawiści świata otrzymać chlubne świadectwo świętości swojej.

Świat zna swych nieprzyjaciół: są niemi wszyscy ci, co własnymi czynami mimowoli potępiają jego dzieła. Święci zaś wiecznie sprzeciwiają się sprawom świata; przeciwią się cnotami swemi jego występkom; swą pokorą, jego pysze, swem umartwieniem, jego zmysłowości; swoim ubóstwem jego zbytkom; swem bohaterstwem i wszystkimi cudami świętości, jego słabości i jego bezrządom. „Wśród naszego upadku i naszych ciemności, — powiedział Ojciec Feliks w swych konferencyach, — Święci wysoko i wsporniale wywieszają obraz doskonałości ludzkiej; słowem i czynem, ile mogą, wstrzymują nawał pożądliwości; a jeśli jej powstrzymać nie zdołają, stoją wpośród jej wzbudzonych bałwanów; i, gdy społeczeństwo wirem ich porwane, już, już w ostateczną zapaść ma tonią, oni chociażby najcichszą cnotą jeszcze nawołują je do Boga.“

Wiele osób, które Proboszcz z Ars budził z zmysłowego uspienia, to wytykając ich błędy, to odsłaniając obłudę ich cnoty, to przeszkadzając ich namiętnościom, gdy nawracał ich współników, wiele z tych osób wzięło sobie za zadanie, śledzić go na każdym kroku, aby słabą jaką stronę podejrzeć i w nią ugodzić. Gorączkowa czynność u ludzi beczynnych, kiedy chcą szkodzić, zwróciła się przeciw księdzu Vianney z zaciekłością nieubłaganą. Posunięto się tak dalece, że pomówiono go o złe obyczaje: i wnet tego kapłana anielskiej skromności przedstawiono jako człowieka najgorszego życia; obrzucono piśmami bez podpisu, a pełnemi ochydnymi oszczerstw; na jego plebanią przylepiano bez wstydu brzydkie piśmidła.

Te szkaradzeństwa, mówiłem mu raz pewnego, są widać dziełem bardzo zepsutych ludzi. O nie! — odparł on z anielską słodyczą, — nie uczynili tego źli ludzie,

lecz tacy, którzy mnie lepiej znali, niż inni. Byłem bardzo szczęśliwy, gdy po mnie wszyscy deptali, jak po ulicznym błocie! Mawiałem sobie wtenczas: Przecież raz Biskup postąpi sobie z tobą tak, jak na to zasługujesz. Niepodobna, aby cię kijami nie wypędził z probostwa. Ta myśl dodawała mi odwagi!“

Oto! coby każdemu innemu odjęło wszelką odwagę, to jego odwagę podnosiło! Dźwigała go nadzieja, że go kijami wypędzą!... Dobrze zapamiętaliśmy te jego słowa; w oczach nam jeszcze stoi szczery i swobodny wyraz jego twarzy, gdy je wypowiadał.

„Ależ Księżę Proboszczu, — nalegałem dalej, — jakże można było tobie złe życie zarzucać?“ — „Niestety! życie moje zawsze było złe. Wówczas prowadziłem takie samo życie, jak dzisiaj; bom nigdy nie niebył wart.“

Ani przypuszczał święty Proboszcz, jakie sobie świadectwo dawał temi słowami. Patrzeliliśmy na jego życie cudowne, niepojęte; mogliśmy o niem dobrze sądzić: On zawsze takie prowadził!

„Przykro by mi było, żeby Bóg był obrażony, — dodawał, — wszelako cieszę się w Panu, że pozwala ludziom wygadywać na mnie; bo potępienie świata jest błogosławieństwem Bożem. Bałem się, abym nie był obłudnikiem, gdym widział, że mnie za coś mają; cieszę się więc, że ten niezasłużony szacunek zamienia się w pogardę.“

Pewien ksiądz radził go się: „Księżę Proboszczu! sprzykrzyło mi się być przedmiotem nieustannych oszczerstw i prześladowania: nie wytrzymam tego dłużej, muszę się ludziom z oczu usunąć. Ale zanim cośkolwiek uczynię, chciałbym zasięgnąć twojej rady.“ — „Mój przyjacielu, — odparł ks. Vianney, — czyn jak ja, pozwól się ludziom wygadać; gdy się wygadają, to skończą.“

Tyle oszczerstw mogłoby czytelnikowi naszemu nasunąć przypuszczenie, czy Proboszcz mimo najczystszych pobudek, w niewinności serca i w zapomnieniu złości ludzkiej nie pominął niekiedy pewnych ostrożności, koniecznych dla spowiednika wobec swych penitentów. Obowiązkiem naszym usunąć to podejrzenie. Ks. Vianney uważał zawsze ową czułośćkowość, jaką niektóre osoby okazują

swym spowiednikom, za bardzo szkodliwą. Widział w niej sidło niebezpieczne, tak dla penitentów, jak dla spowiednika i uważał za nierozum i zdrożność, że dusza rozprasza skarby uczucia dla sługi, kiedy całe serce Panu się należy.

Do jego kierownictwa dusz nigdy nic ludzkiego się niezaplątało. Z niewyczerpaną cierpliwością i słodyczą znosząc wady, skrupuły, dziwactwa swych penitentów, nie pozwalał nigdy na długie wynurzania się, na częste a niepotrzebne narady w rzeczach sumienia, na pytania, któreby były zdolne podsycać miłość własną i łechtać próżność.

Szczególniej surowym okazywał się dla panny Pignault, jednej z swych najprzywiązańszych i najwierniejszych penitenteń. Prowadził ją drogą umartwień i zaparcia siebie; przy każdej sposobności przełamywał jej wolę i wymagał od niej wyrzeczenia się tak w drobnych jak w wielkich rzeczach, tak dalece, że jej zakazał przychodzić na swoje katechizacye; a raz w Wielki czwartek niepozwolił jej klęczeć przed ołtarzem, lecz tak na uboczu, aby nie widziała nie tylko ozdoby ołtarza, blasku światła, lecz i Przenajświętszej Hostyi.

W stosunku swym do dusz powierzających się jego kierownictwu, rządził się zawsze tylko duchem wiary i ofiary. Jakoż, gdy spowiednik działa bez wszelkiego względu na własną osobę, z szczerego poczucia obowiązku, Bóg tem pewniej, tem obficiej przezeń łaski swe rozdawać będzie: taki spowiednik będzie jako kanał czysty, wylewający łaskę Bożą bez wszelkiej przymieszki.

Najniesprawiedliwiej tedy w świecie oczerniono proboszcza z Ars, który od dziesięciu lat dawał przykład niesłychanego umartwienia, i surowości obyczajów. Oczywiście, nie potrzeba było na to nawet pozorów: sama doskonałość jego cnoty wzburzyła namiętności nieprzyjaciół, którzy za sobą pociągali łatwowiernych.

Pospolite dusze zawsze zazdrosnem i podejrzliwym okiem patrzą na rzadkie i wzniosłe dary dusz od Boga uprzywilejowanych. Z niskiego poziomu swych pospolitych cnót, niezdolne są choćby zapragnąć cnoty wyższej, a tem mniej ją zrozumieć, dla tego ją podejrzewają.



W pośród tych rozpasanych oszczerstw i sądów ludzkich, Proboszcz z Ars był spokojny, i ani na chwilę zwykłych swych czynności nie przerywał. Jak lilia wpośród cierni, kwitł on wpośród oszczerstw, zarzutów, niesprawiedliwości i goryczy wszelakich i roztaczał dokoła miłą woń cierpliwości i pokory.

W duszy zbolełej a spokojnej ukrywał wszystkie dojmujące go cierpienia i zawsze okazywał się spokojny, łagodny przystępny, mało dbały o sławę własną, rozmowny i przyjacielski. Nigdy w słowach jego nie było goryczy, zniechęcenia, a choćby smutku. Doskonale w życiu wypełniał, co tak często powtarzał: „Święci nie skarżą się nigdy.“ Za przykładem Bożkiego Mistrza, obrzucanego obelgami i bluźnierstwami, milczał. Nie było u niego ani tego smutku, zamącenia duszy, zamieszania wewnętrznego, które w ciężkich przejściach często nieudolnym czynią człowieka do zajęcia się obowiązkami swemi. W chwili największych przeciwności ks. Vianney z równą gorliwością i punktualnością spieszył do ołtarza, konfesyonału, czy na kazalnicę. Gdy go się pytano, jak mógł zachować hart duszy i równą gorliwość pod nieustannymi groźbami, że go usuną, odpowiadał: „Daleko więcej czyni się dla Boga, pracując bez pociechy i wewnętrznej słodkości. Prawda, spodziewałem się, że mnie lada dzień wypędzą; ale tymczasem pracowałem, jakobym tu wiecznie miał pozostać.“

Otóż to czyste, wspaniałe szukanie chwały Pańskiej bez oglądania się na siebie. Oto prawdziwa mądrość! robić to, co obecna chwila wymaga, nie zaciekając się w przyszłość, nie badając, co nam kiedyś Opatrzność przeznaczy. Toż jest piętno enoty prawdziwej, o której tak trafnie Fenelon powiedział: „Czy ją weźmiesz, czy ją zostawisz, ona zawsze równa.“

Trudno pojąć i wytłómaczyć pokój Boży w duszach świętych, panujący nawet wpośród pokus i wszelkich nędz tej ziemi. W takich chwilach wielkiego bólu, jakżeż silna ich wiara, że nie zwątpią o miłościwych zamiarach Pana, karzącego ich z miłości ku nim: jakżeż gorące ich pragnienie dóbr wiekuistych, że z odwagą i dziękczynieniem przyjmują smutki i gorycze, co im wieczność szczęśliwą zapewnić

mają. Przedewszystkiem trzeba było duszy nawyknąć do tego, żeby ciągle i zawsze to krótkie trwanie nędz i trudu a marność wszystkich rzeczy przemijających porównywała z oną wielką i niepojętą chwałą w niebie, do której przez krzyż dojść trzeba.

Swoboda i spokój ducha ks. Vianney nawet w największych uciskach dowodzą, do jak wysokości doszedł doskonałości. „Dusza, mająca sama siebie, — powiada św. Katarzyna Seneńska, — widzi, że nie do siebie, lecz do Boga należy: zna swą nędzę, niegodność i nicość swoją; skupia się w tej znajomości siebie, i uciekając się do dobroci Bożej, upokarza się wewnątrznie, bo nicość niema z czego się wynosić. Przejmuje się świętą nienawiścią ku sobie; a im więcej nienawidzi siebie, tem więcej kocha prawdę. Wzbożona zaś tą miłością Bożą i tem światłem, dającym jej widzieć całą nędzę własną, odrywa się od wszystkiego ziemskiego, co hart jej duszy osłabiało, a przez serdeczną miłość łączy się z Bogiem, który jest siłą prawdziwą dla szukających rzetelnie i usilnie cnoty. Duszy w Bogu ufającej i tą ufnością silnej nie przemogą ni szatan, ni stworzenie; żadna przemoc na świecie nie zdoła jej od Boga poniewolnie oderwać. I prześladowania i zaczepki świata nie zwyciężą jej; owszem siły jej dodadzą, pobudzając ją do tem gorętszej modlitwy. Dowiodą też, czy miłość jej jest synowska, czy służebnicza, czy miłuje miłością dziecka, czy dla zysków; nie zamącą jej spokoju wewnętrznego prześladowaniem, zniewagami, pogardą, groźbami; przeciwnie oderwą ją od wszelkiej miłości, która z Boga nie jest.“

Do tego przedziwnego stopnia pokory, wyrzeczenia i poddania się Bogu, za Jego łaską doszedł Proboszcz z Ars: a siła tej łaski tem więcej dziwna i tem jawniejsza, gdy się zważy czułość i delikatność uczucia świętego Proboszcza, tudzież jego wielką nieufność do siebie, wskutek czego daleko głębiej czuł dojmujący ból tak przeciągłego cierpienia. Aliści serce jego nigdy wyżej się nie podnosiło, jak kiedy wola jego najpokorniej się ugięła pod straszliwemi ciosami. Ponieważ w Bogu jedynym ufność swą położył, żadna przykrość od stworzeń doznana, zachwiać jej nie mogła. niesprawiedliwość ludzka sta-

wała się dlań najsilniejszym węzłem, który go z Bogiem łączył: ona to była mu pobudką do coraz lepszej służby i gorętszej miłości Bożej. Im więcej tracił na świecie, tem doskonalej i z tem czystsza rozkoszą rzucał się w objęcia Boga, który tajemnicze posiada pociechy dla dusz strapionych. Król Prorok przez Ducha świętego powiedział: „Blizki jest Pan tym, którzy są strapionego serca: i zbawi pokorne w duchu.“

Rzeczywiście w czasie tego prześladowania nie opuścił Bóg ks. Vianney, podobnie jak to czytamy o O. Surin. Pisarz żywota O. Surin podaje, że wpośród najliczniejszych doświadczeń, zdawało mu się, że sam Bóg mu się sprzeciwiał, że nie tylko zesyłał nań ucisk przez różne stworzenia, lecz że nadto własną swoją prawicą dotykał go najboleśniej. Tymczasem nasz Proboszcz mawiał: „Nigdy nie był tak szczęśliwym, abym od samego Boga utrapienia doznawał; owszem Pan udzielał mi wszystko, o cokolwiek Go prosiłem.“ — Nigdy się jaśniej nie wyrażał, ale z słów jego wnioskować było można, że w czasie tych prześladowań doznawał najznakomitszych łask. To pewna, że w tym właśnie czasie pielgrzymi napływali coraz liczniej z całego świata.

Prześladowanie każde uwydatnia świętość. Do tego więc nieuka, do tego głupca, do tego obłudnika z najodleglejszych granic spieszyły tłumy, by mu najskrytsze sumienia tajemnice wyjawiać, by go się w najtrudniejszych okolicznościach życia radzić, by się modlitwom jego polecać. Przyznawał też sam, że otrzymuje wszystko, co chce, tak u Boga, jak u ludzi. W tym czasie rozpoczynają się jego wielkie cuda i wielkie dzieła poparte wielkimi jałmużnami.

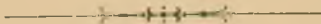
Ciekawą zapewne rzeczą byłoby wiedzieć, jakim sposobem Bóg rozproszył te czarne chmury nad głową sługi Jego nagromadzone, i jak otworzył oczy jego oszczerców. Lecz wiadomo, że niewidoczny jest wpływ działania Boga, który najczęściej ukrywa swą Rękę.

Wzburzone namiętności przeciw najcnotliwyszemu z ludzi wrzały gdzieś z dala w cieniach. W oczy nikt nań powstawać nie mógł, bo spokój, słodycz i pogoda na jego twarzy usuwały wszelkie podejrzenie. Tłum jego wielbieli rósł wśród tych nawet, co przybyli do Ars w zamiarze

urągania Świętemu. Zaledwo się z blizka przypatrzyli życiu jego, jego spokojnemu zdaniu się na wolę Bożą, na jakie się tylko Święty zdobyć może, a z zawziętych wrogów przyjaciółmi się jego stawali, mianowicie duchowni. Boć i ksiądz może uledez wpływow ludzkim, ale się nie oprze prawdzie, gdy mu się w całym swem świetle ukaże. Tak więc po ośmiu latach doświadczenia, wszyscy okoliczni proboszczowie przekonali się o świętości Proboszcza z Ars.

W najprostszy tedy sposób skończyły się prześladowania ks. Vianney, i w niezbyt długim czasie doczekał się zwycięstwa, obiecanego pokornym.

Bóg zesłała próby na wybranych swoich, aby zamarli sobie doskonale; kładzie im koniec, gdy w tej błogosławionej śmierci starego człowieka zamrą i wyniszczeją w nas ułomności ludzkie do ostatniego korzonka, gdyż cel ich wtedy osiągnięty.



## ROZDZIAŁ IV.

### Choroba ks. Vianney jego i cudowne uzdrowienie.

„Oczy Pańskie nad tymi, którzy go się boją! obrońca mocy, umocnienie siły. zasłona od upalenia i chłodnik w południe.“  
(*Ekkł. XXXIV, 19*).

„Zamieraj sobie tak często, aby te częste akty wyrównały ostatecznej ofierze, przez którą uwielbisz Boga. Zniewol Go tem, aby długo zachował ofiarę.“  
(*Ks. Ollier w liście do ks. Dufour*).

Praca i umartwienie ks. Vianney byłyby mogły wyczerpać siły dziesięciu ludzi, i za cud najoczywistszy uważać można, że on je znosił tak długo. „Mówią mi o cudach dziejących się w Ars, pisał jeden z pątników; nie wątpię o mocy Bożej: równie ona wielka w XIX wieku, jak w pierwszych czasach chrześcijaństwa. Jestem też przekonany, że modlitwy świętego Kapłana, do którego wszyscy spieszą, mogą otrzymać nadzwyczajne, a nawet cudowne uzdrowienia. Ale i tego mi nie potrzeba, żeby uwierzyć, iż tu święci się moc nadprzyrodzona. Największym cudem w Ars jest surowe i pracowite życie Proboszcza. Bo czyż to nie przechodzi pojęcia ludzkiego, że on takie życie prowadzi zawsze równe bez wytchnienia, i nigdy się niem nie nuży, nigdy sił swych nie wyczerpuje! To w moich oczach cud nad cudy!“

Przyszła nareszcie chwila, gdzie zdawało się, że cud ten się skończył. Po kilka razy już zachwiało się zdrowie ks. Vianney. Niezdrowe wilgotne powietrze okolicy, zaraz gdy tu przybył, wpłynęło na niego niekorzystnie, zapadał po kilka razy na febry, trapiące tamtejszych mieszkańców, i od tego czasu nigdy zupełnego zdrowia nie odzyskał.

Życie duchowne daje jakąś wyższość, i władzę duszy nad ciałem. Osłabia w człowieku skłonności ciągnące go ku rzeczom stworzonym, a wzmacnia i dzielniejszymi czyni te władze, które go z Bogiem łączą. Dusza usuwająca się od zewnętrznego świata, skupia się w sobie; przez to zaś unika wpływu wielu prądów, porywających magnetyczną siłą wszystko, cokolwiek na drodze spotkają. Takie wewnętrzne przerobienie człowieka nie dokonywa się bez bólu.

„W zwykłym stanie, — powiada Görres w swęj Misticie, — dusza tak jest związana z ciałem, że nie może rozwinąć wszystkiej dzielności sobie właściwej; w stanie zaś mistycznym wszystkie jej władze wolne są od tego cielesnego żywiołu, który jej zwyczajnie za narzędzie działania służy; zamiast mu podlegać, panuje nad nim. Każdy znów organ, narzędzie działania duszy w ciele, podniesion w wyższe sfery, zbliża się więcęj do duszy; a przez to zbliżenie staje się węższy, delikatniejszy, więcęj nerwowy, eteryczny. Ztąd wynika usposobienie chorobliwe; bo tu na ziemi, nie dano człowiekowi wznieść się na wyższy stopień, jak tylko przez cierpienie i przez śmierć.“

Ks. Vianney często, bo kilka razy do roku zapadał na zdrowiu. Cierpiał bardzo często na ból głowy. Katarzyna opowiada, że często z oznaką straszliwego cierpienia palcem na głowę wskazywał, gdy do niego mówić chciała.

Ale im więcęj biedny jego trup, jak się o ciele wyrażał, był udęczoney, tem swobodniejszy był jego umysł; wyraz jego twarzy zawsze spokojny i uśmiechnięty, ożywienie w rozmowie ani nie dawały się domyślać jego cierpień często bardzo dokuczliwych. Konstytucya jego była tak silna, że polepszało mu się nagle. W chwili gdy się zdawało, że dłużej nie wytrzyma, on jakąś wyższą mocą nagle otrząsał się i wracał do sił. Na wieczór tchu mu już brakło: nazajutrz wychodził swobodny i silny, jak gdyby wcale nie był cierpiał.

W sierpniu r. 1842 chorował na ciężką grypę; lecz obawy o niego prędko ustały. „Dzięki Bogu, — pisano z Ars, — święty nasz Proboszcz jeszcze nie kończy cudownego swego żywota, i zdrowszy jest teraz niż przed chorobą, która bardzo parafian zatrwożyła. Jego ocalenie uwa-



żam za wielką łaskę... Nie chce się już modlić o rzeczy doczesne, odkiedy jemu przypisują cuda działane za przyczyną św. Filomeny.“

„Już się nie lękam o jego zdrowie, — powiedział lekarz, — kto inny go uzdrawia, a gdy ja nic już nie mogę, Ktoś może wszystko. Gdy nam się zdaje, że z nim już koniec, on nagle, jak gdyby czarem jakim nowych sił nabiera.“

Było to w pierwszych dniach maja, gdy liczniejsze, niż zwykle, tłumy zbiegły się do Ars; ks. Vianney niemając żadnej pomocy, upadał od pracy i znużenia. Trzeciego dnia, gdy według zwyczaju, jaki zachowywał przez cały maj jako w miesiącu Maryi, wszedł wieczorem na kazalnicy, tak zasłabł, że nie mógł mówić. Wziął książkę, by przynajmniej odczytać naukę; ale i do tego sił mu nie stało. Musiał wyjść z kościoła i położyć się; rozchorował się niebezpiecznie. Chorobę tę opisuje nam niniejszy list krewnej Panny d'Ars.

Ars, 6 maja 1853.

„...Święty nasz Proboszcz tak chory, że nam się zdaje, iż korona jego już gotowa i że się niebiosa otwierają dla niego. Wesele nieba jest często bólem dla ziemi. To też nieumiem wam opisać łez i smutku całej parafii. Leży od trzech dni. Pozwolił mi się zbliżyć do tego łoża boleści i chwały. Patrzałam na niego, jak na świętego na krzyżu, z rozlanym na cierpiącej jego twarzy wyrazem niebiańskiego spokoju. Powiedział mi, że zacznie się gotować na śmierć. Prosper nie odstępował go, i Święty ucieszył mu się. Pozwolił mu nawet zamienić garstkę słomy, czyli raczej deskę, na której sypiał, na materac. Doktor Marion z Trévoux uważa, że ciężko jest chory: jesteśmy wszyscy w niesłychanej o niego obawie. Aż człowiek nie śmie prosić, aby niebo nam go jeszcze zostawiło!... Wypowiedzieć trudno jaka to straszna będzie dla wszystkich strata. Był naszym świętym, naszym aniołem, naszą chwałą i pociechą, naszą nadzieją i naszym wspomieniem. Cała parafia w łzach i modlitwie tonie. Czyż Bóg wysłucha te modły nasze?... Chory wielu osobom mówił o swjej śmierci. Więc też teraz każdy sobie słowa jego przypomina i za prorocstwo uważa.“

Nie bez zajęcia będą dla czytelnika i następne listy tejże samej osoby.

Ars, 10 maja.

„Jestem pewna, żeście pojęli nasz smutek i że się z nami łączycie w gorącej modlitwie, którą tu wszyscy z tak rzęwnymi łzami i z taką ufnością zanoszą, iż zdaje mi się niepodobną, aby im się miłosierdzie Boże oprzeć mogło. Wszelako lękam się, aby walka, tocząca się pomiędzy błaganiem naszym o życie a cnotami jego zasługującymi na niebo nie przeważyła się na niekorzyść naszą, i aby wielkie wesele w niebie nie stało się przyczyną naszego smutku tu na ziemi...

„Nie zdołam wam opisać rzęwnego a pobożnego widoku, jaki tu mamy od czasu, jak nasz święty zachorował; tych łez, tych łkań, tych modlitw, tego kościoła, który bez niego zdaje się pusty, choć go przepełniają zapłakane tłumy, które błagają sercem, myślą, wszystkimi aktami najrzęwniejszej i ufnej pobożności... Światła palą się na wszystkich ołtarzach, koronka w ręku wszystkich. W pierwszych dniach, trzeba było straż postawić u drzwi plebanii, aby powstrzymać tłumy cisnące się do chorego poostatnie błogosławieństwo. Uspokojono je dopiero oznajmieniem, że Święty podniósłszy się z łoża boleści, udzielił błogosławieństwa wszystkim razem.

„Mijają dni choroby, a gerliwość w modlitwach i trwoga o chorego zawsze równe. Pielgrzymi łączą się z modlitwami parafian: dziwne, głębokie uczucia przejmują nas od dni kilku. Pojmuję teraz smutek apostołów, gdy im Chrystus Pan zapowiedział swój blizki koniec.

„Serce mi się ściska gdy widzę innego księdza u ołtarza; gdy słyszę inne wyrazy, a już nie te okrzyki miłości, które zapalały słuchających a trawiły świętego. Jedyłą mą pociechą w tym ciężkim smutku jest widzieć tę cześć prawdziwej cnocie oddawaną. Wielka to nauka dla moich synów; daj mi Boże na zawsze ją wyrzeć w ich pamięci, aby do późnej starości nie zatarał się w niej obraz ich świętego pasterza i wspomnienie tego, co Bóg dla swoich wybranych czyni... Słyszeli jego okrzyki miłości i wiary, w których się całe życie jego streszcza, w odpowiedzi na zwykłe pytania zadawane kapłanom przy Ostatniem Namaszczeniu. Widzieli, jak się zrywał naprzeciw swego Pana, który doń przychodził. Widzieli to wszystko, matko moja droga; dziękuję za to Bogu i ufam, że widok ten na przyszłość ich oddziała zbawiennie. Będzie on promieniem z Tabor, co ich ży-

ciu przyświecać będzie; widok ten przypomni im mękę na Golgocie i doda im męztwa, nadziei, ufności <sup>1)</sup>).

„Święty czytał rozdział z Ekklezyastyka, w którym mowa o posłuszeństwie względem lekarzy; skutkiem czego z największą wiernością wypełnia we wszystkim ich przepisy. Dzisiaj uważamy małe polepszenie, o tyle, że gorączka się zmniejszyła. Oby Bóg raczył się do próśb naszych przychylić.“

Ksiądz Renard pisał:

„Smutna wiadomość wnet i mnie doszła; umyślny posłaniec przyniósł mi w nocy wezwanie do samego Proboszcza, abym go odwiedził. Wstałem natychmiast i ruszyłem w drogę. Za przybyciem do Ars, miałem szczęście uścisnąć świętego kapłana, a zastałem go tak słabym, że sądząc, iż za chwilę Bogu ducha odda, zawołałem wzruszony: »Księżo Proboszczu, opuszczasz nas!« — Zostawię wam ciało a dusza moja pójdzie tam! — odrzekł wskazując na niebo. — Nie zdołałem opisać słowem wzniosłego wyrazu jego twarzy i wzroku, gdy go wzniosł w górę. Nie mogłem już wyrzec ni słowa, tak mnie łzy dławily; wyszedłem z pokoju.

„W całej wsi głucha panowała cisza. Smutek tak zaległ na wszystkich twarzach, jak gdyby w każdym domu opłakiwano kogo z rodziny. Pielgrzymi błakali się po drodze i dokoła kościoła, jak trzoda bez pasterza: oczy ich ku plebanii wyteżone śledziły najmniejszy ruch dokoła niej, by nie utracić jednego szczegółu o chorym. Gdy się kto z pielęgnujących ukazał, zarzucano go pytaniami: »Jak się miewa święty nasz Proboszcz? jak się miewa dobry ojciec nasz?« — Było ich tam do trzystu, którzy mieli jeszcze dokończyć rozpoczętą przed ks. Vianney spowiedź. Gdy im odpowiadano, że miewa się lepiej, wracali tłumnie do kościoła, błaganem i łzami gwałt zadając niebu, prosząc o uzdrowienie świętego przez przyczynę Najśw. Panny i św. Filomeny...

Przez czas dwutygodniowego mego pobytu w Ars, odwie-

---

<sup>1)</sup> Z dwóch młodzieńców, o których tu mowa, starszy umarł w 20 roku życia na rękę ks. Vianney z uczuciem wielkiej pobożności i rezygnacji. Młodszy zginął w kilka miesięcy później przy oblężeniu Sebastopola. Krótce przedtem pisał do rodziny: „Jeśli mnie spotka nieszczęście, powiedzcie wszystkim moim znajomym, że ostatnia myśl moja będzie o Bogu i rodzinie.“ Ks. Vianney płakał dowiedziawszy się o jego śmierci.

działem chorego codziennie. Przyjmował mnie zawsze z równą dobrocią pomimo wielkiego cierpienia i znużenia. Jednego dnia, gdy smutniejszy, niż kiedykolwiek wyszedł od niego, jakaś pani zapłakana zbliżyła się do mnie pytając: »Więc to prawda że święty Proboszcz umiera?!... że my go już nigdy nie zobaczymy?... Co ja nieszczęśliwa zrobię, rozpoczęłam przed nim długą spowiedź...« — Udaj się Pani do księdza, którego Proboszcz na zastępcę siebie sprowadził. — Nie mam odwagi drugi raz rozpocząć... Ale, uczyn mi Ksiądz Dobrodziej łaskę, pozwól mi uklęknąć na progu jego pokoju, aby mnie widział i pobłogosławił mnie: to mnie uspokoi.“

Podobne sceny powtarzały się sto razy dziennie i niezmiernie męczyły Proboszcza, który niemogąc głosu z piersi dobyć, z miłości silił się na rozmowę oczu i ruchów. Ale ostatecznie, to nieustanne wzruszenie było dlań zabójcze; lekarz zatem surowo zakazał wpuszczać do niego obce osoby.

Piątego dnia choroby uznano że jest silne zapalenie płuc, gorączka podniosła się do najwyższego stopnia, z wielkiego osłabienia ks. Vianney mdlał co chwila, a nerwy jego tak były rozdrażnione, że nawet osoba posługująca mu, musiała się chować za firankę, aby wzroku jego nie męczyć.

Ks. Valentin, proboszcz z Jassans, a spowiednik ks. Vianney, widząc zagrożone jego życie, uznał za konieczne udzielić mu Ostatnie Sakramenta. Na tę uroczystą chwilę zjechało siedmiu księży, których trwoga o ukochanego Brata do łóża jego sprowadziła. Uradzili między sobą, że będą obecnie przy chorym, ale nie dadzą dzwonić, aby nie wywołać większego pomiędzy ludnością popłochu. Święty usłyszał ich rozmowę, i zaraz się odezwał: „Owszem, kaźcie dzwonić, niech się parafianie modlą za swego Proboszcza!“

Ale dzwony nie odezwały się jeszcze, a już cała wieś była w poruszeniu. Podobne wieści lotem strzały się rozchodzą, aż w najcichsze zakątki.

Wszyscy byliby chcieli odprowadzić Najśw. Sakrament do pokoju chorego, usłyszeć ostatnie jego słowa, przyjąć ostatnie jego błogosławieństwo, po raz ostatni przypatrzeć się świętemu wyrazowi jego twarzy, i być świadkiem radości, zachwytu, uniesienia, miłości téj duszy, łączącej się

z swym Panem i Bogiem, w ostatecznym wiekuistym uścisku. Ale tego szczęścia dostąpiło tylko kilku uprzywilejowanych, reszta rozklęconego ludu pozostała wzdłuż wschodów, w sieni i dokoła plebanii.

Gdy ks. Vianney zadawano zwykle pytania, czy wierzy w wszystkie prawdy Wiary św., odpowiedział: „Nigdy o nich nie wątpił“; — czy przebacza swoim nieprzyjaciolom? Bogu dzięki, nigdy nie miał żalu do nikogo.“

Nazajutrz, podczas Mszy św. proboszcza z Fareins przy ołtarzu św. Filomeny, chory po raz pierwszy zasnął snem spokojnym, i od tego czasu z każdym dniem do sił i zdrowia powracał. Głos ogółu przypisywał to niespodziane uzdrowienie przyczynie św. Filomeny; i domniemywano się, że w śnie tym święta mu się ukazała i oznajmiła rzeczy, które go pociechą napelniły do końca życia.

Mniemanie to popiera nauczyciel wiejski, pan Pertinant, który go przez cały czas pielęgnował, temi słowy:

„Święty nasz Proboszcz, widząc się blizkim końca, prosił, aby odprawiono Mszę św. na cześć św. Filomeny, której się osobnym ślubem oddał. Zanim się Msza zaczęła, uważałem na jego twarzy jakieś pomieszanie i niezwykle przerażenie. Śledziłem bacznie każde jego poruszenie i zdawało mi się, że już nadeszła ostatnia jego chwila. Ale zaledwo ksiądz zbliżył się do ołtarza, nagle uspokoił się. Zdawało mi się, że ma jakieś miłe i pocieszające widzenie. Zaraz zaś po Mszy św. zawołał: »Przyjacielu, w tej chwili wielka zmiana zaszła we mnie... Jestem uzdrowiony!...« Łatwo pojąć, jak mnie słowa jego uszczęśliwiły. Pozostała mi pewność, że ks. Vianney miał widzenie, gdyż słyszałem, jak po kilka razy wymawiał z cicha imię swęj świętej Opiekunki; wnoszę ztąd, że widział św. Filomenę, ale pytać go o nie nie śmiałem.“

I my wierzymy, że uzdrowienie to było cudem Bożym. Bo i kiedyżby Niebieski ten Lekarz miał używać swęj mocy nad życiem i śmiercią, gdyby jęj nie okazywał nad tymi, co go błagają o zdrowie na to jedynie, żeby mu więcj i lepiej służyć? Od tęj chwili Proboszcz szybko do zdrowia przychodził, jak nam świadczą następujące listy.

Ars, 14 maja.

„Przesyłam Wam pocieszającą wiadomość, że nasz święty Proboszcz miewa się lepiej od dwu dni. Dzisiaj trzeci lekarz

potwierdził to samo. Jesteśmy tem szczęśliwsi, że już wcale nie mieliśmy nadziei, aby nam go Bóg zachował. Dziękujemy Mu więc z głębi serca. Gdybyście byli widzieli smutek całej parafii, ... gdybyście byli słyszeli płacz ludu w naszym kościółku od dni dziesięciu, uczulibyście ten ogrom radości, jaki nas dziś przepęlnia. Ponieważ prawie już nie wątpiliśmy, że Proboszcz umrze, znoszono mu do poświęcenia kosze pełne medali-ków, krzyżyków, koronek i obrazków. Niewiem, czy wszyscy biskupi z całej Francyi poświęcą ich tyle, co on...

„Szanowny nasz chory jest wzorem uległości; przyjmuje wszystko, co mu podają; wczoraj kazał wylać rosół z kurczęcia; ale, gdy go spowiednik o to wyłajał, wypił go.

„W tych zaś dniach, widząc dokoła siebie czterech lekarzy, rzekł śmiejąc się: »W tej chwili staczam wielką walkę.« — Z kimże? — zapytano go. — »Z czterema lekarzami. Jeśli jeszcze piąty przyjdzie, już po mnie.«“

Ars, 17 maja.

„Dobroczynny wpływ ciepłego powietrza byłby bardzo pożądanym dla naszego świętego, lecz i tak powraca do zdrowia, według zdania lekarzy, zadziwiająco szybko. »Powiedzcie raczej c u d o w n i e«, — poprawił ich Proboszcz. Przypisuje on swoje uzdrowienie św. Filomenie. Lekarzom swym mawiał: »Wyście narzędziami, których Bóg użył, aby mnie uzdrowić.« Często wspomina ich troskliwość około siebie. Nieustannie dziękuje za dowody przywiązania. Widziałam go wczoraj na naszym fotelu, okrytego płaszczem Prospera: nie zdawał mi się mizerniejszym, ani chudszy, jak przed chorobą; a nawet może dziś niema tego wyrazu cierpienia, jaki miał dawniej. W każdej rozmowie wyraża życzenie, aby jak najprędzej odzyskać siły. Ale jakże on użyje tego życia, o którego przedłużenie prosi?... jak użyje tych sił, których pragnie?... Ze strachem sobie wszyscy te pytania zadajemy. Lękamy się teraz utracić go w inny sposób; lękamy się, aby nas sam nie opuścił: i radość nasza zamacona tem przykrem przypuszczeniem. Pragnie bardzo odetchnąć rodzinnem powietrzem; zapewne przewiduje, że będąc przedmiotem tak wielkiej czci i miłości nie będzie miał spokoju, jakiego mu potrzeba.

„O parafianach swoich mówi z rozczuleniem: »Wiara pośród nas żywa, — mówił do Prospera, — rozrzewniało mnie, gdy'm patrzył na siwe głowy wielu mych parafian, pochylone, by ode-



brać błogosławieństwo moje.« Tyle mu ze wszech stron ludzie okazują dowodów miłości, że straż musi powstrzymywać ich pobożny zapał. I Bogu nie zapominają dziękować za otrzymane dobrodziejstwo, ale go także proszą, aby pasterza w parafii zostawił.

„Ciekawa rzecz, coby na widok tego, co się tu działo, powiedzieli dzisiejsi uczeni? Wszakżeż mowa wiary im nie znana; a tylko ta mowa wiary może sercu wytłumaczyć, jakim sposobem ubogi ksiądz mógł się stać życiem, miłością, nadzieją, podporą swojej trzódki...“

Łatwo się domyślić, dokąd święty kapłan skierował pierwsze kroki swoje, skoro tylko mógł łóżko opuścić, do kogo pierwszą myśl swoje, pierwsze odwiedziny, jednym słowem pierwszy użytek sił swoich. Od dni szesnastu, które szesnastu wiekami mu się wydały, nie był u Ołtarza Pańskiego; od dni szesnastu nie ofiarował Krwi Niepokalanego Baranka! Było to dla niego strasznie przykre umartwienie: osłabienie fizyczne niczem mu się zdawało w porównaniu z tą tęsknotą, jaka duszę jego trawiła.

W piątek 19 maja kazał się raczej zanieść aniżeli zaprowadzić do kościoła. Tam przed Ołtarzem padł na kolana z uczuciem uwielbienia, dziękczynienia i oddania się swemu Panu na życie i śmierć, na dalsze trudy dla chwały Jego. Uwielbiwszy Utajonego Pana, pokłonił się swęj ukochanęj małej Świętej, jak ją nazywał, i w długiej a gorącej i słodkiej zatopił się modlitwie.

„Przez cały tydzień, podaje nauczyciel, który go w chorobie pielęgnował, sam prowadziłem księdza Proboszcza do kościoła, po północy. Był bowiem tak osłabiony, że nie byłby mógł wytrzymać na czczo do rana. Na odgłos dzwonu lud spieszył na jego Mszę. Zdawało nam się wszystkim, że obchodzimy Pasterkę przez ten tydzień i cieszyliśmy się w Panu, że nasz drogi Proboszcz wrócił do nas od wrót nieba, których był już tak blisko, aby nanowo wpośród nas zacząć żyć.“

Pierwsza Msza ks. Vianney była wielką w Ars uroczystością, którą nam następujący list opisuje.

„...Wracam z kościoła. Pragnęliśmy przy tej sposobności odwiedzić Proboszcza, ale musieliśmy na kilku tylko minutach poprzestać: tak jeszcze słaby i tak zmęczony bytnością w kościele, dokąd od piątku codziennie chodzi! Może cokolwiek nadużył wracających mu sił... Musiałabym się powtarzać, chcąc wam

wyrazić radość i szczęście jego owieczek. Kilka pocziwych dusz spędziło całą noc z piątku na sobotę na dziękczynieniu, a w sobotę o trzeciej z rana ks. Proboszcz w asystencyi swego spowiednika miał Mszą św. u ołtarza Matki Bożkiej.

„W tej chwili byłabym chciała mieć przy sobie was wszystkich, ukochani moi. Bylibyście wszyscy razem z nami podziwiali tę twarz, na której wyryte są smutki i cierpienia tej ziemi, a przecież opromienioną jakimś niebiańskim weselem. Chociażbym kilka wieków żyć miała, na zawsze pamiętny mi będzie obraz świętego, odnawiającego ofiarę życia swego z rezygnacją i z wdzięcznością. On pragnął żyć i prosił o życie: wiemy o tem na pewno. Zdawało mu się, że jeszcze nie ma z czem stanąć przed Bogiem; a co nie pojęta, drżał z przerażenia na myśl o sądzie Bożym. Ach! cóż my nędzni na to powiemy? wstyd i strach przejmują duszę; nadzieja nasza chyba w tem, że na nią spadnie nadmiar skarbów, jakie święty ten człowiek jeszcze nagromadził!..“

Obawa przed sądem Bożym i strach przed śmiercią uderzają w czasie tej pierwszej choroby Proboszcza. „Jeszcze nie! jeszcze nie! mój dobry Boże! — wołał on — niechcę umierać, jeszcze nie gotów stanąć przed straszliwym Majestatem Twoim...“ Cały szwadron szatanów wrzeszczący dokoła niego: „Mamy go! mamy go“ podwajał jego przerażenie. Sam o tem opowiadał.

Radość tej ziemi to istny promień marcowego słońca: zaledwo zablýśnie na chwilę, już ją chmura troski zmroczy. Arsanie nie dokończyli jeszcze swego hymnu dziękczynnego, gdy nowe obawy ścisnęły im serce.

„Jesteśmy w wielkiej, bardzo wielkiej obawie, — pisano nazajutrz po Wniebowstąpieniu 26 maja, — aby nasz święty Proboszcz nie umknął nam żywy, gdyśmy zaledwo skończyli witać go prawie jako zmartwychwstałego. Widzimy to jasno, jemu się zdaje, że skończył już robotę dnia swego. Powiedział sobie: »Będę pracował do ostatka, aż się zerwą siły żywotne.« Stargał się pod ciężarem swego zadania. Teraz prosił o życie dla siebie, aby na śmierć się sposobić w samotności i ciszy. Życie jest mu wrócone; więc mu się zdaje, że z niem i wolność otrzymał. Przywiązanie parafian rozrzewnia czułą jego duszę; zdaje się, że się chce usunąć przed niem, żeby nie doznawać pociechy z uczucia choć szlachetnego ale nazbyt dlań ziemskiego. Nie-

wiem; ale jak niedawno jego choroba nas zatrzymała, tak teraz wszyscy obawiamy się tego, że nas myśli opuścić na zawsze.

„Znów błagania nasze wnoszą się ku niebu. Wszystko w rękę Boga. Chodzi tylko o to, kto zwycięży: czy Święty, który chce zapomnieć nawet o dobrem, jakie działał na ziemi, aby już tylko tęsknić za dobrem wiecznym? czy owieczki jego, które proszą o tego, który ich do nieba prowadził? Biskup stoi po naszej stronie; aliści jest też obawa o jego zdrowie, którego nie szczędzi, i które narazić może w podróży do rodziny...“

Nazajutrz po Zielonych Świątkach 6 czerwca ta sama osoba pisze:

„...Wracam z krótkiej przemowy naszego Proboszcza: »Pozwólcie dzieciętom przyjść do mnie«, powiedział Zbawiciel. — Za wzorem Mistrza i on dzieciętki przywołał do siebie, na rozpoczęcie swjej pracy, swjej gorliwości i miłości. Zasiadłszy wpośród niewinnej dziatwy, odezwał się swym słabym i więcej jeszcze, niż przed chorobą, drżącym głosem. Z rozrzewnieniem spoglądał na uszczęśliwionych swych słuchaczy. Istny wysłannik Ducha Pocieszyciela, mówił nam o tym Świętym Duchu, który przenika i ożywia duszę naszą i uszczęśliwia nas już tu na ziemi.

„Tęj przemowy nie oddałabym za najświetniejsze kazanie najślawniejszych mówców. Ten głos, który już miał śpiewać hymn wiecznej chwały przed Panem Zastępów, swemi westchnieniami nadziei i miłości wypowiada coś, czego żadna na świecie wymowa nie wypowie.

„Nareszcie, ten święty i przedziwny człowiek jest znów dawnym Proboszczem naszym. W głębokiej swjej pokorze, uchylił się pod ciężar apostołskiej pracy. tłumacząc sobie, że wyrzeczenie się własnej woli będzie najlepszym przygotowaniem się na śmierć, do którego pragnął samotności i ciszy. Stoczył on walkę, godną uwagi aniołów i godną uwielbienia szczęśliwych, którzy byli wtajemniczeni w udęczenia tej cierpiącej a świętej duszy. »Nikt nie wie, — mawiał Proboszcz, ilu to łzami me posłanie nędzne oblałem!... Od jedenastego roku życia proszę Boga, aby mi pozwolił żyć na samotności; a nigdy prośb mych nie wysłuchał.«“

---

## ROZDZIAŁ V.

### Pierwsza ucieczka księdza Vianney.

„Zasiądzie w samotności i w ciszy.“  
(*Treny III, 28*).

„O błogosławiona samotności! o jedyna szczęśliwości!“

„Chciałeś spocząć na górze? nużę zstępuj do pracy. Miej w sercu miłość, uczaj prawdy; a tak dojdiesz do wieczności, gdzie znajdziesz bezpieczeństwo.“

(*Sw. Augustyn Kazanie LXXVIII*).

Jak widzieliśmy, odezwało się znów w duszy Proboszcza z Ars pragnienie, które go całe życie trawiło, a które taką obawą przejmowało parafian i stało się wreszcie smutną rzeczywistością.

Po cudownem uzdrowieniu ks. Vianney liczba pielgrzymów urosła ogromnie. Zapanował ruch wielki, który nam znów najlepiej opowie następujący list:

„....Bawi tu pełno obcych ludzi, a mianowicie wielu duchownych. Od dwóch dni mamy cztery Msze w kościele. Ksiądz Proboszcz dość zdrów, chodzi do kościoła przed północą....

„Dziś z rana przyszedłam na Mszę O. Kapucyna i słyszałam kobietę, która zdawała się być konającą. Tłumy pielgrzymów tak się cisnęły do zakrystyi, iż zdawało się, że się wszyscy poduszają. Nasz Święty wyszedł z niej bledszy i więcej wycieńczony, niż zwykle. Wszyscy cisnęli się do niego. Jedna kobieta pokazała mu swe dziecko, którego zawiązane oczy budziły litość. Widziałam serdeczne współczucie na wynędzniałych rysach sługi Bożego. Potem przyniesiono mu biedną dziewczynkę dwunastoletnią, wcale bezwładną. Młody epileptyk

modlił się tuż z wielką gorącością ducha. Wychodząc z kościoła, widziałam, jak pielgrzymi, co od kilku dni zabrali nam kościół, powynajmowali wszystkie powozy, jakich Ars i Trévoux dostarczyć mogły. Dziś z rana wyjechało sześć kurierskich powozów, nie licząc powozów prywatnych; cóż dopiero mówić o rzeszy pobożnych, którzy pieszo odbywają pielgrzymkę. Dziwny i rozczulający to widok; ale udział pielgrzymów tak się z każdym dniem zwiększa, że w końcu i cudownych sił zabraknie naszemu Świętemu. Oddany swemu posłannictwu, całkiem życie mu poświęca. Zdawało mi się, że przesadzam, gdy ci mówię o nim i o jego dziełach; teraz widzę, że za mało powiedziałam. Jawny jest palec Boży w tym pobożnym ruchu; bo samego Boga i tylko Jego mocy szukają ludzie u stóp tego człowieka pobożnego i wyczerpanego z pożądania czegobądź, co pociąga i uwagę zwraca....

Wczoraj umieszczono wotum, złożone na podziękowanie za uzdrowienie Proboszcza z napisem: Świętej Filomenie, wdzięczna parafia.“

Biskup Devie, widząc, na jaką pracę wystawiony jest ksiądz Vianney, pomyślał o uldze dla niego. Boć byłoby to kusić Pana Boga, zostawiając człowieka uginającego się pod ciężarem nad ludzkie siły. Ksiądz Raymond, proboszcz z Savigneux, kilka razy ofiarował się Biskupowi na pomocnika dla świętego sługi Bożego. Biskup też myślał, że przez to odwiedzie go od myśli usunięcia się na samotność. Tymczasem zdaje się, właśnie ta okoliczność myśl tę przyspieszyła. Ksiądz Vianney bowiem, tego młodego i gorliwego kapłana, któremu więcej niż sobie wartości przypisywał, miał za tak znamienitego następcę po sobie, że mu się zdawało, iż teraz śmiało może troskę o parafię złożyć w jego ręce, a sam się usunąć w jakiś nieznaną zakątek świata, żeby tam ukryć nędzne swe życie.

Najsilniejszym i najtrwalszym pociąganiem w życiu naszego Świętego, był pociąg do samotności. Tęsknił zawsze do czasów, kiedy jako pastuszek pasał sobie owieczki na cichéj i ustronnéj dolinie Chante-Merle. Wieleż to razy widzieliśmy, jak na to wspomnienie twarz jego rozpromieniała się i oczy łzami zachodziły. „Ach! jakem ja był szczęśliwy, gdy miałem tylko osielka i trzy

owieczki! Głowa moja nie była tak skołatana, jak teraz. Nigdy się tyle nie modlił, jak wówczas. Byłem wtedy jak woda strumyka, która sobie cicho płynie.“

Niewątpliwie było w tem pragnieniu nieumiarkowanie: szatan go niem kusił; a Proboszcz sam to przyznawał. Całe życie ścierała się w nim skłonność do samotności z darami i powołaniem do apostołstwa. Umartwiał tę skłonność, opierał się jej; ale wyrwać jej z serca nie zdołał, i całe życie z nią walczył.

A kto wie, czy nie za wolą Bożą i zrządzeniem miłosierdzia Bożego przychodziły te pokusy, aby Święty nasz miał sposobność do nieustannego pokonywania siebie, zapierania swego sądu i rozumu, i sprzeciwiania się woli własnej. Idąc za tym wewnętrznym popędem, miarkowanym obowiązkiem powołania, jako pasterz dusz, mógł być mężem kontemplacyi wpośród życia czynnego, czyniąc sobie pustelnię w komorze serca swego. Ciągła zaś jego tęsknota do ustroni duchownej, broniła go od rozproszenia ducha wśród napływu tych tłumów ludzi, do których urząd go przykuwał. Zresztą nigdy gorącego swego pragnienia nie okazywał przez jakąś melancholią, wstręt do życia lub trudu. Pociąg jego do samotności pochodził raczej z wielkiej pokory. Marzył o pustyni, aby siebie od ludzi, lecz i ludzi od siebie niegodnego uwolnić. Gdyby był miał przekonanie, że się może komu na coś przydać, byłby pozostał na miejscu; ale jemu się zdawało, że wszystko tylko psuje; że ani nic powiedzieć, ani nic dobrze zrobić niezdolny; że jest w kościele nieużytecznym członkiem. I otóż nakoniec postanowił usunąć się. — Jak się rzecz stała, opisuje nam niniejszy list z 13 września:

„Nasz święty Proboszcz opuścił nas dzisiejszej nocy o pierwszej godzinie. Dokąd poszedł, niewiadomo: to tylko wiemy, że już zapewne nie wróci do nas. Wczoraj mówiono, że ma dzisiaj wyjechać. Wierzyć temu nie chcieliśmy; ale musieliśmy wreszcie uwierzyć, gdy go rzeczywiście niema pomiędzy nami. Chciał wyruszyć sam. Ale, ponieważ rozeszła się pogłoska o jego zamiarze, kilka osób czatowało dokoła plebanii; spostrzegłszy jego ucieczkę, uprosiły, aby sobie pozwolił towarzyszyć Pertinentowi i Raunisowi. Do Pana des Garets zosta-



wił list tej treści: „Szanowny mój Dobroczyńco! Postanowiłem udać się do mego brata na dni kilka, aby się ten napływ ludzi zmniejszył. Życzę Panu tysięcznych błogosławieństw doczesnych i wiecznych za Jego dobroć dla mnie. Tak Panu, jak Jego rodzinie zachowam na zawsze najwdzięczniejszą pamięć. Szanowny ojciec Pana niech raczy przyjąć wyrazy najgłębsze, na jakie zdobyć się mogę.

Ksiądz Vianney,  
prob. z Ars.“

Katarzyna w następujący sposób wypadek ten opisuje: „Ksiądz Proboszcz, od dawna ścigany myślą, aby się usunąć od obowiązków proboszcza i gotować się na śmierć w pokucie, skutecznił zamiar swój w nocy z dnia 11 na 12 września. Nikomu o zamiarze swym nie powiedział; dopiero w przeddzień ucieczki zwierzył się kierownikom Opatrzności, zalecając im jednakowoż tajemnicę. Przecież Bóg dał, że obca osoba, stanąwszy we drzwiach, usłyszała zwierzenie i rozgłosiła je spiesnie. Wiadomość ta całą wieś wnet obiegła i poruszyła. Przychodzono do nas po stwierdzenie prawdy, i kilka osób postanowiło całą noc stać na straży. Około pierwszej godziny spostrzegły światelko i księdza Proboszcza wychodzącego spiesnie z plebanii tylną furtką. Ludzie, czekający za otwarciem kościoła, puszczają się za nim w pogoń; on ucieka... Jedni chcą z nim jeszcze pomówić, inni proszą go, aby im poświęcił pobożne przedmioty: on na nic nie zważa, idzie dalej swą drogą. Niósł małe zawiniątko z bielizną i woreczkiem z pieniędzmi. Oddał je młodemu chłopakowi, który chciał mu towarzyszyć; ale, ponieważ chłopiec poszedł się przebrać w odświętne rzeczy, doścignął go dopiero u kresu drogi. Aż do Dardilly z wiernym Pertinentem szli pieszo: tu w ojcowskim domu brat Franciszek z radością Proboszcza powitał.

„Ksiądz Vianney, jak woneczas, kiedy przed wojskowską uciekał, tak i teraz dalszą wybrał sobie drogę, aby zmylić pogoń za sobą; przyszedłszy na miejsce, tak miał od-tarte i pokaleczone nogi, że musiał się w łóżko położyć.“

List z 16 września podaje nam dalszy ciąg tego sprawozdania:

„Od uciezki naszego świętego Proboszcza, straciliśmy nawet nadzieję, którąśmy się jeszcze pocieszali; a teraz wszystko nam mówi, że nie wróci nam Bóg skarbu, którego zażywaliśmy lat tyle. Biskup pragnie go zatrzymać w swojej dyecezyi; i niezawodnie zechce mu zamienić probostwo na inne stanowisko. Biedny Święty pragnie uciec przed tą chwałą, jaką go tu otaczano. A w pokorze swój nie widzi, że ona ścigać go będzie, gdziekolwiek się ruszy. Chyba u Kartuzów i Trapiściów znajdzie spokój pożądany. Ludzie przypuszczają, że pomimo wielkiego pociągu do samotności, oprze mu się, aby się Biskupowi nie sprzeciwiać. Wszystko, co ci tu piszę, jest przypuszczeniem. Całe stronnice możnaby zapisać o nagłej ucieczce nocnej naszego Świętego, którego lud ścigał, szat się jego czepiał, błagając o ostatnie błogosławieństwo. Serce mu się krwawiło, a pomimo to uciekał szybko, póki mu sił starczyło. Często bez tchu siadał nad drogą; aż wreszcie, wsparty na ramieniu Pertinenta, podpierając się kijem, po siedmiogodzinnej podróży, stanął wpośród rodziny, bez sił, bez głosu. Pierwszą jego myślą było, żeby tego poczciwego chłopca, który go doścignął, odesłać do p. des Garets, który zapewne był bardzo niespokojny. Zacny p. des Garets w przeciwieństwie do tego co Ewangelia mówi o Pasterzu szukającym owieczki zbłąkanej, puścił się w pogoń za pasterzem swym; dziesięć mil ujechał na to, żeby nie zastać go już w Dardilly. Godzinę przedtem Proboszcz był wyszedł, niewiadomo dokąd. Możesz sobie wystawić zmartwienie biednego Prospera. W Dardilly napisał list, który Święty zastanie tam za powrotem. Jeśli ten list go nie poruszy i nie zachwieje w postanowieniu, tedy z pewnością przynajmniej zwiększy przywiązanie do piszącego.“

List ten brzmi:

Dardilly, 15 września 1843.

„Zbyteczna mówić Ci, drogi Proboszczu, jak bardzo mi przykro, że Cię tu nie zastałem. Przywiodło mnie tu gorące pragnienie widzenia się z Tobą i odebrania Twego błogosławieństwa. Chciałem pomówić z Tobą, pomówić o moich projektach, o sposobach, jakich chcę użyć, by Cię od nadużyć uwolnić, jeśli nam do Ars powrócisz. Bóg odmawia mi tój łaski, więc się poddaję. O jedno Cię proszę, drogi Proboszczu, a ufam Twojej przyjaźni, że mi tego nie odmówisz: oto, abys

nie nie postanawiał, nim się zobaczymy i rozmówimy. Przyjadę tu do Ciebie, jak tylko będę mógł najwcześniej, za dni kilka.

Proszę Cię więc, Proboszczu, nie postanawiaj. Wiem dobrze, że potrzeba Ci odpoczynku. Baw u brata, jak długo będzie Ci potrzeba; ale wracaj do biednej Twój parafii. Jeśliś doznał przykrości, przyznaj, że to tylko od kilku osób; a wszyscy bardzo się do Ciebie przywiązali. Pomyśl, ile świętych dusz prowadzisz do nieba, ile zbłąkanych nawracasz. Pomyśl o Twój Opatrzności, której jesteś duszą i podporą, i która upadnie bez Ciebie. Pomyśl wreszcie o religii, którą Ci Bóg dał szerzyć i zaszczeniać.

„Proboszczu drogi! czyż te wszystkie utrapienia, cierpienia ciała i ducha, jakimi Cię Bóg nawiedza, nie przymnożą Jemu chwały a Tobie szczęśliwości w niebie? Wszakżeż całe życie nasze jest jednym pasmem przykrości i nędzy; a gdy ono się skończy, wszakżeż ten najlepszą otrzyma część, kto najwięcej cierpiał dla Boga. Nie mnie to pisać Ci podobne rzeczy, kochany Ks. Proboszczu, ale wierzę, że znając szczere me przywiązanie, wybacysz mi.

„Ludzie z Ars będą Cię często odwiedzali, przez nich przeslij mi Twoje wiadomości; i raz jeszcze zaklinam Cię, nie rozpoczynaj, zanim się rozmówimy.

„Cała parafia w głębokim pogrążona smutku; i rzecz pewna, że dzisiejsze zmartwienie parafian i ich obawa, żeby Cię na zawsze nie utracić, wiele rzeczy na dobre odmienia, przeszkodzą nadużyciom i nawróca grzesznych. I ja ze swój strony dołożę starań, aby wszystko w porządku utrzymać i naprawię dawne niedbalstwo moje.

„Jakkolwiekby Bóg rozrządzi, nie zapominaj o mnie w modlitwie, drogi Proboszczu. Nie zapominaj o mojej rodzinie, o moim Janku, któremuś obiecał, że go przygotujesz do pierwszej Komunii św., co byłoby dla nas obojga rodziców wielką pociechą, a dla dziecka naszego rękojmią błogosławieństwa Bożego. Nie zapominaj o zasmuconych owieczkach Twoich; osierocone, błagają one Boga, aby nam Ciebie przywrócił.

P. des Garets.“

Ksiądz Vianney przyznał, że list powyższy bardzo go poruszył. Zresztą, wcale on nie był opuścił Dar-

dilly; lecz, przeczuwając przybycie pana des Garets i jego nalegania, a nie czując się na siłach, żeby mu się oprzeć, udał, że wychodzi; a tymczasem schował się poprostu w pokoiku, po nad tym właśnie, w którym pan des Garets list swój pisał. Arsanie w przekonaniu, że naprawdę uciekł z Dardilly, szukali go wszędzie i w domysłach się gubili.

„Pertinent, — czytamy znów w udzielonej nam korespondencyi, — wyszedł z postanowieniem szukania Proboszcza tak długo, aż go nie znajdzie. Poczciwy chłopiec żyje jeszcze nadzieją, którą my już się nie łudzimy. Tą bowiem ucieczką Święty urzeczywistnił dawne swe pragnienie, a którego kilka dni temu wykonać nie miał siły. Gdy już uszedł kawał drogi, obróciwszy się i pomyślawszy, że opuszcza dzieło Boże, pracę dla Boga, wrócił napowrót i zasiadł w konfesyonale. Spowiadał kilka dni, obleżony tłumami ludzi, których się nigdy żadnem słówkiem nie pozbywał. Teraz uciekł, nie przed pracą, jaką wykonywał; lecz przed tą, której podołać nie mógł. Cała parafia w najgłębszym smutku pogrążona. W szkole dziewczynek rozlega się płacz i łkanie; połowa z nich rozproszyła się z wielkiego żalu. Liczni pielgrzymi rozeszli się. Kościół prawie pusty: zaledwo w nim widać kilka pobożnych dziewcząt, modlących się przed ołtarzem. Nie umiem ci wypowiedzieć, jaki to ból tłoczy serce na widok takiej przemiany! Istne to przejście z życia do śmierci; bo Święty nasz wszystkiemu nadawał tu życie, a teraz nie z tego. Ani śmiem się spodziewać jego powrotu. Mielśmy przed oczyma żywą kartę świętego żywota; teraz odwrócona karta, a tu czytamy o jednym z tych wyjątkowych wydarzeń, którego choć zrozumieć nie można, potępić nam niewolno.“

Odpowiedź na ten list brzmi:

„Więc już rzecz pewna, że Święty znikł i zdaje się na zawsze z parafii, która nim tylko żyła!...“

„Trudno sądzić Świętych: ich drogi są niezbadane, jak wyroki, które nimi kierują. Gdybyśmy się ośmielili sądzić ich czyny naszym słabym rozumem, zganilibyśmy może, że przekładają idealne udoskonalenie własne po nad szczenie Królestwa Bożego w tyłu duszach, które Bóg np. przez Waszego Świętego pociągał ku sobie. Czemu tych kilka lat samotności w

porównaniu do niezliczonych nawróceń i do odnowienia pierwotnej gorącości wiary, do tego cudownego widoku, który zapewne musiał być radością nieba całego? Wieleby o tem można mówić; ale lepiej w milczeniu głowę skłonić i uwielbiać drogi Boże; bo powiedział Pan: »Wasze drogi nie są moimi drogami, ani wasze myśli moimi myślami.« Nie sądźmy więc tego, który może niezadługo zasiędzie obok Najwyższego Sędziego i sądzić będzie samą sprawiedliwość... Ale za to, jeśli pobożne uczucie zabrania nam ganić, nie broni nam smucić się i płakać: i łzy i smutek łączę z łzami i smutkiem waszym. — Wszelako mam jeszcze nadzieję, że Wasz Święty wróci, wróci zagnalony prośbami i przywiązaniem swych owieczek. Już mądre a pobożne uwagi Prospera wstrzymały dalsze jego zamiary; ufajmy zatem, że dany mu będzie zaszczyt powrócenia wam tego Eliasza, który nie spotkał ognistego wozu, ku przyspieszeniu ucieczki. Przykre było mu to życie: z Chrystusem Panem upadał pod krzyżem, który na barki swe podjął, potrzeba mu było wytchnienia. Raz już spojrzął na Jerozolimę, płacz dzieci jego rozrzewnił go: wrócić. Może i teraz zrozumie, że wpośród nich jest Kalwarya, na której mu żyć i umierać. Boski Mistrz jego też uciekał na pustynię, gdy go lud królem chciał obrać i głosić Jego chwałę; ale znów wracał, by dokończyć swego posłannictwa cierpienia i miłosierdzia.“

Arsanie w najgłębszym żalu, bijąc się w piersi, grzechom swoim przypisywali nieszczęście, jakie ich spotkało. Karczmarz najwięcej czuł się winnym, pisał więc do Proboszcza:

„Niech nas Ksiądz Proboszcz nie opuszcza! Zawszem obiecywał i teraz z głębi serca obietnicę mą powtarzam, że jeśli jest cokolwiek w mym domu, co się Księdzu Proboszczowi nie podoba, zastósuję się we wszystkim do Jego rozkazu.“

Katarzyna, przed którą ksiądz Vianney z niczem się nie taił, bo nie potrzebował się lękać zdrady duszy we wszystkim mu uległej, także do niego pisała:

„Dziękujemy Księdzu Proboszczowi po tysiącokroć, że w dobroci swojej myśli o nas: chyba byśmy były bardzo niewdzięczne, gdybyśmy miały kiedykolwiek zapomnieć o

tem, co dla nas uczynił. Jedynym przedmiotem modlitw naszych jest, aby Bóg spełnił wolę swą świętą w Księdzu Proboszczu.\*

Ostatnie te wyrazy dają nam pojęcie, jaką była cnota Katarzyny. Ona może najwięcej ze wszystkich cierpiała nad utratą ks. Vianney, a przecież o nic innego nie prosiła Pana, jeno aby się stała wola Jego święta. Tak to szkoła Świętych kształci.

Donosiła mu dalej, że tylko piętnaście dziewczynek im pozostało; na Boga go zaklinała, aby się ochraniał, bo mu tego bardzo potrzeba. Wreszcie donosiła mu o staraniach ks. Raymond u Biskupa, od którego przywiózł dla pana des Garets list tej treści:

„Równocześnie odebrałem list Pana i Jego świętego Proboszcza. Księdzu Raymondowi doręczam odpowiedź na nie. W liście do Proboszcza wyrażam życzenie, aby pozostał w Ars, jakiegokolwiek są jego powody do opuszczenia go. Mam nadzieję, że będzie mi powolny. Jednakowoż, niechcąc go nadto kępować, proponuję mu dwa inne stanowiska, któreby mógł zająć. Przed kilku laty podobne z mej strony propozycje odwiodły go od zamiaru wyjechania z Ars; może i teraz ten sam skutek osiągnę. Ufam nadto, że prośby pana, parafian i okolicznego duchowieństwa zniewolą go do powrotu pośród was. W każdym razie, wie dzisiaj, że nigdy nie pozwolę mu opuścić mej dyecezyi. — W nim straciłbym zbyt wielki skarb.

Zechciej Pan powtórzyć wyrazy mego uszanowania swęj żonie, a sam przyjąć zapewnienia powolności

uniżonego swego sługi

† A. R. Devie, Biskup z Belley.

Tymczasem Ars przenosiło się tłumnie do Dardilly. Za panem des Garets, który tam pojechał 14 września, pospieszyły całe zastępy pielgrzymów. I najdalsi krewni ks. Vianney podążyli go witać. Skromny domek Vianney'ów przepełniony był gośćmi. Dobry Proboszcz musiał prosić o pozwolenie słuchania spowiedzi, przynajmniej tych osób, które zaczął słuchać w Ars. — Pokazywano mi pokoi, w którym mieszkał przez tydzień. Ponieważ cała rodzina była zajęta robotą w polu, córka domu przyjmo-



wała przybywających; a wuj jej zalecał, aby dla wszystkich była uprzejma i każdego poczęstowała jakim posiłkiem.

Gdy do Lyonu doszła wiadomość, że Proboszcz jest w Dardilly, całe procesye zapalonych jego wielbicieli podążyły tamże w niedzielę. Z Ars przybył nadto omnibus pełen pobożnych. — Tego dnia, powiadała nam jego siostrzenica, nie mogliśmy nadażyć gościom, i dopiero po niesporach mogliśmy jeść obiad. Ksiądz Proboszcz zasiadł z rodziną do stołu, ale nie chciał nic jeść, prócz jednej ugotowanej gruszki. Za to rozmawiał wiele, przytaczał bardzo budujące przykłady; między innymi mówił do Pani Fayolle z Ecully: „Moja siostrzo, gdy będziesz chciała służyć umierającym i przysposabiać ich, aby godnie stanęli przed Bogiem, nieustawaj mówić, aż ducha nie oddadzą; bo powiem ci, co mnie się zdarzyło. Gdy wszyscy o mnie zwątpili, przestali do mnie mówić, w przekonaniu, że konam. Czekałem na sąd Boży, gdy lekarz, wzięwszy mnie za rękę powiedział: „Pożyje zaledwo kilka minut.“ Gdym usłyszał te słowa, pomyślałem sobie: Za kilka minut staniesz przed Bogiem, i staniesz z próżnymi rękami. I na wspomnienie tylu osób, czekających u mych drzwi, które z daleka przyszły się spowiadać, które mnie całym sercem polecały Najświętszej Pannie i św. Filomenie, rzekłem w duchu: »Panie! jeśli tu jeszcze potrzebny,\* nie zabieraj mnie z tego świata!« W tej chwili nowe życie we mnie wstąpiło i odzyskałem siły.“

Ksiądz Vianney, widząc, że tłumy nawiedzających go pielgrzymów psują porządek domowy i nabawiają brata kłopotu, zaczął myśleć o odwrocie. I ks. Raymond przybył do Dardilly z misją zwrócenia dyecezyi bellejskiej jej skarbu. — Nielatwa to jednak była sprawa. Domyślni bowiem mieszkańcy Dardilly, którzy umyślili go sobie uprosić na proboszcza, nieufnem mierzyli go okiem, i lękali się, aby im ich skarbu nie zabierał. Zaledwie dopuszczono go do Proboszcza z Ars. Dwaj kapłani wyznaczili sobie tajemną schadzkę o świcie w sąsiedniej wiosce Albigny, aby ztąd w dalszą ruszyć drogę.

Wyjechali po Mszy św. społem, żeby nawiedzić kaplicę w Beaumont, dokąd Biskup Proboszczowi pozwolił przenieść swą siedzibę.

Podróż na bardzo złym wózku niezmiernie zmęczyła biednego Proboszcza. Gdy przejeżdżali w jednej wsi obok kościoła, kazał stanąć; obadwaj podróżni weszli do niego, aby odmówić pacierze kapłańskie. Jakież było ich zdziwienie, gdy po skońzonej modlitwie spostrzegli kościół pełen wiernych, jak gdyby ich był odgłos dzwonu zwołał. Za namową towarzysza swego ks. Vianney przemówił do zgromadzonych z taką siłą i z takim zapalem, że od czasu choroby nigdy u niego tak potężnego głosu nie słyszano.

W niedalekiej odległości od tej wioski było Beaumont. Tam przenocowawszy, obaj podróżni ze świtem odprawili Mszę św. w starożytniej świątyni Matki Bożkiej. Po gorącym dziękczynieniu ks. Vianney nachylił się ku ks. Raymond i szepnął mu głosem stanowczym: „Jedźmy do Ars.“ Niezawodnie było to natchnienie, za które Ars wdzięczność swą winno Matce Bożkiej Beaumontskiej. To też mieszkańcy jego często się do Niej uciekali z wdzięczności za otrzymane dobrodziejstwo.

Ks. Raymond, nie tracąc czasu, świeże najął konie i przez Ambérieux podążył do swojej parafii, do Savigneux. Podczas gdy tu święty Proboszcz odpoczywał, on wysłał posłańca do Ars z oznajmieniem dobrej wieści.

W jednej chwili cała wioska zadrżała niecierpliwem a radosnem oczekiwaniem. Ksiądz Proboszcz jedzie! ksiądz Proboszcz jedzie! wołano zewsząd. Wszystko wylega z domów, aby go corychlej zobaczyć i powitać: rzemieślnicy rzucają swe narzędzia, rolnicy cepy i plugi, niewiasty domowe zajęcia. Wzruszenie było zbyt wielkie, żeby ktobądź mógł spokojnie przy pracy pozostać.

Wreszcie rozlega się okrzyk radosny: „Jedzie! Jedzie!“ Wszyscy cisną się do ukochanego Proboszcza: każdy chce być pierwszym przy nim, każdy chce mu największą swą radość okazać; ale najwymowniejszym jej wyrazem są łzy. Głosu w piersiach przybrało, wszyscy na kolana przed nim padają z prośbą o błogosławieństwo. Im więcej się biedny kapłan mieszał i upokarzał, tem mu gorętsze dowody czci składano. Jedni stopy jego całowali, inni kraju sukienki dotknąć się pragnęli; wszyscy, płacząc, o modlitwę go prosili. Wsparty na ramieniu ks. Raymonda, obszedł plac, jakoby Biskup, dokola błogosławiąc.

Przedarłszy się przez ciżbę ludu, wszedł do swego kościółka, i wspólnie z uszczęśliwioną swą trzódką odmówił wieczorne pacierze.

Ale otóż i ostatni list wymownie oddający wszystkie uczucia smutku i radości, jakie z powodu tego wypadku przepełniały serca :

„Chwalmy Pana! błogosławmy Panu!

„Wczoraj jeszcze o 5 godzinie z wieczora, smutek tłoczył wszystkich. Każdy szukał Świętego, którego powrotu spodziewać się nieśmiano. Aż w kwadrans potem wszystkie odezwały się dzwony, a na ich odgłos całe Ars się zbiega: w tem Kochany nasz Święty wsparty na kiju ukazuje nam się w towarzystwie drugiego księdza. Każdy śmieje się i płacze z radości; każdy ciśnie się do niego, aby mu swe szczęście okazać. On spokojny, uśmiecha się łagodnie do upojonego radością ludu. „To wszystko miało być stracone, — mówi sam do siebie, — a otóż wszystko się odnalazło.“ Prospera uściskał Święty z radością ojca witającego syna. Nie tai swęj radości, cieszy się, że mu Matka Bozka dała natchnienie do powrotu wpośród swoich. Rad, że Biskup z taką dobrocią postąpił względem niego i względem zasmuconych jego parafian; rad i z parafian, którzy go tak mile przyjęli. Trudno opisać, jaka to była rzewna i podniosła chwila; mogłabym długo o niej opowiadać, a zaledwo mam czas zapisać te kilka stronic. W téj chwili, — po Mszy naszego Świętego wyjeżdżamy do Trévoux. Widziałam go króciutko, był bardzo rozezulony. Jest zajęty myślą, którą mu Biskup poddał, aby wybudować kaplicę przy O p a t r z n o s c i; mogłaby mu służyć za schronienie przed natrętami. Chodzi o pospiech w przeprowadzeniu tego pomysłu, który mu się bardzo uśmiecha....

Pisałeś mi w tym liście, że podobnie jak Zbawiciel Proboszcz nasz uciekł przed chwałą ludzką, ale że wróci dokonać swęj ofiary. I ja miałam tę samą nadzieję na dnie duszy. Rozpacz całej wsi osłabiała ją, ale mi jej nigdy całkiem nie odebrała. Zdawało mi się rzeczą niepodobną, aby ten człowiek pełen poświęcenia i z powołaniem apostolskiem mógł kończyć życie w zaciszu i w samotności. Choć bardzo wysoko cenię jego świętość, nie mogłam się opędzić myśli, że w tem

nie rozumiał woli Bożej. Aż wreszcie poznał ją i otóż modlitwy nasze wysłuchane!

Po dniach żałoby naszej nastąpiły dni szczęścia i wesela. Dopieroż teraz sława jego rozniesie się daleko! A wszakżeż nie zyskują jej ani talenta, ani umiejętność, ani wymowa, ani wdzięk zewnętrzny, lecz prawdziwa świętość ubogiego, cichego i pokornego księdza!“



## ROZDZIAŁ VI.

Wśród jakich okoliczności przytułek „O p a t r z n o ś c i“ księdza Vianney upadł.

„Mam niezawodny znak prawdziwej miłości: kochać Boga coraz więcej, choć odmawia tego o co Go proszę; kochać Go jeszcze goręcej, gdy się przeciwko mnie obraca.“  
(*Jacopone de Todi*).

„Najlepiej jest. cierpieć, tracić, nie dla siebie nie zachowywać, nigdy nie wstrzymać krzyżującej nas ręki... To oddanie się na wszystko jest straszne dla natury, ale Bóg je daje, a Oblubieniec łagodzi.“  
(*Fenelon, Listy duchowne*).

Przeciwności wszelkie są onym ogniem, w który Bóg wrzuca duszę, względem której ma szczególniejsze a błogosławione zamiary. Próby, któremi Przedwieczna Mądrość postanowiła doświadczyć sługę swego, nie byłyby zupełne, gdyby tylko była żądała od niego ofiary z dobrego imienia, zdrowia, spoczynku i pociech płynących z apostołskiej pracy. Ksiądz Vianney od dawna zamarł był temu wszystkiemu. Gdy chodzi o chwałę Boga, któremu się życie poświęciło, gdy chodzi o szerzenie Królestwa Bożego na ziemi, jednym słowem, gdy chodzi o to, co się największem dobrem człowiekowi wydaje, odzywać się zwykła w nim miłość własna. Tę miłość własną i własną wolę swoją stłumić koniecznie człowiek w sobie powinien i niczego nie chcieć krom woli Bożej, jeśli praca jego prawdziwą chwałę Bogu a jemu uświęcenie ma przynieść.

Mozolimy się często napróżno, gdy dajemy Bogu to, czego od nas nie żąda, a odmawiamy Mu rzeczy najgłówniejszej, jedyniej, jakiej wymaga. Najwyższym stopniem

doskonałości jest, zamrzeć sobie, a całkowicie i doskonale zatopić się w woli Bożej. Tym sposobem, człowiek, umartwiając siebie, staje się świętym. Ale do tego umartwienia dojdzie tylko wtedy, gdy spłonie w miłości Bożej, gdy spali w niej nawet najdelikatniejsze korzonki własnej woli, i nie odtrąci Ręki Bożej nawet wtenczas, kiedy ta Ręka ciężko go doświadcza i próbuje.

Jeśli kiedy święty nasz Proboszcz mógł mieć pokusę odtrącić tą czcigodną Ręką, to wtedy, gdy się zdawała obracać przeciwko jego ukochanemu przytułkowi sierót. Rzec można, że nawet wpośród wielkich sług Pańskich rzadki ten, którego przeciwność goryczą nie napełni, którego zawody choć na chwilę nie zniechęcą, i który, nie dając się porwać samolubnemu uczuciu, postępuje dalej spokojnie, i zapatrzony jedynie w oblicze Pana, pragnie jedynie tego, co On chce i co Jemu się podoba.

Widzieliśmy, ile ksiądz Vianney doznał cudownej pomocy w założeniu tego pożytecznego przytułku, widzieliśmy, jak Opatrzność Bożka dostarczała mu skrycie potrzebnych do utrzymania go środków, widzieliśmy równie, ile dobrego przez ten przytułek się działo: sześćdziesiąt zaniedbanych sierót znajdowało w nim schronienie, pracę, dobrą radę i święty przykład. Piętno dzieła Bożego było na nim wyraźnie wyciśnięte. Nawet ci, którzy nie byli zdolni ocenić, ile dom ten wychowywał świętych istot, musieli przynajmniej uznać, że mu świat zawdzięczać będzie wiele uczciwych niewiast i wzorowych matek chrześcijańskich. A przecież ludzie, zamiast popierać fundacją Proboszcza z Ars, krytykowali ją i przyganiali jej. Przyganiali ubóstwu przytułku, jego urządzeniu i całemu kierunkowi. Atoli każde dzieło Boże podobne przechodzi próby, przeciwności i prześladowania, — więc też święty Założyciel cieszył się z nich i widział w nich piętno Boże. „Przedewszystkiem, — mawiał, — miejmy pewność, że to, co robimy, jest dobre, a wtedy niech sobie ludzie mówią co chcą, my idźmy dalej, zachowując należyłą roztropność.“

Atoli niebawem uprzedzenia do przytułku „Opatrzności“ przybrały takie rozmiary, że ks. Vianney był zmuszony pomyśleć o radykalnych zmianach. Sama myśl, że miał się wyrzec swego dzieła, które podniecało codziennie



jego gorliwość i było mu zarazem rozrywką i pociechą po ciężkich i uciążliwych pracach, sprawiała mu boleść niewymowną. Ilekroć w pasterzowaniu jego ważna jaka sprawa leżała mu na sercu, zawsze z ufnością polecał ją modlitwom swoich sierotek w „Opatrzności“ i wyznawał, że nie zdarzyło się, aby nie był wysłuchanym. Przełożone „Opatrzności“ opowiadały nam, że często ks. Vianney kazał sierotom odmawiać nowenny za nawrócenie grzeszników i że po każdej z nich przybywały do Arstłumy pątników z dalekich stron.

Trudno inaczej wytłómaczyć sobie wszystkie uprzedzenia ludzi do przytułku księdza Vianney, jak że Bóg je dopuścił, aby przez tę ciężką próbę, nowemi zasługami wzbogacić świętą duszę swego sługi i do szczętu w nią wyniszczyć wszelkie uczucie miłości własnej. — Ubóstwo ewangeliczne „Opatrzności“ nazywał świat nieschludnością szkodliwą zdrowiu sierót. — Choć wychodziły z niej uczciwe i pracowite sługi, za które gospodynie często przełożonym dziękowały, zarzucano nauczycielkom nieumiejętność w prowadzeniu dzieci, odmawiano im odpowiedniego uzdolnienia i obwiniano, jakoby niezem innym nie zajmowały swych wychowanek jeno modlitwą. Mimo że te zarzuty były całkiem nieuzasadnione, rodzice powoli dali się niemi obalamucić, i przestali posyłać swe córki do domu, w którym przeważnie ubogie dzieci miały się wychowywać.

Te wszystkie przyczyny skłoniły świętego Proboszcza, że oddał zarząd domu Siostrom od św. Józefa, za pozwoleniem dyecezyjalnej Władzy, w listopadzie r. 1847.

Dusza, wolna od wszelkiego cienia pychy i miłości własnej, wie, że czemkolwiek ją Bóg nawiedzi, czyni to z miłości ku niej, dla większego jej udoskonalenia i uświęcenia. Z pokorą zatem przyjmuje zawody, straty i boleści, pragnąc jedynie chwały Bożej w zbawieniu bliźnich. Takimi są święci, ukorzeni przed Bogiem, wyzuci z siebie, na wszystko gotowi; nic im niespodzianie nieprzychodzi, nie ich nie przeraża, nie ich nie przygnębia. Wszystko przyjmują jako rozkaz Boga, który im pilno wypełnić; we wszystkim widzą łaskę Bożą, za którą wdzięcznie dziękują. Duch św. daje im zrozumieć, jak wielka moc zawarta jest

w słowach: Bądź wola Twoja! I dla tego, podczas gdy my szemrzemy i narzekamy na wolę Bożą, oni ją skwapliwie w życie wprowadzają. — Bądź wola Twoja! to znaczy: spraw Panie, abyśmy we wszystkim Twoją świętą upatrywali wolę; abyśmy ją zawsze czcili i miłowali i we wszystkim jej najdoskonalszego wypełnienia pragnęli. Naucz nas nie tylko poddawać się jej władzy, gdy najbardziej naszą wolę krzyżuje, ale nas nadto naucz pokochać ją tak, iżby ona była jedyną regułą i normą naszych czynności i myśli. Niech nasze plany i zamiary w niwecz się obróca, a nasze nadzieje niech się nie spełnią; ale Twoja najsprawiedliwsza i najdoskonalsza Wola niech się dzieje!

Prawdziwa i czysta miłość chrześcijańska nie szuka dobra bliźniego przez wzgląd na siebie, lecz przez wzgląd na Boga; oddaje bliźniemu przysługi, których Bogu oddać nie może, bo Bóg, jako źródło wszelkiego dobra, nie od człowieka nie potrzebuje. To też każdy gorliwy apostoł, pracujący nad zbawieniem bliźnich, czyni tylko tyle, na ile okoliczności mu pozwalają, i nie upiera się, gdy widzi okoliczności pracy swej przeciwne. Nie pożąda Bogu oddać większej chwały, aniżeli sam Bóg jej pragnie.

Pod wpływem takich pobudek Proboszcz z Ars przekształcił swoją „Opatrzność“ na bezpłatną szkołę, jakkolwiek bardzo dobrą i pożyteczną, nie odpowiadającą przecież pierwotnemu jego zamiarowi. Z dobrodziejstw tej nowej szkoły korzystać mogły tylko dzieci z parafii, podczas gdy on pragnął przytulić w swej fundacyi wszystkie dzieci zaniebane z najdalszej okolicy. Cierpiał więc bardzo nad tą zmianą, w czem jednak nic dziwnego, gdyż Bóg chce, aby nasze ofiary były bolesne; a że cierpienie jego było święte, nie znało ono żadnego uczucia goryczy. Znał się na wewnętrznej słodyczy krzyża Pańskiego, na wzór świętego Pawła, radował się przeto z niego i chwałę z niego Bogu dawał.

Proboszcz z Ars nie pragnął niczego innego jeno najdoskonalszej chwały Bożej, przeistaczając dzieło, które mu było tak drogie i którego długo nie przestał żałować. Wiele lat potem, mówiąc z osobą, która zasięgała jego rady w sprawie pewnej, mającej niejaki związek z dawniej-

szym przytulkiem sierót, powiedział jej z dobrotliwym uśmiechem: „Miałem tam sześćdziesiąt do siedmdziesięciu dzieci zebranych na publicznych drogach z całej okolicy. Biedne te dzieci nie znały, gdym je przyjął, pierwszych prawd wiary św., niektóre z nich choć już były po pierwszej Komunii św., nie umiały pacierza. Z nich wyszło później tyle zakonnice, tyle doskonałych sług, tyle uczciwych i dobrych matek! Świat się oburzał na starsze, uważając je za leniwców, a z nich to właśnie najwięcej było pociechy. Na ich utrzymanie nie miałem żadnych zasobów — sama Opatrzność radziła o nich, a radziła bezustannie.“ Przeszedłszy zaś na przedmiot o zupełnem zdaniu się na Opatrzność, które nigdy zawiedzionem być nie może, tak skończył: „Niech nam Bóg da łaskę wesele się w cierpieniu! Nie inaczej On miłość nam swoją okazuje, jak przez cierpienie. Zdawaćby się mogło, jakoby tylko tą drogą dochodził do celu, — to jedyna droga, która prowadzi do nieba! Wszystko dobrze, gdy krzyż nasz dobrze dźwigany!“

W obecności przełożonego XX. Misyonarzy i księdza Toccanier, mówił nieraz: „Gdy istniała moja »Opatrzność,« miałem sześćdziesiąt osób na utrzymaniu, pieniądze płynęły mi ze wszech stron; miałem ich więcej, niż było potrzeba. Od czasu, gdy zaprowadzono inny porządek, źródła dochodów o wiele zeszczupły.“

Gdy zasmucenie od Boga pochodzi, nie jest ono nigdy bez pociechy. Miał ją też w smutku swoim czcigodny ksiądz Proboszcz z Ars. Plan jego pierwotny był zwichnięty, fundacya jego w ciaśniejsze ujęta ramy, atoli powierzona dyrekcji doświadczonych Sióstr od św. Józefa nie przestała wydawać choć w szcuplejszym zakresie błogich owoców. Nadto, podczas gdy mu się zdawało z upadkiem pierwotnego domu „Opatrzności,“ że Bóg odjął mu sposobność do zbawienia wielu dusz, — natchnął go niebawem myślą wielką urządzenia misyi, które przyczyniły zbawienia daleko większej liczbie dusz.

Tak zawsze za wielkimi cierpieniami idą wielkie łaski i błogosławieństwa! Jeśli ziarno pszeniczne nie padnie na ziemię i nie zamrze w niej, zostaje samo, ale jeśli zamrze, obfity plon wyda. Ten obfity plon ziarna zama

tego w ziemi, jest wskazówką, jak płodne bywają dusze, które zamierają sobie a żyją li dla Boga. Owo zaś zamarcie sprowadza to wszystko, co tu upokarza, udaremnia najlepsze usiłowania i krępuje szlachetne popędy, jednym słowem wszystko, co nas prowadzi do wyniszczenia siebie, byśmy się mieli za nic i za nieużyteczne na tym świecie służy. Przyczyną takich upokorzeń miłości własnej jest albo złość ludzka, która opacznie tłumaczy najlepsze nasze zamiary, lub niweczy najpożyteczniejsze nasze dzieła, albo zazdrość, nieżyczliwość, podejrzliwość i przeróżne inne słabości ludzkie. One niejako kopią grób naszej miłości własnej, do którego trzeba nam z Chrystusem Panem zejść, w którym trzeba nam zamrzeć, jak ono ziarno pszeniczne do ziemi rzucone — zamrzeć w duchu wiary, poddania się woli Bożej i niezachwianej ufności. Kto do tego grobu zstąpił, ten zmartwychwstanie zeń ze Zbawicielem i wyda na podobieństwo ziarna w ziemię rzuconego obfity plon zasług i cnót świętych.

